

Wszystko, co uczyniliście...

Z siostrą Małgorzatą Chmielewską rozmawia Michał Okoński

CZEŚĆ PIERWSZA: NADZIEJA

- *Kiedy myślę: „bezdorny”, czuję smród, widzę stare lachy, reklamówkę z całym dobytkiem, rany okryte brudnym bandażem, wszy. Nie widzę twarzy człowieka...*

- A jakimi oczami pan patrzy? Spotykając człowieka będącego na dnie nędzy większość ludzi ma poczucie: jak to dobrze, że to nie ja, że to nie mnie spotkało. I że ja jestem lepszy. Następnie może pojawić się jakaś litość, czasami odruch dania paru groszy – jeśli ten człowiek o pieniądze poprosi i jeśli w dodatku dzieje się to na oczach innych. Tymczasem „ludzie bezdomni” to nie jest tylko jakaś bezosobowa kategoria socjalna, a przynajmniej nie jednolita. Można powiedzieć, że człowiek bezdomny to ktoś bez dachu nad głową – taka sytuacja może spotkać każdego z nas. W naszych domach często pojawiają się ludzie niegdyś bardzo bogaci. Wciąż jedną nogą u nas jest Wacek, który kiedyś miał nawet parę firm budowlanych. Przepił wszystko, a resztę wyciągnęła z niego pani adwokat – zabił po pijanemu człowieka, ona go broniła, a teraz obraca jego pieniędzmi. Dopiero kiedy okazało się, że Wacek ma gruźlicę, wściekłam się na panią mecenas i zmusiłam ją do tego, żeby umieściła go w szpitalu. Niedawno jednak znowu widziałam go na dworcu.

- *Ile ma lat?*

- Pewnie koło pięćdziesiątki. Trudno powiedzieć – mamy ludzi, którzy wyglądają jak moi dziadkowie, a są ode mnie młodszy. Czasami, jak kogoś „odskrobiemy” okazuje się, że człowiek, do którego mówiliśmy „dziadek” ma trzydzieści parę lat.

- *Co doprowadza do tego, że ludzie tracą dach nad głową?*

- Mnóstwo przyczyn – konflikty rodzinne, alkohol, który często powoduje konflikty rodzinne, a nawet utratę domu. Duża grupa bezdomnych wywodzi się z bardzo biednych rodzin, które nie potrafią ani wychować, ani zapewnić jakiegось przyszłości młodemu człowiekowi – nie w sensie materialnym, ale w sensie przekazania umiejętności radzenia sobie w życiu. Wiele osób trafia do nas bezpośrednio z domów dziecka; są też tacy, którzy byli kiedyś adoptowani bądź trafili do rodzin zastępczych i musieli wrócić do domów dziecka – przypuszczam, że były to dzieci trudne i nowe rodziny wolały się ich pozbyć. Dalej: nędza i ubóstwo materialne sprawiają, że ludzie zwyczajnie nie mają mieszkań, nie stać ich ani na kupno, ani na wynajęcie, a hotele robotnicze zlikwidowano. Na mieszkania socjalne czeka się w Polsce latami, nie wszystkim się one należą, a przecież trzeba gdzieś żyć. Duża część bezdomnych to ludzie chorzy psychicznie...

- *Można te kategorie wymieniać dalej: byli więźniowie, ludzie wymeldowywani donikąd itd.*

- Pyta mnie pan o reakcję przeciętnego człowieka na widok osoby bezdomnej? Myślę, że przeciętny człowiek patrząc na cudze nieszczęście, jeśli nie dotyczy ono kogoś bliskiego, pewnie może zrobić niewiele. Problem jest głębszy: co my, chrześcijanie, możemy zrobić, żeby być rzeczywiście uczniami Chrystusa? Czy np. działalność charytatywna jest wystarczającym świadectwem o tym, że Chrystus głosił Dobrą Nowinę ubogim, że umarł i zmartwychwstał? Wydaje mi się, że nie. Że działalność charytatywna w tradycyjnym ujęciu dzieli ludzi na tych, którzy się dobrze mają i mogą „odpalić coś” tym drugim – którzy się źle mają. A w rzeczywistości człowiek ubogi jest w sercu Kościoła.

- *Jest czy powinien być?*

- Powiem inaczej: człowiek ubogi jest w sercu Chrystusa. I jest najważniejszy w Kościele – tak mówi Chrystus.

- *Ale co to oznacza?*

- Że człowiek ubogi jest naszą drogą do Chrystusa.

- *Czyli?*

- Że to człowiek ubogi ma nas uczyć, jak żyć z Chrystusem. Powtarzam: często paradoks działalności charytatywnej polega na tym, iż tzw. ludziom dobrze się mającym wydaje się, że robią coś dobrego dla biedaków. Traktując ich przy tym – no właśnie – jak bezosobową masę, bezprzedmiotowo. W rzeczywistości, jeśli nie dojdzie między mną a człowiekiem ubogim do spotkania, do spotkania na płaszczyźnie ludzkiej, to nigdy nie zrozumieć, że jest on moim bratem. Ze wszystkim, co ma dobrego i złego, nie „lepszy” ani „gorszy”, po prostu brat. Może słabszy, a może przeciwnie – bo jego heroizm w znoszeniu sytuacji, w jakiej się znalazł, jest dużo większy niż mój. Bo gdybym ja przeszła to, co on przeszedł, załamałabym się – a on żyje i walczy o siebie.

- *Co „przeszedł”?*

- Np. więzienie. Odrzucenie przez rodzinę.

- *Mógłby ktoś powiedzieć, że sam jest sobie winny. Bo coś ukradł, albo zaczął pić.*

- Po pierwsze: dawno uznaliśmy, że alkoholizm jest chorobą. Wielu ludzi zaczęło pić i nie wszyscy zostali alkoholikami. Może zabrakło mu rozumu, a może wsparcia najbliższych? Po drugie, jeśli chodzi o więzienie – nie twierdę, że ludzie trafiają do więzień niewinnie, choć bywa i tak (nie musiałabym daleko szukać, żeby podać przykłady...). Znając wielu byłych więźniów czasem się zastanawiam nad kalibrem ich przewinień i kalibrem win wielu innych ludzi, którzy do więzienia nigdy nie trafią – bo mają duże pieniądze, znajomości, stanowiska... Poza tym: fakt, że ktoś popełnił błąd (i został za to ukarany) nie oznacza, że należy go eliminować ze społeczeństwa na stałe. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, jak trudna jest droga powrotu byłych więźniów do normalnego życia. Jeśli w dodatku odwróci się od nich rodzina, ludzie ci najczęściej trafiają do nas. Albo po raz kolejny idą do więzienia, bo nie udało im się wrosnąć normalnie w społeczeństwo.

No a przede wszystkim: co to znaczy „sam jest sobie winny”? Czy mówiący te słowa sam jest bez grzechu? Czy chrześcijanin może tak po prostu wzruszyć ramionami? Są oczywiście owce zdrowe i owce słabsze, ale Pan Jezus nie mówi o tych słabszych, że same są sobie winne; przeciwnie – każe ich szukać.

- *Więc jeśli mam poczucie, że to jest brat, i jeśli mam poczucie, że ten brat zblądził...*

- ...to musi mi to sprawiać ból. Tylko tak można patrzeć na człowieka ubogiego.

Co nie znaczy, że samo patrzeć wystarczy. Ale żeby zrobić krok dalej nie mogę siedzieć w luksusowym samochodzie i wracać do swojego luksusowego domu – nawet z poczuciem, że zarobiłam na nie uczciwą pracą. Chrystus mówi wyraźnie, że nie wystarczy zachowywać przykazania.

- *Mówi bogatemu młodzieńcowi: „Sprzedaj wszystko, co masz i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie”.*

- I „gdzie jest skarb wasz, tam będzie i serce wasze”.

- *Jak to rozumieć? Czy chrześcijanie mają przestać być dyrektorami fabryk, pracodawcami?*

- Oczywiście, że nie, choć znam i takie przypadki. Dano nam wolność, a Chrystus namawia i zaprasza. We Francji zetknęłam się z kimś, kto zajmował bardzo wysokie stanowisko, był bogaty, ale w którymś momencie postanowił wziąć na serio Ewangelię. Nie zrezygnował ze stanowiska, bo od jego pracy zależał los podwładnych, ale zrezygnował z oznak zewnętrznego bogactwa i wziął pensję sprzątaczkę w swoim przedsiębiorstwie.

- *Zastanawiam się, czy chciałbym z kimś takim prowadzić interesy...*

- A dlaczego nie? Skoro jego firma dobrze prosperuje i on nadal służy ludziom swoim talentem? Zresztą w którymś momencie – gdy zaczął w swoim domu przyjmować biednych – pożałował, że zrezygnował z wysokiej pensji, bo mógłby dzięki niej materialnie wspierać ubogich. Ale wtedy zrobił następny krok: krok z a w i e r z e n i a. Czym więcej ludzi przyjmował, tym więcej otrzymywał od innych. I tak nauczył się Chrystusa i Ewangelii. Bo Ewangelii nie można się nauczyć, jeśli się nią nie żyje. Tu nie pomoże ani katechizacja, ani pobożne lektury. Jak z miłością, której też nie można się nauczyć z książki – trzeba przechodzić przez nią, ucząc się całe życie.

- *Nauka Kościoła nie jest aż tak radykalna. Magisterium, zwłaszcza po encyklice „Centesimus annus” akceptuje kapitalizm i popiera przedsiębiorczość – oczywiście jeżeli nie wiąże się ona z jakimś wyzyskiwaniem pracowników.*

- Kościół nie może nikomu niczego nakazać. To, o czym mówię, jest wezwaniem Chrystusa. „Wszystko, co uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili...” Czy można powiedzieć wyraźniej? Kościół, który chce być wierny Ewangelii (i próbuje być, jako instytucja święta i grzeszna zarazem), prowadzi wiernych do Chrystusa powoli. Uznaje własność prywatną jako podstawę życia społecznego – i przekonaliśmy się w ostatnim półwieczu, że ma rację. Ale nie zwalnia pracodawców-katolików od pójścia drogą doskonałości chrześcijańskiej. Apeluje, zwłaszcza ostatnio – ustami Jana Pawła II – o sprawiedliwość i solidarność. Czy można być solidarnym mając mnóstwo i nie dzieląc

się z innymi? Jakaż to jest solidarność? Zjazdy i kongresy o ubóstwie, których koszty organizacyjne pozwoliłyby wyżywić setki ludzi? To nie wystarczy, podobnie jak dawanie tego, co mi zbywa. Dopiero dawanie tego, co mnie kosztuje – prawdziwa ofiara – ma jakąś cenę. To jest droga doskonałości chrześcijańskiej także dlatego, że nas uwalnia. Człowiek, który zaczyna się wyzbywać „dóbr świata tego” staje się wolny.

- *Czy żeby poczuć się wolny mam pozbyć się komputera?*

- Oczywiście nie, sama posługuję się np. telefonem komórkowym. Ale jest wiele przedmiotów, które wydają się niezbędne, a w rzeczywistości tłumią w nas Boże życie. Ilu polskim rodzinom telewizor przesłonił wszystko? Nie tylko niedzielną Mszę, ale i siebie nawzajem.

- *Słyszałem o pewnym biznesmanie, który wspiera działalność instytucji opiekującej się dziećmi upośledzonymi i który codziennie wieczorem musi pojechać do tej instytucji, bo jedno z dzieci przywiązało się do niego tak mocno, że bez niego nie zaśnie. Jedzie swoim, niewątpliwie kosztownym samochodem, uśpić upośledzone dziecko. Może to też jest „droga doskonałości chrześcijańskiej”?*

- Na pewno tak. I o takim człowieku nie można mówić, że pieniądze są dla niego celem. Nikt mi jednak nie wmówi, że dobrym katolikiem, który rzeczywiście idzie za Chrystusem, może być człowiek, który tonie w bogactwach i dla którego liczy się przede wszystkim zarabianie pieniędzy. Już w Starym Testamencie powiedziano: nie będziecie mieli bogów cudzych przede mną. Niestety, to przykazanie bardzo prosto przekłada się na naszą rzeczywistość – ciągle gonimy za nowym samochodem, nowym domem, nowym telewizorem... I jesteśmy zniewoleni.

- *Daje Siostra dość skrajny przykład. Większość z nas nie tonie w bogactwach, ale również nie potrafi „sprzedać wszystkiego”.*

- Toteż wśród świętych jest np. wielu bogatych królów. Dostatnie życie nie pozbawia „biletu do raju”, wszystko zależy natomiast od właściwej miary i od wrażliwości na pewne zjawiska.

- *Jakie?*

- Na przykład zatrudnianie ludzi „na czarno”, niesprawiedliwe wynagradzanie, zwalnianie bez odprawy, nie przyjmowanie do pracy kobiet, które „grożą” zajściem w ciążę... Społeczeństwo jest wprężone w maszynę kapitalizmu, gdzie wszystko ma swoją wartość wymienną na pieniądze. I dochodzi do tego, że jeden z warszawskich szpitali odmawia przyjmowania bezdomnych, jeżeli nie są umierający. Jeżeli pacjent bezdomny nie umrze do rana, przyjmujący go lekarz będzie miał kłopoty!

- *Dlaczego?*

- Ze względów finansowych, oczywiście. Jeśli chrześcijanie nie przeciwstawiają się takim postawom, które ogarniają nasze społeczeństwo bardzo szybko, to wkrótce dojdziemy do sytuacji, w której słabsi będą likwidowani.

- *Likwidowani?*

- Fizycznie. Czym będzie eutanazja, jeśli nie szansą pozbycia się kłopotliwej mamusi? W naszych domach mieliśmy już mnóstwo przypadków starszych ludzi, którzy trafiali do nas wyrzuceni przez dzieci. W tej chwili mamy takich pięcioro. Próbuje wywalczyć, żeby jedną ze staruszek zajęła się rodzina – nie ma mowy. Bo do niczego się nie przyda i tylko zajmuje miejsce.

Znowu dochodzimy do tego, czym jest chrześcijaństwo. Widziałam w Rumunii rodziny góralskie, żyjące w lepiankach, w niewiarygodnej wprost nędzy, same mające po kilkoro dzieci, a przyjmujące jeszcze po kilkoro innych – sierot lub opuszczonych przez matki. Jest tam ksiądz prawosławny, który wygłaszał płomienne kazania przeciwko aborcji, aż wreszcie pewnego dnia przyszły do niego dwie panie z brzuchami pod nos i powiedziały: „Ojciec zabronił, więc myśmy nie przerwały. Niech ojciec teraz coś zrobi, bo nie mamy domu i nie wiemy co dalej”. On wystraszony, w brodę czarną się podrapał i wziął odpowiedzialność za swoje słowa: zorganizował we wsi (zaczynając od swojego domu) coś w rodzaju sieci rodzinnych domów dziecka. W miarę naszych skromnych możliwości staramy się jeździć do niego z pomocą. Kiedyś pojechał z nami pewien reżyser i od rodziny, która ma czwórkę dzieci i przyjęła jeszcze siedmioro, próbował się dowiedzieć, dlaczego to robią. Pamiętam, że popatrzyli na niego, jak na wariata. „No jak to? Przecież te dzieci ktoś musi kochać”.

Jaki te biedne, wiejskie rodziny biorą na siebie ciężar, nie tylko materialny? Jaką przyjmują odpowiedzialność? A nie mogą im zaoferować nic, prócz dodatkowego miejsca na klepisku. Jak widać, miejsce zawsze może się znaleźć.

- *Co ma Siostra na myśli mówiąc, że „chrześcijanie mają się przeciwstawiać takim postawom”?*

- Na pewno nie pokrzykiwanie tzw. polityków chrześcijańskich. Zwłaszcza że ci, którzy nas gromią najgłośniej, nie dają świadectwa pokory i ubóstwa; tego wszystkiego, czego uczy nas Chrystus. Chodzi właśnie o świadectwo. Kalkucianki Matki Teresy nie mogłyby robić tego, co robią, chodząc w wygodnych butach i śpiąc wygodnie – byłyby nieuczciwe wobec nędzarzy, którzy umierają pod ich dachem. U nas jest tak samo.

- *Brat Albert pisał: „Od pobytu w ogrzewalni nie stają się zasobniejsi ani lepsi. Trzeba – dla przemiany ich serc, razem z nimi zamieszkać”.*

- Dokładnie tak. Dopiero wtedy to jest mój brat, ja jestem jego siostrą i możemy się wzajemnie porozumieć.

- *Powiedziała Siostra, że bezdomność to brak dachu nad głową. Matka Teresa mówiła, że bezdomność to coś więcej: brak osoby, którą by można nazwać bliskim.*

- Czyli brak d o m u. Dla wielu ludzi, którzy do nas przychodzą, jesteśmy domem. Tak jest z pewnym chłopcem, który trafił do nas na samym początku, w Bulowicach. Najpierw był w domu dziecka, potem w zakładzie wychowawczym, zakładzie poprawczym i więzieniu – normalna droga. Kiedy wyszedł z więzienia i zjawił się u nas, miał niewiele ponad 20 lat. I choć minęło od tamtej pory parę lat, on nadal

zupełnie nie potrafi żyć. Odchodzi od nas i wraca, ma już syna, którego wychowuje sam i zupełnie mu to nie idzie, choć bardzo go kocha. Narobił nam już tyle numerów, że praktycznie nie powinniśmy na niego patrzeć, zresztą wielokrotnie go wyrzucaliśmy. Ale wiemy, że oprócz nas nie ma nikogo. I jak jest na dnie, znowu wraca. Bo do kogo ma pójść?

- *Prawa ręka Siostry, Tamara, opowiadała mi kiedyś o obowiązkach, jakie się z tym wiążą. Cytuję: „Siedzę dwa dni i kombinuję, bo jest taka jedna po domu dziecka, nie ma oprócz nas nikogo, wyszła za mąż i urodziła dziecko. Powinnam ją odwiedzić i przywieźć jakiś prezent, ale nie mam tych dwóch banków czy banki, żeby coś kupić. Nie jesteś kobietą, to trudno ci zrozumieć, co to znaczy urodzić dziecko, którego nikt nie chce i z którego się nikt nie cieszy”.*

- Tamara rzeczywiście robi tutaj za matkę, ojca, babcie i dziadka. Ma szczególny dar wyczuwania ludzkich potrzeb, doceniany już w kraju i za granicą. To ona, jak był tu ostatnio Pascal Pingault, założyciel naszej Wspólnoty, pamiętała o tym, żeby kupić prezent dla jego żony. On nie miał głowy i czasu.

Więc jesteśmy domem. Dla niektórych, na szczęście, domem przejściowym. Dla niektórych – domem na zawsze. Innego nigdy nie mieli, albo nigdy już nie będą mieli.

- *Na rekolekcjach wielkopostnych waszej Wspólnoty, mówiła Siostra: „nie jesteśmy pracownikami socjalnymi. W tym są lepsi od nas. Jesteśmy po to, by kochać ludzi, z którymi jesteśmy”.*

- Dokładnie. Ale dlatego tak trudno nas zrozumieć, nawet ludziom naprawdę dobrej woli, z którymi współpracujemy ściśle i serdecznie – np. z wspierającego nas zarządu Miasta Stołecznego Warszawy. Toczę z nimi walkę, bo oni usiłują wprowadzić (i na pewno to zrobią) kwestionariusze osobowe dla mieszkańców wszystkich schronisk na terenie miasta. Oznacza to dziesiątki formularzy, przed którymi panicznie się bronię, bo „kładą” mi zupełnie pomysł na stosunek do drugiego człowieka. Do domu nie przychodzi się z papierami. Człowiek, który jest nieprzytomny ze zmęczenia, nie może od razu opowiadać, kim jest i po co przyszedł. Najpierw musi się wykapać i wyspać.

My, przyjmując ludzi pod dach, nie chcemy, by byli zmuszani do wypełniania stert ankiet i do opowiadania o swoim życiu, jeśli nie jest to potrzebne do załatwienia jakichś ich spraw, np. zasiłku z pomocy społecznej. I tak, żeby go dostać, trzeba wypełnić kilkadziesiąt stron formularza.

- *Przepraszam, ile?*

- Kilkadziesiąt. Nie wiem, po co aż tyle. Biurokracja jest utrapieniem – trafiła do nas niedawno dziewczyna z dziećmi, pochodząca z warszawskiej dzielnicy, która prowadzi dom dla matek z dziećmi. Żeby się dostać do tamtego domu, musiała czekać prawie cztery tygodnie na załatwienie papierów.

- *Do czego mają służyć te kwestionariusze zarządu miasta? Czy do tego, żeby znajdujący się już w bazie danych bezdomny, który notorycznie nie wykorzystuje stwarzanych mu szans, został „odstawiony” od pomocy?*

- Na szczęście nie, na to zresztą nikt by się nie zgodził. Nigdy nie wiemy, w którym momencie człowiek, który marnuje kolejne szanse, wreszcie „załapie”. Była taka sławna mieszkanka, „królowa dwor-

ca”, z którą mieliśmy sto kłopotów. Przywożono ją w stanie kompletnego wyczerpania, z potwornymi ranami na nogach, zawszoną, przepita... I zawsze, kiedy tylko doprowadzaliśmy ją do stanu, że mogła samodzielnie przejść parę kroków, wracała na dworzec. Potem zniknęła – myśleliśmy, że już nie żyje, bo według wszelkich praw fizyki powinna nie żyć. Ale niedawno dostałam list z jednego z ośrodków monarowskich: pisze ta pani, że ma się dobrze i „wychodzi na prostą”. A więc ten okres, który u nas spędzała, pozwolił jej dożyć przełomu – kiedy miała już kompletnie dosyć i postanowiła wziąć się za siebie.

Nie możemy dekretować, że ktoś, kto był trzy razy w schronisku i wyleciał, już nie ma prawa korzystać z pomocy. W ankiecie miasta chodzi o coś innego – o badania socjologiczne, które pozwoliłyby na przygotowanie jakiegoś perspektywicznego planu postępowania z bezdomnymi. To ma swój sens, oczywiście. Ale pytając, trzeba wejść w delikatne sprawy: czy siedział w więzieniu, za co? Ja mojemu mieszkańcowi w życiu takiego pytania nie zadam. Jak zechce, powie mi sam. Jest w d o m u.

- *A jeżeli jest ukrywającym się przestępcą?*

- A to już jest sprawa policji, niech go szuka. Ja nie przeszkadzam służbom śledczym: jak przyjdą z nakazem aresztowania kogoś, trudno. Ale sama nigdy nie podaję informacji. Zresztą wcale nie muszę tego wiedzieć.

- *A jeżeli Siostra wie?*

- Od początku istnieje w Kościele prawo azylu. Każdy, nawet najgroźniejszy przestępca jest człowiekiem w oczach Bożych. Ma prawo zjeść, wykąpać się, wyleczyć.

Zdarzają się zresztą sytuacje paranoiczne. Trafił do nas ktoś, kto był ścigany za niepłacenie alimentów i rzeczywiście ukrywał się przed policją. Dzięki nam znalazł pracę i... zaczął spłacać alimenty. Przecież jeśliby poszedł do więzienia, byłby już do końca zmarnowany, a i tak nie zapłaciłby alimentów, bo z czego? Nie mówię już o tym, że jego pobyt w więzieniu kosztowałby państwo drożej niż te alimenty. Takich historii można by opowiadać więcej. Był np. taki Stasio na wózku inwalidzkim, już nie żyje. Trafił do nas po wypadku, z kliniki ortopedycznej, w której mu prawie przyszyli nogę do pleców – bo kto by się przejmował jakimś bezdomnym. Miał średnie wykształcenie z jakiegoś dobrego liceum w Warszawie, siedział u nas w schronisku dla chorych na Mszczonowskiej, w ogóle nie chodził. I nagle przyszła po niego policja. Powiedzieliśmy: dobra, jeżeli przyjedzie lekarz, wydamy pana Stasia. Inaczej nie ma mowy. Odjechali pod warunkiem, że napiszemy w jego sprawie list do komendy rejonowej na Żytnią. Napisaliśmy, posłaliśmy też orzeczenie lekarskie, ale policja te papiery zgubiła. Więc przyszli po pana Stasia drugi raz – siedmiu potężnych facetów, prawie brygada antyterrorystyczna, chce zwinąć drobnego, trzęsącego się inwalidę. Wycofali się i tym razem, bo Renia, kierowniczka ośrodka zażądała karetki, która przewiozłaby go do szpitala więziennego. Stała w drzwiach, powiedziała „bez lekarza nie puszczę”, a oni doszli do wniosku, że się z nią nie będą bili. Kolejne pismo przyszło ze Szczecina

(stamtąd był list gończy – pan Staś ukradł coś na tamtejszym dworcu w r. 1991), że jeżeli natychmiast nie prześlemy im orzeczenia lekarskiego o stanie zdrowia pana Stasia, to kierowniczka schroniska zostanie surowo ukarana. I wtedy ja się zdenerwowałam. Napisałam pismo do dzielnej prokuratury rejonowej w Szczecinie, która odnalazła po latach groźnego przestępcę w schronisku dla bezdomnych w stanie agonalnym. Pisałam, że dokumenty posyłaliśmy wielokrotnie, i że bardzo chętnie wszyscy pójdziemy do więzienia. A co do pana Stasia – jeśli już koniecznie musi odsiedzieć za swoje dawne grzechy, to dużo taniej będzie, jeśli wstawimy kraty w oknach, bo pan Staś się i tak nie rusza z pokoju. Z klawiszem byłoby nieco trudniej, a najtrudniej z wypiską, bo nie mamy na to pieniędzy.

Ale to jeszcze nie koniec, bo ktoś z kumpli wziął pana Stasia na wózek na spacer, na dworzec. Któryś z bezdomnych zademonstrował go policji, więc ta wreszcie go dopadła i wsadziła do więzienia, żeby po dwóch miesiącach odstawić go ze szpitala więziennego z powrotem na dworzec – okazało się, że pan Staś ma ciężki nowotwór. Wkrótce zresztą umarł – u nas.

- *Jak na tym tle wygląda aktywność policji w przypadkach maltretowania kobiet? Wiele z mieszkanek Waszego domu w Brwinowie to kobiety po takich właśnie „przejsiach”...*

- Policja wkracza dopiero wtedy, kiedy mąż zabije żonę. Wcześniej mamy do czynienia ze „sprawami rodzinnymi”.

- *To znaczy?*

- Teraz są u nas dwie kobiety, których mężowie mają wyroki w zawieszeniu za znęcanie się – bo za to nie dostaje się odsiadki rzeczywistej, żeby kobieta mogła choć trochę odpocząć i zwyczajnie założyć sprawę o rozwód. To nie jest przestępstwo traktowane na równi z innymi. Jeśli pobije pan człowieka na ulicy, do tego stopnia, że złamie mu pan kręgosłup, doprowadzi do wstrząsu mózgu i inwalidztwa na całe życie – to pójdzie pan siedzieć bez zawieszenia. Ale jeśli pobije pan tak żonę (a żona to nie człowiek), dostanie pan wyrok w zawieszeniu i to po paru latach, jeżeli było wielu świadków i wiele obdukcji. A co potem? Pan dostaje kuratora, bije żonę dalej, a kiedy ona skarży się kuratorowi, ten wzywa pana na rozmowę. Spotkałam się z takim przypadkiem, że kurator mówił delikwentowi, jak ma bić, żeby nie trafić do pierdła. Ewentualne odwieszanie trwa miesiącami, są potrzebni kolejni świadkowie, obdukcje itd., a bita kobieta rzecz jasna nie ma się gdzie podziać. Jedna z tych pań, które u nas mieszkają, przyszła z uszkodzonym kręgosłupem i urazami neurologicznymi, druga z buzią jak jabłko.

- *Dopowiedzmy: żona trafia do ośrodka dla bezdomnych, mąż zostaje w domu.*

- I nie płaci czynszu, bo tym zwykle zajmuje się kobieta. I nawet jeśli jakimś cudem, już po rozwodzie, uda się jej go wyeksmitować, będzie musiała spłacać kilkuletnie zaległości czynszowe – skąd ma na to wziąć pieniądze?

Mam teraz inną historię: uciekła do nas kobieta z dziećmi od maltretującego ją męża, facet dostał wyrok w zawieszeniu, ale w trakcie sprawy rozwodowej sąd zaczął się zastanawiać, czy nie odebrać jej dzieci:

bo przebywają w ośrodku dla bezdomnych. Normalna, sympatyczna kobieta, naprawdę bardzo dbająca o dzieci, musi jeszcze płacić w sądzie za wizyty kuratora.

Była też u nas pani, posądzona przez chorego psychicznie męża, zresztą wysokiego oficera Wojska Polskiego, o wykorzystywanie seksualne nieletnich. Chorobę męża stwierdzili nawet wojskowi psychiatrzy, co nie przeszkodziło policji aresztować ją w pracy (była urzędniczką) i posadzić „na dołku”. Jej córkę przesłuchiwali dwa lata, co kompletnie zniszczyło tę dziewczynę, a na końcu uroczyście stwierdzili powszechnie znany fakt – że chłop jest wariatem. Kto zwróci tej kobiecie lata upokorzeń, „obciach”, jaki jej zrobiono wyprowadzając ją z pracy jak przestępcę, pobyt w więzieniu itd.?

- *Jak sobie radzicie z prawną stroną takich wypadków?*

- Mamy wprawę. Napisać pozew rozwodowy to naprawdę nie sztuka.

- *Siostra zakonna? Pozew rozwodowy?*

- Nie pochwalam tego. Ale w skrajnych przypadkach nie widzę innego wyjścia: dla maltretowanych kobiet, i dla ich dzieci, to jedyna forma obrony życia.

- *Życia?*

- Co mogę jeszcze panu opowiedzieć? Może o kobiecie, którą katował mąż-psychopata, trzymając ją przez dwanaście godzin nago na krześle, tak, że jak znaleźli ją policjanci, jeden nie wytrzymał i zwymiotował? Czy widzi pan dla niej inne wyjście niż załatwienie rozwodu? Nie mówię już o tym, że kobieta bez rozwodu nie może się np. starać o mieszkanie. Ile lat ktoś taki może u nas siedzieć? A jeżeli w dodatku ma dzieci i sprawa rozwodowa wlecze się latami? Wyobraźmy sobie dziewczynkę, która w dniu rozpoczęcia sprawy rodziców ma dziesięć lat i przez następne pięć nie ma domu... W najlepszym układzie trafia ona do mnie; do lepszego wprawdzie, ale przytułku, gdzie jest tłok, nie ma intymności itd.

- *Zdaje się, że istnieje wiele organizacji pozarządowych, zajmujących się interwencją kryzysową, ofiarami przemocy itp.*

- Nie spotkałam jeszcze takiej, do której mogłaby się zwrócić kobieta z swojego domu i która przeprowadziłaby szybko i sprawnie jej sprawy. Paradoks sytuacji polega na tym, że pewnie łatwiej można uzyskać w różnych miejscach pieniądze na zorganizowanie konferencji o ofiarach przemocy (czy np. o bezdomności) niż na pomoc ofiarom przemocy. W zimie zadzwoniłam do Państwowej Agencji Przeciwdziałania Problemom Alkoholowym, bo nie miałam pieniędzy na węgiel w Brwinowie. Mróz potworny, a tu mamy dwanaście matek i trzydzieścioro dzieci, wszystkie są ofiarami alkoholizmu tatusiów. Usłyszałam, że mogę dostać pieniądze na wydanie broszury, albo na konferencję.

Dostaję na takie konferencje zaproszenia – nigdy nie chodzę. Po co mam siedzieć dzień czy dwa i słuchać o czymś, o czym dobrze wiem i o czym bodaj jako pierwsza zaczęłam głośno mówić: że w domu mąż może bezkarnie zakatować żonę? Że – był taki przypadek – prokuratura odrzuciła skargę, bo mąż bił żonę zaledwie tydzień, a więc za krótko?

- *Słyszałem dziesiątki kazań i listów pasterskich o kryzysie rodziny, ale bodaj nigdy nie było w nich mowy o przemocy w rodzinie. O niedobrych mediach za to – do woli.*

- Ja też uważam, że to jest temat, o którym powinno się mówić w Kościele. Pamiętam, jak w jakimś kościelnym gronie, kiedy mówiono o nowelizacji ustawy antyaborcyjnej, przypomniałam o dzieciach, które są u mnie, albo na ulicy – nie mają gdzie spać, bo rodzice się tłuką. I jakiś ksiądz krzyknął na mnie, żebym się broń Boże nie odzywała, bo to woda na młyn zwolenników aborcji.

Takie powiązanie nie przyszłoby mi nigdy do głowy. I mam wrażenie, że jest dziś w Polsce ogromny problem, z którego wielu księży zwyczajnie nie zdaje sobie sprawy.

- *Może po prostu trzeba osobom podejmującym decyzje – także w Kościele – uświadomić, jak to wygląda.*

- Proszę bardzo. Wyprowadzanie na prostą dziecka, które było świadkiem przemocy i alkoholowych scen, trwa u nas mniej więcej pół roku. Tyle potrzeba, żeby dziecko przestało demolować dom, rznąć w paski krzesła, obrywać rynny, gryźć i podbijać oczy kolegom. Przecież nasz dom w Brwinowie jest kompletnie zdemolowany, zabawki i meble zniszczone, trzeba co roku malować, Sanepid się czepia. Ale przecież go nie zamknę i nie zostawię tych ludzi.

- *Mówiła Siostra o wpadkach wymiaru sprawiedliwości. Ale do tego można dodać służbę zdrowia...*

- Służba zdrowia działa tylko wtedy, kiedy udaje nam się poruszyć serce jakiegoś konkretnego lekarza. Po prostu są jeszcze przyzwoici lekarze – przyzwoici jako ludzie. W domu dla matek w Brwinowie mam Beatę – dziewczynę chorą na padaczkę, po kilkuletnim pobycie w więzieniu: próbowała zabić męża, który ją maltretował. W więzieniu – to było jeszcze za komuny – robiono na niej jakieś eksperymenty, nie załatwiono jej grupy inwalidzkiej, mimo iż miała już zaświadczenia od psychiatry i neurologa, że jest chora. Jak dostaje ataku, to łączy się epilepsja z charakteropatią, Beata jest agresywna – albo się sama rżnie, albo rżnie kogoś. Pogotowie przyjeżdża co drugi dzień i robi awantury, że trzeba ją zawieźć do szpitala. Więc zawieźliśmy Beatę do Tworek, do naszego rejonowego szpitala psychiatrycznego, gdzie zamknęli ją – niby na obserwację tych ataków, ale zaraz szepnął mi jakiś lekarz „czy wyście poszaleli, przecież nikt jej tu nie obserwuje”. Jak dostawała ataku, pielęgniarka przywiązywała ją do łóżka i tyle. Zawieźliśmy ją więc do kolejnego szpitala psychiatrycznego, a wreszcie – znowu po awanturach – na neurologię na Banacha. Tam „ustawili” jej leki, ale ona się do tych leków przyzwyczaiła i znowu mam pogotowie co dwa dni. Wzywamy karetkę z Pruszkowa, wszyscy tamtejsi lekarze objechali już Beatę i mojego Artura – też chorego na epilepsję. Znają nas tak dobrze, że chyba nawet kierowca wiedziałby, co robić. Ale niedawno któryś lekarz z pogotowia się zdenerwował, że Beatę trzeba do szpitala. Mówię: „dobrze, ja z panem pojedę, zobaczymy”. Zawieźliśmy ją do ambulatorium na neurologię, o drugiej w nocy dostała ataku na izbie przyjęć i nie przyjęto jej. Teraz będę próbowała przez znajomości, bo co mi pozostaje?

- *Jak siostra ocenia ustawę psychiatryczną?*

- Nie chcę się skłócić z Markiem Nowickim – być może ona jest dobra, ale efekty, jakie przynosi dla naszych bezdomnych są fatalne. To są ludzie błakający się latami, rodzina nie ma możliwości umieszczenia ich w szpitalu, bo trzeba by ich ubezwłasnowolnić, co trwa (znowu) bardzo długo, ludzie często nie chcą tego robić, wstydzą się... A szpitale nie mogą przyjmować, jeżeli chorzy nie wyrażają zgody na leczenie. Koniec końców dochodzi do sytuacji, w których my nie wytrzymujemy, pozostali nasi mieszkańcy nie wytrzymują, i musimy takiego człowieka usunąć – bo jest agresywny, tłucze szyby itd.

- *Renia opowiadała o takim przypadku – starszej pani, która siusiła mężczyznom do łóżek, podpaliła wykładzinę...*

- Bo Renia – pracując w domu dla chorych na Mszczonowskiej – ma takich przypadków najwięcej. Choćby pana, który własne odchody rozmazuje po ścianie – wypuszczony ze szpitala jako zdrowy. Ale np. w noclegowni na Stawkach jest kobieta, która ma głębokie zmiany psychiczne po alkoholu – wrzeszczy po nocach, awanturuje się, kopie, kiedyś nawet mnie pobiła. Jak jest pijana, można ją zawieźć na Kolską, do izby wytrzeźwień – ale następnego dnia ją wypuszczają. I co dalej robić, skoro jest trzeźwa i nie wyraża zgody na szpital?

Są przypadki, w których nie jesteśmy w stanie załatwić nawet grupy inwalidzkiej, bo ktoś nie chce pójść do psychiatry. Nie i już – i zostaje bez środków do życia, bo pomoc społeczna nie ma podstaw, żeby wypłacić zasiłek.

- *Co więc robicie z tymi ludźmi?*

- Jak się da, trzymamy latami. Jak się nie da, bo ten ktoś zagraża otoczeniu – przecież reszta mieszkańców to też nie są anioły, a poza tym: kto wytrzyma życie w ciągłym napięciu? – trzeba kogoś takiego usunąć. Czasami usuwamy, ale mówimy: jeśli zaczniesz się leczyć, możesz wrócić. Bywało tak, że po iluś razach, kiedy ktoś wracał w coraz gorszym stanie, znowu brudny i zawszony, decydował się pójść do lekarza. Ale to ktoś z resztką zdrowego myślenia.

Przyjmijmy zresztą, że delikwent idzie do lekarza i dostaje grupę inwalidzką. Co dalej? Mamy kilka takich osób – wszyscy dość młodzi. Co się z nimi stanie? Domy pomocy społecznej? Oczekiwanie około dziesięciu lat. A gdyby ich ubezwłasnowolnić, kto byłby kuratorem? Nam proponowano to nieraz – bo dla rodziny to kłopot. Ale my nie możemy robić wszystkiego.

- *Renia podobno powiedziała w sprawie tej babci z Mszczonowskiej: „niech sobie Wysoki Sąd sam ją adoptuje”.*

- Bo też trzeba przyznać, że Wysoki Sąd zachowywał się w stosunku do Reni bezczelnie – traktował ją z pogardą, przeciągał sprawę, co uniemożliwiało umieszczenie babci w domu pomocy społecznej. Chyba interweniowaliśmy wtedy w ministerstwie – dokładnie nie pamiętam, bo tyle było tych interwencji...

- *Następna „wylęgarnia” bezdomnych to dom dziecka, prawda? Nie uczy samodzielności...*

- Kompletnie. W pewnym momencie 80 procent naszych mieszkańców stanowili wychowankowie domów dziecka – nie wszyscy oczywiście byli młodzi, niektórzy mieli po 40 lat i dalej nie potrafili znaleźć sobie miejsca w życiu. Od lat marzę o utworzeniu kilku hosteli, które mogłyby wylapywać wychowanków domów dziecka, zanim ci nabiorą zwyczaju włóczenia się. Mogliby tam tanio wynajmować coś małego, ale równocześnie byłiby kontrolowani – częsty problem wychowanków domów dziecka, którzy dostali mieszkania, polega na nieumiejętności dbania o swoje: zdemolują, zapuszczą i tyle. A tu dostawaliby malutkie, ale samodzielne mieszkanko, za które płaciliby niewielki czynsz, musieli o nie dbać i pod kontrolą odkładać pieniądze na mieszkanie stałe. Nauka samodzielności i odpowiedzialności, na którą u nas często jest już za późno.

- *Podczas którejś z wizyt w domu na Łopuszańskiej poznałem Monikę...*

- No właśnie, choć jej historia kończy się prawie happy endem. Wyszła z domu dziecka, spędziła z nami trzy lata, aż w końcu wyszła za mąż za chłopaka, który pracował u wulkanizatora w sąsiedztwie.

„Prawie happy end”, bo najpierw ten chłopak ją bił, a teściowa też zdrowo dawała w kość. Jeździliśmy tam raz i drugi z interwencją – pomogło, bo jednak trochę się mnie boją (*śmiech*). Ale gdyby Monika była sama, pewnie by ją zjedli. Choć trzeba powiedzieć, że ona też nie jest bez winy, bo nic nie potrafi wokół siebie zrobić.

- *Mimo tych trzech lat?*

- Pół roku przed ślubem daliśmy ją nawet na kuchnię, ale i to nie pomogło. Musi pan jednak pamiętać, że Monika kończyła szkołę specjalną.

Akurat o te dwie rzeczy staram się pytać: o dom dziecka i o szkołę. Nietaktowne, ale konieczne. Jeżeli mam do czynienia z młodym człowiekiem i dowiaduję się, że wyszedł z domu dziecka, wiem, jak postępować: czego mogę się po nim spodziewać i czego na pewno nie będzie umiał. A jeżeli rznie przede mną głupa młoda dziewczyna i słyszę, że kończyła szkołę specjalną, wiem że nie próbuje mnie oszukać. Ale niedawno była taka dama na Mszczonowskiej: ma lat 30 i przychodzi w stanie koszmarnym, brudna, zawszona, ze wszystkimi damskimi przypadłościami na spodniach, głodna i jeszcze dość ładna. Pytam, co robi na dworcu, myślę, że może upośledzona, a dowiaduję się, że ma maturę – skończyła technikum terenów zielonych... Proponuję jej, żeby się wykąpała i przebrała, bo nie wezmę jej do samochodu w takim stanie, oferuję wyjazd na Łopuszańską, gdzie jest dom dla ludzi młodych, a ona kąpie się, przebiera i wraca na dworzec. Znaczy się, lubi.

- *Co „lubi”?*

- Włóczenie się, picie, mężczyzn, kradzieże, „złotą wolność”. Zamknięcie dworca niewątpliwie ułatwiłoby nam życie i uratowałoby wielu ludzi, bo nie byłoby takiego miejsca, w którym by się fajnie żyło. Tak jak likwidacja meliny. Kiedyś przywieziono do nas z dworca siedem kobiet. I przypomniałam sobie,

jak chodziłam do nich zimą – namawiałam, żeby przyszły do noclegowni. Część z nich po prostu nie chciała.

- *Czy można być „bezdolnym z wyboru”?*

- To chyba nigdy do końca nie jest wybór – jak z nałogiem. Długi brak domu powoduje zmiany w psychice, nieumiejętność nawiązywania kontaktów, lęk, zamknięcie w sobie, jakieś uzależnienie od takiego życia... Ja nie spotkałam „bezdolnego z wyboru”. I wierzę, że gdyby stworzyć im miejsce, w którym odnaleźliby się całkowicie, gdyby im pomóc i towarzyszyć (na to jest nas za mało), to okazałoby się, że nikt nie chce być bezdolny.

Prawdą jest natomiast, że w domach dla bezdolnych jest bardzo wielu mężczyzn uzależnionych od alkoholu. Są tacy, którzy przestają u nas pić, bo wypili swoje do dna (w Warszawie są zresztą już dwa pozarządowe programy odwykowe dla bezdolnych). Ale są i tacy, którzy nie wypili – wylatują z ośrodków za picie i na nich nie ma siły. Więc idą na dworzec i „lubią” być na dworcu.

- *No właśnie. Jednym z głośniejszych wydarzeń roku 1998 był protest bezdolnych na Dworcu Centralnym – czyszczono go bodajże z okazji ważnych wydarzeń międzynarodowych i próbowano bezdolnych usunąć. Usiedli więc na środku holu i zaczęli protest.*

- Pytanie, czy wymyślili to sami. Jeżeli tak, to znakomicie – odezwało się w nich poczucie godności, solidarność... Ale jeśli była to kolejna manipulacja kogoś, to bardzo niedobrze.

- *Oboje wiemy, że nie wymyślili tego sami.*

- Dlatego moim zdaniem – ale nie tylko moim, także pozostałych członków Rady Opiekuńczej, zrzeszającej organizacje działające na rzecz bezdolnych – tym razem i w tej formie protestu ludzie bezdolni nie mieli racji. Przede wszystkim: w schroniskach były miejsca. Pani Tarkowska, która ma ogromny ośrodek w Otwocku, wręcz podjechała na dworzec i zaproponowała że ich weźmie, ale ksiądz Boguś Paleczny, kierujący protestem, powiedział, żeby nie psuła mu interesu. Mówiło się – to powiedziała nam jedna z dziennikarek – że we Wspólnocie Chleb Życia, w Monarze (ciekawe, że zawsze idziemy razem z Monarem...) i u pani Tarkowskiej, bezdolni są bici. Widział pan, jak bezdolni są u nas bici... Ale puszcza się takie plotki po to, by udowodnić, że ks. Bogusław Paleczny koniecznie musi wybudować prawdziwą noclegownię, bo wszystkie inne organizacje są do kitu. Myślę, że jakby miał, może by wiedział, co to oznacza. Projekt noclegowni, jaki kiedyś przedstawiał ludziom z Rady Opiekuńczej, podnosił włosy na głowie: miały tam być sale z kamerami wideo, działającymi dzień i noc, śledzące każdego bezdolnego. Orwell... Ksiądz Bogusław mógł zresztą kiedyś przejąć noclegownię na Wolskiej – nie zrobił tego, bo zażądał dwudziestu kilku etatów od miasta. Takiego luksusu nie ma żadna organizacja.

- *Protest na dworcu popierało Radio Maryja, wśród protestujących często pojawiał się o. Rydzyk, który apelował o wpłaty na mieszkania dla bezdolnych.*

- Dla mnie to paranoja. Jeśli brak mieszkań jest rzeczywistym problemem bezdomnych, to w większości nie dotyka on ludzi w tym stadium resocjalizacji, którzy są na dworcu. Czy wyobraża pan sobie, że oni nagle zamieszkają normalnie w mieszkaniach, będą o nie dbać, płacić czynsz itd.? Przecież nie chcą iść do schronisk właśnie dlatego, że schroniska stawiają pewne wymagania. Na dworcu zaś jest fajnie, bo nie ma żadnych wymagań. Już nie mówię o tym, że nasi mieszkańcy z Mszczonowskiej – w większości przecież z dworca – mówili o tym, że niektórzy strajkujący mają normalne mieszkania, tylko je wynajęli, żeby mieć pieniądze na alkohol. A widział pan, ilu tam było młodych, zdrowych byków, którzy się nie zabiorą za żadną robotę? Przecież bezrobocie w Warszawie jest bliskie zeru!

- *Rozumiem, że mieszkając u Siostry, bezdomni muszą starać się o pracę. Na dworcu żyją z żebraniiny, albo wręcz kradzieży.*

- Ja się nie dziwię władzom dworca, bo to nie PKP powinny rozwiązywać problemy ludzi bezdomnych. Pasażerowie mają prawo do wolnych miejsc na ławce, mają prawo nie bać się wszy, nie widzieć pijackich rozrób, zjeść spokojnie w barze. Uważam się oczywiście za obrońcę bezdomnych, ale uważam, że jeżeli chcemy im pomóc, musimy im pokazać właściwą drogę do wyjścia z sytuacji.

Pomysł wybudowania bloków z mieszkaniami dla bezdomnych nie podoba mi się jeszcze z jednego powodu: to tworzenie getta marginesu społecznego. Były już próby w Ameryce Łacińskiej, to chyba Helder Camara robił takie eksperymenty. I naciął się, bo zamiast opróżnić slumsy, tylko je zwiększył – zaczęli do nich napływać ludzie w nadziei, że dostaną mieszkanie. Kłopot Warszawy polega na tym, że przyjeżdżają tu bezdomni z całej Polski w nadziei, że dostaną pomoc. Miasto broni się rozpaczliwie – i słusznie – przed budowaniem kolejnych schronisk. Natomiast – i to błąd – nie buduje mieszkań socjalnych. One nie uratują wprawdzie tych z dworca, ale mogą pomóc komuś, kto po latach mieszkania w schronisku potrafi już samodzielnie funkcjonować (od nas np. swobodnie mogłaby odejść pani Basia, która ma już stałą pracę, jest samodzielna, gospodarna...). Mogą też wielu ludzi uchronić przed bezdomnością. W gminie Ursus kilkadziesiąt rodzin nie płacących czynszu będzie wyeksmitowane na bruk.

Przepraszam bardzo, gdzie one pójdą, do mnie?

- *Mieszkańcy domu z Mszczonowskiej – w większości znający dworzec na pamięć – byli przeciwni strajkowi.*

- Zachowali jakieś poczucie sprawiedliwości. Bo jak to jest? U nas oferujemy czyste łóżko – dla zdrowego w dużej sali, dla chorych w mniejszej, trzy razy dziennie jedzenie plus chleb wyłożony non stop, prysznic, opiekę lekarską i lekarstwa za darmo, pomoc pracownika socjalnego. Chwileczkę: kto normalny nie musi zapłacić za dentystę albo za leki? Ja muszę z dzieckiem wystać się w kolejce do przychodni, a bezdomny jedzie na Wolską, gdzie specjalnie na niego czeka lekarz. A czy wszystkich emerytów stać na trzy posiłki dziennie? I to jakie? Na śniadanie zupka mleczna, dżemik, serków i jogurtów potąd, na obiad albo gęsta zupa „z wkładką”, albo wręcz dwa dania, z surówkami i sałatkami, na kolację

wędlna. Kto tak ma? A warunkiem jest jedynie współpraca z nami w celu załatwienia swoich spraw – zasiłku, pracy itd. Ci, którzy naprawdę chcą, mają szansę wyjścia z bezdomności.

- *Ktoś może wręcz powiedzieć „zapewniacie ludziom lekkie życie”.*

- Niestety, nawet największe nasze wysiłki nie umniejszą cierpienia, które przeżywają ci ludzie – bez domu i najbliższych, z poplątanymi, często nie z własnej winy, biografiami...

Poza tym: ci, którzy mogą, muszą na jedzenie zapracować. Jeśli nie mogą znaleźć pracy na zewnątrz, muszą robić coś w domu. Oczywiście, jeżeli ktoś jest chory, nie będzie zmuszany do pracy – on cierpi i to być może cierpi za nas. Natomiast co innego poczucie sprawiedliwości, o którym mówiłam poprzednio, co innego „lekkie życie”. Kiedy słyszę coś takiego, np. na poczcie w Brwinowie, namawiam, żeby u nas zamieszkać – w pokoju, gdzie są piętrowe łóżka, współmieszkanki się zmieniają, nie ma się nic swojego oprócz kilku ubrań. Gdzie trzeba jeść to, o czym inni zdecydowali, gotuje się źle, bo gotuje się tak, jak się potrafi i z tego, co się ma. Gdzie jest ciasnota, nie można się położyć, kiedy się chce, o zaproszeniu gości nie mówiąc. I gdzie ma się na głowie procesy sądowe, nieraz wieloletnie koszmarnie przeżycia rodzinne, kłopoty z dziećmi, niepewną przyszłość. Nie wydaje mi się, żeby to było lekkie życie. Myślę nawet, że człowiek pozbawiony wszystkiego, powinien mieć życie maksymalnie osłodzone – żeby w ogóle chciał żyć w tej upokarzającej sytuacji. Przecież siłą rzeczy ci ludzie są zależni – jeśli nie od nas, to od tych, którzy nam dają budynki i dotacje – bo my też jesteśmy zależni.

- *Od was jednak przede wszystkim. Możecie np. zdecydować o usunięciu kogoś. Siostra mówi, że żeby im pomóc nie można mieć złudzeń...*

- Nie można. Bo to są ludzie bardzo głęboko zranieni, ale na pewno nie anioły. To, że ktoś jest w trudnej sytuacji nie oznacza, że jest święty – nie pije, nie kłamie, nie kradnie, nie cudzołoży.

Jeżeli jesteśmy twardzi, to dla dobra człowieka. Nie chcemy ich upokarzać, ale zawsze żyjemy w prawdzie z ludźmi, którzy są pod naszym dachem. Jeśli dziewczyna mnie okłamuje, mówię jej, że mnie okłamuje.

- *Jeżeli była prostytutką...*

- ...to gdy będzie trzeba, przypomnę jej o tym. Jej językiem: słuchaj, przecież byłaś dziwką.

- *Podobno zasadą Waszego życia jest nie stosowanie przemocy słownej...*

- Przecież ktoś, kto wyszedł z poprawczaka czy więzienia, nie rozumie innych słów. Porozumienie z naszymi mieszkańcami nie może się odbywać na poziomie wybujałych pojęć. „Kochana córeczko, czy byłabyś tak dobra, zajęła się swoim dzieckiem i wyjęła mu kupę z pieluch”... Muszę mówić tak, by do niej dotarło. I kiedy idę np. odwiedzić mojego brata, rozmawiam z kulturalnymi ludźmi, muszę się dobrze wysilić, żeby się „przestawić”.

Ile lat już w tym siedzimy, dziesięć? Tamara twierdzi, że dopiero od jakichś pięciu lat nie potrzebuję tłumacza. Najpierw było tak, że coś się działo, więc robiliśmy zebranie mieszkańców i ja wygłaszałam przemówienie. „Drodzy bracia i siostry, może byśmy się tak zastanowili i z powodów wysoce ideolo-

gicznych przestali siusiać na deskę klozetową”. Potem oni kiwali głowami, ja wychodziłam, a Tamara tłumaczyła z polskiego na nasze, załatwiając rzecz całą dwoma zdaniami. Potem i ja się nauczyłam. Niedawno rozmawiałam z Marie-Annick Pingault, żoną naszego założyciela: „Uczycie nas, że przełożeni nie powinni robić tego i owego, ale sami to znacie. Wasze dzieci o jedenastej powinny dawno być w łóżkach, a łażą po korytarzu i wrzeszczą. Nie mówicie: ‘kochane dzieci, może byście poszły spać’, bo nie skutkuje. Idziecie i wrzeszczycie. Ja robię to samo”.

- *Czyli czasem trzeba nawrzeszczyć. Nie okazując współczucia.*

- To nie tak. Współczucie trzeba okazać zawsze. Natomiast nie można okazać litości. I trzeba uważać – np. nie można wyrzucić kogoś wtedy, kiedy istnieje ryzyko, że grozi mu śmierć. Jeżeli dana osoba jest tak pijana, że po wyjściu zamarnie mi pod płótem, nie mogę tego zrobić, dopóki się nie wyśpi i nie wytrzeźwieje. Raz zdarzyło się coś takiego w naszym schronisku we Francji – ktoś wyrzucony, zasnął i zamarł pod płótem.

- *Jeśli demoralizuje innych, rozrabia?*

- Nie można wyrzucać na pewną śmierć. Jeśli wiem, że ktoś jest chory psychicznie i za chwilę rzuci się pod pociąg – nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności. Trzeba znaleźć inne rozwiązanie, np. wezwać karetkę psychiatryczną, policję albo służbę miejską i zawieźć do izby wytrzeźwień.

- *Szukam odpowiedzi na pytanie: jak udaje się Siostrze być chrześcijanką z twardą ręką?*

- Raczej: jak być chrześcijanką w prawdzie? Każde działanie musi być dla dobra człowieka. Jeśli wyrzucenie jest dla dobra człowieka i dla dobra innych, trzeba to zrobić i robię to bez wahania. Jestem konsekwentna i wymagań nie stawiam jedynie mieszkańcom: niedawno wyrzuciłam na miesiąc członka Wspólnoty, któremu zdarzyło się wypić.

- *Granica między „to dla jego dobra”, a „wkurza mnie” może być płynna...*

- Czasem rzeczywiście mam pokusę wyrzucenia kogoś, z kim nie mogę już wytrzymać. Mogę mieć zły humor, być zdenerwowana czy zmęczona. Dlatego nie podejmuję tych decyzji samodzielnie. Oczywiście trudnych decyzji, bo jeśli ktoś mi przychodzi w biały dzień i pijany w trzy trampki, wyrzucenie go nie jest sprawą trudną.

- *A jakie są trudne decyzje?*

- Np. jak przychodzi wieczorem pijana matka, która jest u nas z dwójką dzieci i jest mróz na dworze – takiej kobiety nie mogę wyrzucić. Co zresztą mieszkanki dobrze wiedzą.

- *I nie wykorzystują tego?*

- Staramy się nie wyrzucać od razu. Jeżeli Pan Bóg ma cierpliwość do nas, to my powinniśmy mieć cierpliwość do innych. Po prostu przeczekujemy, rozmawiamy, a jeśli jeszcze raz coś takiego się zdarzy, odbieramy jej dzieci.

- *Co to znaczy „odbieramy”?*

- Umieszczamy w domu dziecka. Bo to oznacza, że ona nie jest w stanie sama ich wychować.

Trudną decyzją było też wyrzucenie człowieka jeżdżącego na wózku, który notorycznie pił.

- *Za co jeszcze się wyrzuca, oprócz alkoholu, przemocy fizycznej i słownej?*

- Najbardziej stanowczo reagujemy na przemoc psychiczną: terror i wprowadzanie podkultury więziennej, gdzie silniejsi próbują manipulować słabszymi. Za coś takiego wylatuje się bez prawa powrotu. W innych przypadkach na ogół staramy się nie wyrzucać, zwłaszcza zimą i zwłaszcza kobiety. Próbujemy przenosić: z Łopuszańskiej na Stawki, ze Stawek gdzie indziej. Zdarza się jednak, że i wyrzucenie na bruk ludziom dobrze robi. Np., tak się robi najczęściej, na określony termin – tydzień, miesiąc...

- *Czyli nie można wylecieć np. za nie przystępowanie do sakramentów?*

- Niech pan nie żartuje.

- *No bo wie Siostra: katolicki dom dla bezdomnych...*

- Prosimy tylko o szacunek dla naszych przekonań religijnych – nieobrażanie tego, co jest dla nas najważniejsze – i o obecność na jednej z modlitw. Pokazać im drogę do Boga, do Kościoła, mogę tylko przez świadectwo – przez to, kim staram się być, przez mój osobisty związek z Bogiem. Na pewno nie przez „nawracanie na siłę”.

- *A propos przemocy psychicznej: kiedyś słyszałem, jak mówiła Siostra o pokusie, przed którą stoją ludzie pracujący z bezdomnymi (czytaj: słabszymi) – pokusie nadużycia władzy.*

- Nielatwo jest towarzyszyć słabszym.

- *Na czym polega ta pokusa?*

- W każdym człowieku jest tendencja do wykorzystania swojej przewagi wobec słabszych. Gdybym mieniła się jakimś „szefem” domu, mogłabym oczekiwać, że moi mieszkańcy w zamian za to, że staram się o jedzenie dla nich, daję im nocleg itp. – upiorą, ugotują, zaopiekują się Arturem, będą posłuszni. Nigdy nie brałiśmy tego pod uwagę, podobnie jak wplątywania mieszkańców w jakieś problemy między naszą Wspólnotą a światem. Jeżeli np. ktoś nas zaatakuje z zewnątrz, nie zbieramy podpisów wśród bezdomnych, żeby nas wspierali, nie wyprowadzamy bezdomnych na ulice. To byłaby manipulacja. Raz stanęliśmy wobec problemu strajku, ponieważ instytucja samorządowa, która w ramach umowy była zobowiązana dać nam pieniądze na częściowe utrzymanie noclegowni, przez szereg miesięcy nie wywiązywała się ze zobowiązań. Narosły długi, mimo naszych błagań i interwencji, więc postanowiliśmy się wycofać. Oznajmiłam, że jeśli do środy pieniądze nie zostaną przelane na konto, Wspólnota Chleb Życia uzna umowę za nieważną, zabierzemy ze schroniska nasz sprzęt, i zostawimy budynek z mieszkańcami. Uprzejmie poinformowałam, że trzy osoby są umierające i że odejdziemy w świetle kamer – pokazując papiery, które mamy. Bo taka sama odpowiedzialność za sytuację ciąży na nas, jak i na umawiającej się z nami stronie. Poskutkowało.

Ale nawet wtedy nasi bezdomni nie wiedzieli, co się dzieje. Nie chcieliśmy, żeby mieli poczucie niepewności.

- *Kiedy pytam o manipulację słabszym, mam na myśli coś delikatniejszego...*

- Jeśli np. proszę mieszkankę o posprzątanie mojego pokoju? Staram się rozwiązywać to inaczej – wiem, że są wśród nich nałogowcy, których nie stać na papierosy, więc proponuję taką drobną pracę za pieniądze na papierosy. Chętni zawsze się znajdują, a myślę, że wynagradzam sprawiedliwie. Podobnie z myciem samochodu – wprawdzie on im służy i jeździ w ich sprawach, więc to, że się nim opiekują powinno być naturalne, ale kiedy widzę, że ktoś rzeczywiście nie ma ani grosza na papierosy – staram się płacić.

- *Kiedy jest zima, dom pęka w szwach, straż miejska czy pogotowie przywożą kolejne osoby, których nie można nie przyjąć...*

- To na pewno trudny moment. Po raz pierwszy w tym roku zdarzyło się nam mówić, że nie ma miejsc. Bo rzeczywiście nie ma – ludzie leżą wszędzie: w jadalni, korytarzach, na materacach. Problem jest w niewydolności systemu państwowej pomocy społecznej.

- *Co nie zmienia faktu, że trzeba komuś powiedzieć „no niestety”...*

- Jeśli chodzi o kobiety, jeszcze nigdy to się nam nie zdarzyło. Jeśli chodzi o mężczyzn, szukamy rozwiązania – żeby nie musieć tak mówić. Pan Bóg musi pomyśleć razem z nami, np. o pieniądzach na dom na wsi – drobne osiemset milionów i będzie.

- *Ogłoście numer konta.*

- Nie.

- *Jak w tym żydowskim dowcipie: Bóg mówi „daj mi szansę, kup los”.*

- Wykluczone. Szansę ma i bez numeru konta. Jeżeli uważamy, że ubodzy są Chrystusa i że my jesteśmy Chrystusa, musimy być wierni temu, jak się z nami umówił. A umówił się, że nie będziemy podawać numeru konta i On o nas zadba. Umówiliśmy się, że to On znajdzie drogę do otwarcia ludzkich serc i w związku z tym nie próbujemy za bardzo działać na własną rękę. Gdyby było inaczej, motorem naszego działania mogłaby się stać chęć zdobywania coraz większych środków. A wtedy stalibyśmy się samodzielni i niezależni... od Pana Boga. I byłby to początek końca.

Więc zaczniemy budowę bez tych ośmiuset milionów i myślę, że wybudujemy.

Metodą jest też nacisk na instytucje odpowiedzialne za te rzeczy. I apelujemy do nich, żeby zrobiły np. coś z tym, że na miejsca w domach pomocy społecznej w samym woj. warszawskim czeka 120 bezdomnych.

- *Czyli wracamy na dworzec. Może ks. Paleczny miał rację, stosując tak radykalne metody – bo o bezdomnych nagle zaczęło się mówić? Mechanizm mediów polega na tym, że taka lokalna, konkretna sprawa może zwrócić uwagę na szerszy problem.*

- Nie zwróci uwagi na żaden szerszy problem.

- *Przepraszam: tak działa też np. Marek Kotański – ściąga telewizję, robi szum...*

- I co dalej?

- *Dalej ludzie dowiadują się, że np. istnieją narkomani, bezdomni, nosiciele wirusa HIV.*

- Nie, proszę pana. Prasa nigdy nie zajmie się tym, co jest pozytywne, dobre i spokojne. Prasa uwielbia „haje” – na tym polega problem.

- *Myślę, że Siostra przesadza.*

- Były sensowne próby podjęte przez media – parę lat temu drugi program TVP przez cały dzień mówił o problemach ludzi bezdomnych. Mówiono o wszystkim, od samotnych matek, przez osoby opuszczające zakłady karne, osoby wymeldowywane donikąd, problemy schronisk – rzeczowo, na podstawie materiałów filmowych, rozmów itp. Co to dało? Nic.

A tutaj robi się sensację, która zaszkodzi sprawie. Gdyby te osoby, które w schroniskach mają złożone papiery na mieszkanie, albo oczekują na miejsca w domach pomocy społecznej, a do tego samotne matki – ofiary przemocy, czekające na mieszkania, i wychowankowie domów dziecka, którzy są zdolni do samodzielnego życia, i inne osoby, z różnych powodów bez mieszkania (w sumie pewnie zebrałoby się ich w Warszawie z tysiąc); gdyby oni wszyscy, z opisem tego, co każdy zrobił, żeby wyjść ze swojej sytuacji, poszli złożyć te papiery premierowi – to by miało sens. To by była reprezentacja ludzi, którzy chcą coś zrobić, ale z powodów obiektywnych nie mogą.

- *No więc? Dlaczego nie?*

- Bo nieprzemysłane akcje Marka Kotańskiego i ks. Bogusia Palecznego zraziły nas wszystkich. My nie chcemy się podłączać pod tego typu wykrzykiwania.

- *Nawet jeżeli to mogłoby pomóc?*

- To by nie pomogło. Za dużo już było rozrób głupich i nieprawdziwych.

- *Nieprawdziwych?*

- W sprawach, o które nie trzeba było walczyć. Gdyby pan Kotański siadł z nami wszystkimi i chciał sensownie przygotować taką akcję – jak mówię, dobralibyśmy ludzi, którzy rzeczywiście spełniliby pewne kryteria – wtedy tak. Ale on nie siądzie. Pan Kotański (podobnie zresztą, jak ks. Paleczny) znakomicie zdaje sobie sprawę, że wśród bezdomnych jest mnóstwo ludzi, którzy nie chcą ze swoim życiem nic robić – bo się np. dobrze bawią. Niby dlaczego z pieniędzy podatników mieliby być utrzymywani ludzie zdolni do pracy? Ci, którzy wspierają naszą działalność muszą mieć świadomość, że to czemuś służy – że to jest pomoc dla ludzi, którzy chcą wyjść ze swoich problemów, a nie karmienie nierobów.

- *No właśnie. Jak na Waszą pracę reagują ludzie z otoczenia, sąsiedzi? Kiedy kilka lat temu o. Grzegorz Chrzanowski wydrukował w „Znaku” wywiad z Siostrą, Bulowice, w których otwarliście pierwszy dom, były zakryptonimowane. W ten sposób mogła Siostra powiedzieć trochę gorzkich słów o proboszczu, który „w kazaniu mówił do swojej trzódki, żeby – broń Boże! – nie utrzymywać kontaktów z pijakami i prostytutkami”. Problem przerabialiśmy w wielu miastach Polski: niechęć w stosunku do chorych na AIDS, narkomanów, bezdomnych, uchodźców...*

- Myślę, że to się zmienia. Dziś już nie mamy żadnych złych doświadczeń z sąsiadami. I spotykamy się na ogół z wielką pomocą: kiedy idziemy np. na pobliską giełdę owocowo-warzywną, prosić o to, żeby ludzie się z nami podzielili. Owszem, bywa tak, że ktoś na nas nawrzeszczy, ale na ogół ludzie dają: jak widać, żyjemy. Trudno tu wymieniać nazwy firm i sklepów, które przywożą nam żywność – jest ich tak dużo, że mimowolnie mogłabym kogoś pominąć. Chleb od lat mamy za darmo i to w takiej ilości, że możemy się podzielić z innymi organizacjami. Podobnie artykuły mleczne.

- Zdarzają się jednak i rzeczy lekko przeterminowane.

- Bierzymy wszystko, co nadaje się do jedzenia. Tych lekko przeterminowanych nie dajemy dzieciom. A co najważniejsze: proporcja między tym, co dostajemy na skutek naszych próśb i wizyt na giełdzie, a tym, co dostajemy z najróżniejszych miejsc bez próśb, wciąż jest korzystna dla Pana Boga. Bo nie mamy wątpliwości, że zawdzięczamy to Jemu.

- Wróćmy do „liderów”. Znam przypadek – mniejsza o to, z jakiego miasta – wspólnoty, której lider nie chce pomagać „swoim” bezdomnym w wyjściu z bezdomności: bo ta „jego” wspólnota stała się ważniejsza niż ich losy.

- To jest powrót do pytania o uzależnianie ludzi. Myślę, że jedyną drogą, duchową drogą do tego, by żyć z ludźmi słabszymi jest Chrystus. Tylko dzięki Niemu mogę patrzeć na człowieka bezdomnego jako na mojego brata, który ma być wolny – któremu mam pomóc się usamodzielnąć.

Nam nie może być dobrze w tej biedzie – to inna z wersji odpowiedzi na pana pytanie. Powinno być nam dobrze razem, ale powinniśmy się starać z tej biedy wyjść.

- A przynajmniej oni. Wy macie w biedzie pozostać.

- Ktoś z naszej francuskiej Wspólnoty opowiadał dowcip o dwóch murzynach, którzy gdzieś w buszu rozmawiali ze sobą: „słuchaj, podobno jest taka wspólnota, która może mieć tylko dwie pary sandałów”. „To my nie możemy do niej należeć, bo nie mamy ani jednej”. *(śmiech)*

Więc my zostaniemy przy tych dwóch parach sandałów, bo na miejsce tych, którzy może z biedy wyjdą, przyjdą inni. Często nas pytają, dlaczego nie prosimy o więcej pieniędzy – pan też pytał o konto. Przecież gdybym się zapała, oczywiście zdobyłabym ich więcej. A to jest tak: ludzie, z którymi mieszkamy, nigdy nie będą bogaci. Daj im Boże, żeby byli, ale nie będą. Muszą się nauczyć żyć w takich warunkach, jakie są. Nauczyć się gotować cokolwiek, sprzątać, budować czy malować przy pomocy takich narzędzi, jakie są. Ideałem nie będzie, jeżeli każdy mieszkaniec dostanie samodzielny pokój z łazienką – bo on nigdy później nie będzie miał samodzielnego pokoju z łazienką.

- Rozumiem postawę naśladowania Chrystusa: On ogołocił sam siebie, służył, był bratem... Ale ta postawa ma granice – trzeba podejmować za nich decyzje.

- Nie. Póki nie są ubezwłasnowolnieni nie można za nich podejmować decyzji. Należy im pomóc podejmować decyzje.

- *Dość subtelna różnica.*

- Ale oni tego naprawdę oczekują: wskazania drogi wyjścia z sytuacji. Tyle. Oczywiście możemy postawić warunek: jeśli chcesz pozostać u nas, musisz załatwić swoje sprawy. Ale to jeszcze nie jest decyzja za niego. On zawsze może pójść gdzie indziej, co często proponuję: Znalazłeś się bez dachu nad głową i nie masz gdzie mieszkać, ale to twój wybór, że jesteś z nami. Są inne domy, mogę ci załatwić przeniesienie. Mówię „tam jest brama”. Jeśli chcesz być u nas, musisz stosować się do regulaminu (biorąc pod uwagę margines na ludzką słabość, nikt z nas nigdy ściśle regulaminu nie wymaga). I zasadą jest: będziesz załatwiał swoje sprawy, a my ci w tym pomożemy. Wielu z nich, przychodząc do nas nie ma pojęcia, że załatwienie ich spraw wcale nie jest takie trudne. Nie mają zupełnie tzw. świadomości obywatelskiej, nie znają swoich praw. Często jesteśmy pierwszymi, którzy mówią: należą ci się alimenty, zasiłek. To nie jest uczenie postawy roszczeniowej, tylko przyzwyczajanie ludzi do tego, że mają swoje prawa. Pierwszy krok do podźwignięcia się: uświadomienie sobie swojej godności. Wtedy to zaczyna ruszać. Oczywiście nigdy nie mówię, że warunkiem pozostania u nas jest rozwód. Ale jeśli jest ojciec dzieci i nie płaci alimentów, warunkiem pozostania u nas jest staranie o alimenty. Są oczywiście wyjątkowe przypadki, kiedy ojciec rzeczywiście nie może płacić – w porządku. Ale jeśli kobieta wyrzuciona na bruk, chroni jeszcze „niuniusia”, społeczeństwo ma płacić na utrzymanie dzieci, a tatuś tymczasem może sobie pieniądze przepijać – nie ma dyskusji. Są niestety przypadki, w których kobieta woli od nas odejść i chronić „niuniusia” niż wystąpić o alimenty. „Bo ona go kocha”. Dobrze – niech go kocha, tylko niech on płaci. Mówię wtedy: ja utrzymywać twoich dzieci nie będę. Mogę ci pomóc, ale to chłop ma płacić. Musi być sprawiedliwość.

- *Ladne słowo: „niuniusiu”.*

- Mówimy też „luluś”. To dotyczy tych panów mężów, których kobiety bronią. Pojawiają się przed bramą – w zimie, pijani w trampka, a te biorą dzieci (ale już nie biorą ich podręczników i zeszytów...), lecą i rzucają się w ramiona. A jeszcze im sińce nie zeszły. I bardzo często wracają: pobite, ale za to z kolejnym dzieckiem.

- *Wracam do pytania, w jakim stopniu można podejmować za nich decyzje życiowe.*

- Oni często chcieliby, by za nich podejmować decyzje – byłoby im łatwiej. „Ty zrobisz tak i tak i będzie ok”. Tylko, że nie będzie „ok”, bo oni muszą sami do tego dojść i sami nad tym popracować – nie mogą mieć nic dane z góry. Nawet pisanie pozwu (w czym czasem pomagam) powinno należeć do nich – pozew z błędami ortograficznymi robi lepsze wrażenie. (*śmiech*)

Jeszcze raz powtarzam: nie wolno podejmować decyzji za nich. Można prosić, tłumaczyć, perswadować i pokazywać, że na tyle, na ile się na tym znamy, to najlepsze wyjście z sytuacji. Oczywiście czasem jest

jak z matką, dzieckiem i gorącym garnkiem: ona wie, że jak dziecko dotknie garnka, to się sparzy, ale ono musi się sparzyć. My też wiemy, że dobrze byłoby zrobić tak i tak, ale ten człowiek się na to nie godzi. I ja mam ileś oświadczeń na piśmie: „ja, taka i taka, nie godzę się na umieszczenie mnie w domu pomocy społecznej. Wiem, że rozpoczęcie starań w tej sprawie jest warunkiem pozostania w domu Wspólnoty Chleb Życia. Godzę się na powrót na dworzec”. I podpis. „Ja, taka i taka, wiem, że rozpoczęcie leczenia u lekarza psychiatry jest warunkiem pozostania w domu Wspólnoty Chleb Życia”. Mówiąc nieładnie, trochę sobie w ten sposób tyłek kryjemy. Oczywiście, przede wszystkim służy to dobru tego człowieka – może pisząc, uświadomi sobie, co go czeka – ale zabezpieczamy się też przed posądzeniem, że wyrzucamy na bruk biednych bezdomnych. Mamy prawo do stawiania warunków i uważam, że stawiamy warunki zgodne ze społecznym poczuciem sprawiedliwości. Korzystamy z dobroci ludzi, którzy ciężko pracują, żeby udzielić nam wsparcia – i to też staramy się uświadomić naszym mieszkańcom.

- *Nie poniża ich to?*

- A to jest kwestia tego, jak to robimy. Nie można bez przerwy mówić komuś, że żyje z cudzej łaski. Ale musi do niego dotrzeć, że za to, co dostaje, musi coś z siebie dać.

Myślę, że dawanie i nie oczekiwanie niczego w zamian też jest formą manipulacji: ktoś kogoś zniewala i konserwuje w jego nieszczęściu po to, by móc się nim opiekować. Piję do Markotu: bo do mnie przychodzą ludzie po wieloletnich pobytach w domach pana Kotańskiego, którzy nie mają nic załatwione. Jak kobieta, która przyniosła trzyletnie dziecko i okazało się, że to dziecko nie ma metryki. Najpierw była w domu samotnej matki, potem zwiedzała schroniska w całej Polsce i nikt nie wpadł na to, żeby zrobić małemu metrykę. Z czego matka ma to dziecko utrzymać, skoro podstawą do zasiłku z pomocy społecznej jest metryka?

- *Skąd się biorą bunty w domach?*

- Raz poszło o to, że pracownik socjalny za głośno mieszał łyżeczką herbatę i ktoś, kto miał nerwy w strzępach, dostał szału. Ale na ogół bunt bierze się stąd, że mieszkający gdzieś bezdomni czują, że mają władzę. Często są to osoby mocno zdemoralizowane, np. byli kryminaliści, którzy usiłują opanować dom, by zapewnić sobie świetlaną przyszłość bez pracy i wymagań. Bunty są przeciwko wymaganiom. Myśmy mieli bunty dwa razy, ale inne organizacje też przez to przechodziły. Nie mieliśmy wprawy i daliśmy mieszkańcom za dużo miejsca na rządzenie. Trafili się ludzie, którzy mieli postawy roszczeniowe, pobuntowali innych, próbowali zwrócić na siebie uwagę mediów. Mówić, że ich wykorzystuję.

- *„Wykorzystuję”?*

- Nie będę wnikać, jak. Ale propozycje były różne.

Bunty wybuchały wówczas, kiedy ktoś dochodził do wniosku, że wszystko może skapywać z nieba. Już mówiłam, że w stosunku do ludzi bezdomnych można popełniać niesprawiedliwość, dając im za darmo

zbyt wiele rzeczy. Nie wozimy więc np. samochodami ludzi, którzy mogą gdzieś dojechać komunikacją miejską. Walczymy o to, żeby ci, którzy mają zasiłek lub rentę, kupowali sobie bilety – bo biedna emerytka, która gdzieś tam żyje do pierwszego nie postępuje inaczej. Jeśli dostajemy czegoś za dużo – np. zabawek czy odzieży, nie dajemy tego od razu. Jeśli bezmyślnie zniszczą, długo nie dostaną nowego: muszą to szanować, mieć świadomość, że to kosztuje – nawet jeśli ktoś dał nam za darmo, to czyjś wysiłek i pracę to kosztowało.

Największym niebezpieczeństwem życia w naszych domach może być poczucie, że mi się wszystko należy, bo jestem biedny, przy równoczesnym braku szacunku dla tego, co mam. Ludzie ubodzy często nie potrafią żyć ubogo. Nie potrafią oszczędzać, nie potrafią naprawiać, nie potrafią dbać o swoje. Stąd ciągle przypominanie o konieczności oszczędzania – wody, światła, szamponu itd. Nie dalej jak wczoraj robiłam na Łopuszańskiej awanturę o kawki i herbatki – ciągle lekkomyślne zapalenie gazu. Jak dziesięć osób ma ochotę na kawę, to robi ją sobie po kolei, zamiast tylko raz postawić czajnik. W Brwinowie poradziliśmy sobie w ten sposób, że to mieszkanki kupują butle gazowe – jeśli przyjdzie im nagła ochota na kawę, robią ją na własny koszt. Odkąd to wprowadziłam, zaczęły oszczędzać: jest jedna butla na siedem dni, a przedtem była jedna na cztery.

- *Czy można wytłumaczyć to, o czym Siostra mówi? Czy jest to odbierane jako kolejna szykana?*

- Na pewno ludzie odbierają to jako szykane, choć zawsze tłumaczymy nasze postępowanie. Najprościej trafić stukając ich po kieszeni. W Brwinowie dziewczyny musiały mi płacić za światło, kiedy we wszystkich pokojach świeciły bez opamiętania w dzień. Zażądałam składki po 10 zł, wybuchła awantura, musiałam zagrozić wyrzucaniem z domu, ale do wieczora zebrała się okrągła sumka, którą ku ich zdumieniu przeznaczyłam na... zakup kielbasy dla dzieci. Dałam jednej, kazałam kupić i wziąć rachunek – żeby nie rozdała pieniędzy z powrotem. Dzieci miały kielbasę, a my przez pewien czas spokój z rachunkami za prąd.

- *Czyli podstawowa płaszczyzna kontaktu to płaszczyzna konkretnego?*

- Oczywiście. Żadna ideologia nie wchodzi w rachubę. Ostatnio miałam bardzo długie przemówienie, które zaczęło się potworną awanturą i tłuczeniem talerzy pośrodku kuchni.

- *Siostra tłukła?*

- Tak jest. Z pełną świadomością tego, co robię. Był potworny bałagan – pety razem z chlebem, garnki niedomyte sprzed paru dni, a w lodówce niedojedzone resztki białego sera (biały ser kosztuje 10 zł za kilo, więc nawet jak jest nam darowany, nie powinien się marnować). Mimo iż są codzienne dyżury w kuchni, a jedna osoba specjalnie odpowiada za czystość! Powstrzymałam się przed rozbiciem szklanek do kawy, ale talerz z kawałkami sera stłukłam – talerzy mamy więcej... Krzyczałam mocno, a panie siedziały na korytarzu kiwając się nad papierosami. Potem wzięłam je wszystkie i zrobiłam przemówienie, trwające chyba z godzinę. Wszystko to, co zwykle mówię, a co trzeba co jakiś czas powtarzać zupełnie beznadziejnie. A na końcu zadałam pytanie, dlaczego ja to robię, dlaczego to mówię, dlaczego wyma-

gam i dlaczego się nie obrażam, skoro one są bez przerwy na mnie obrażone. Powinnam? „No, powinna siostra, wielokrotnie”. No to dlaczego się nie obrażam i po kwadransie od każdej awantury potrafię z wami rozmawiać?

Zupełnie nie mogły sobie poradzić z odpowiedzią. Zapytałam jedną z nich, dlaczego się ciągle do niej odzywam, choć okłamała mnie i okradła. Też nie potrafiła odpowiedzieć.

- *Jak brzmi odpowiedź?*

- „Dlatego, drogie panie, że ja was szanuję. Za to, że walczyacie o siebie. Za to, że jesteście w tak trudnej sytuacji, nie macie nic, a jednak się nie poddałyście i próbujecie załatwić swoje sprawy.” A na to jedna pani: „jeszcze w życiu czegoś takiego nie słyszałam”. Powiedziałam im więc, że jeśli na nie ryczę, to z tego szacunku. Chodzi o to, żeby ich dzieci żyły godnie, żeby nie miały brudno, umiały korzystać z tego, co tu mają, żebyśmy się traktowali jak ludzie – mimo wszystko, mimo to, że jest nam na pewno dużo trudniej.

Porządek w kuchni został zrobiony idealnie.

- *Na jak długo?*

- Po tygodniu jeszcze jest. Ale za miesiąc pewnie trzeba będzie awanturę powtórzyć.

- „*Tekst numer 3*”? (*śmiech*)

- Dokładnie. Ale śmiejąc się, musimy pamiętać, że wymagania postawione tym kobietom są dużo większe niż wymagania, jakie stawiają sobie ludzie przeciętni. Naprawdę. Jeżeli dzieci nabrudzą na klatce schodowej bloku, to matki nie muszą po nich sprzątać. U mnie robią to bez przerwy. Poza tym moje panie muszą żyć we wspólnocie, której wcale nie wybierają – z ludźmi obcymi i zupełnie innymi. Nie mają momentu intymności, muszą opanowywać nerwy, kiedy mają np. piętnastoletnie przeżycia małżeńskie, z biciem i wyzwiskami... Muszą żyć w sytuacji zupełnie skrajnej, w niepewności, ubóstwie i praktycznie bez żadnego wsparcia: bez babci, cioci, męża, dzieci... (dzieci są, ale to one wymagają wsparcia...) Dzieci zresztą też się czepiam i też wymagam – nie mogą przecież żyć jak zwierzęta. Ich pobyt w naszym domu to być może jedyny moment, kiedy można je nauczyć normalnego zachowania. Od pół roku mamy w świetlicy meble z Ikei – patrzyłam wczoraj i, odpukać, ławki nie są porysowane... Myślę, że nasze panie naprawdę dzielnie sobie radzą. Oczywiście, że często jest brud i że Sanepid tego nie zrozumie, bo Sanepid się nie przyczepi do szpitala, nazwy nie wymienię, tylko do mnie.

- *A jak sobie Siostra radzi z Sanepidem?*

- Jakoś sobie radzę. Oprócz tego, że w Brwinowie mamy odrapane ściany, które wymagają malowania, to jest w miarę czysto. Gdybyśmy przyjmowali mniej ludzi, moglibyśmy malować bez przerwy i zająć się podniesieniem standardu. Tylko, że na tym polega nasz wybór. Panie z Sanepidu wypisują skargi, że jest ciasno i nie ma szaf, ale niech sobie piszą do Pana Boga: nie wstawię szaf, bo muszę mieć miejsce na łóżka. Albo niech piszą do premiera, ministra zdrowia, sprawiedliwości, budownictwa itd. – skoro nasze panie czekają parę lat na zakończenie procesów sądowych (najdłuższy rozwód trwał 2,5 roku!),

potem lata na mieszkanie... Gdyby załatwienie ich spraw trwało kilka miesięcy, każda mogłaby mieć u nas własny pokój, pewnie by starczyło. Ale one mieszkają latami.

- *Zastanawiam się, dlaczego Siostra nie mówi o swoich mieszkańcach: „podopieczni”?*

- Bo to słowo od razu stawia kogoś na niższej półce. Nie opiekuję się nimi, tylko z nimi mieszkam. To są m i e s z k a ń c y, a poprawniej – mieszkańcy naszych domów. Niektórzy może by chcieli być podopiecznymi. Ale nie są. Chcemy, żeby nauczyli się żyć godnie i żyć samemu – uniezależnić ich od schronisk i przytułków. Nie mamy złudzeń, że uda się ze wszystkimi, ale... musimy próbować.

- *A jak Siostra broni się przed rutyną?*

- Nie wiem. Po prostu nie potrafię zubożeć. Wczoraj przyjechała do mnie matka z 15-letnią córką: zgwałconą i w ciąży. Dziewczynka zamieszka u mnie w Brwinowie, dziś cały dzień załatwiałam jej indywidualny tok nauczania, bo powinna skończyć szkołę, a nie powinna chodzić z rówieśnikami – młodzież w tym wieku potrafi być okrutna. Matka roztrzęsiona, bo świadoma tragedii. Dziewczynka na razie mówi, że odda dziecko do adopcji. Trudno się jej dziwić, ale jak już wyszła, jej matka – młoda, ładna kobieta po rozwodzie – powiedziała, że ma paru kandydatów, wyjdzie za męża, żeby stworzyć dziecku rodzinę. Powiedziałam jej oczywiście, że może wziąć dziecko swojej córki jako rodzina zastępcza i jeszcze dostanie na to pieniądze. A jeśli chodzi o kandydata na męża, to żeby się dobrze przyjrzała, bo może być gorzej niż lepiej.

- *Zanim zaczęliśmy te rozmowy, powiedziała Siostra, że chciałaby, aby powstała książka o nadziei. Kiedy zastanawiałem się, jak zapytać o nadzieję, przypomniał mi się wywiad z Siostrą w „Znaku”. Mówiła Siostra: „Nie dalej jak przedwczoraj – Bogu dzięki – pewien pan był uprzejmy umrzeć, co uwolniło jedną kobietę od wieloletniej walki o rozwód i o dziecko”. Wzburzyło to Wojtka Tochmana, któremu w rozmowie dla „Gazety Wyborczej” odpowiedziała Siostra jeszcze mocniej: „na szczęście był uprzejmy kopnąć w kalendarz. To był absolutny lajdak, zdegenerowany pijak”...*

No to gdzie tu nadzieja, skoro jedynym wyjściem jest czyjaś śmierć?

- A czy dla wielu krajów, które żyją w systemie totalitarnym jedynym wyjściem nie jest śmierć dyktatora? To nie oznacza natomiast, że człowiekowi, o którym pan wspomniał, życzę, by był potępiony. Przeciwnie – modłę się, by był zbawiony. I wierzę, że to, jak żył, nie oznacza jeszcze, że pójdzie do piekła. A może – nie wiemy przecież, co się stało przed śmiercią tego człowieka – Pan Bóg stwierdził, że facet przeżywał właśnie chwilę wewnętrznego nawrotu i postanowił zaingerować, zanim znowu narozrabia? Tamara powiedziałaby: „i tak musiał umrzeć” (*śmiech*). I że dziwi się, że Pan Bóg tak rzadko używa tego rozwiązania.

- *W jaki sposób takie sytuacje: spotkanie ze zgwałconą dziewczynką, śmierć tego łajdaka, w sumie – nieustanny kontakt z cierpieniem, wpływają na przeżywanie chrześcijaństwa?*

- Dla nas jest to droga do Chrystusa. Gdyby nie wpływały, byłoby bardzo źle.

- *Chciałem zapytać o coś innego. Widzicie świat niejako „od dna” – niesprawiedliwe sądy i policja, bezduszni lekarze itd. – można powiedzieć, że macie nieustanny kontakt ze złem. Częstszy niż inni ludzie.*

- Na pewno częstszy, skoro przychodzący do nas ludzie są albo ofiarami, albo sprawcami zła. Ale nie chciałabym rozmawiać o złu: cierpienie powoduje także mobilizację dobra. Ludzie, którzy są z nami, mają w sobie bardzo wiele dobra, które nas podtrzymuje (bo to przecież nie jest tak, że tylko my dajemy, a oni biorą – to wzajemna relacja).

- *Rozmawiałem kiedyś z księdzem, zajmującym się demonologią. Odniosłem wrażenie, że „zło brudzi”:* że jakoś przykleja się do mówiącego, a wtedy świat zaczyna się jawić jako pełen totalnego zła.

- Na szczęście nikt z nas nie ma takiej optyki. Zawsze powtarzam: Chrystus zmartwychwstał. Myślę, że bardziej nam zagraża coś innego: poczucie beznadziejności naszego wysiłku w stosunku do efektów. Czym więcej pracujemy, czym więcej dajemy z siebie, tym więcej jest do zrobienia, tym więcej ludzi przychodzi. A nie jest łatwo z nimi mieszkać, mieć ich w uszach i w nogach (dosłownie – kiedy nie ma miejsc do spania), opatrywać rany, znosić alkoholowe amoki, agresję, chamstwo i głupotę (i do tego przecież jeszcze własną!). I próbować uczyć ich pracować – uwielbiam powiedzenie pani Tarkowskiej, która sama prowadzi dom dla bezdomnych, że nawet jej tatarska krew nie jest w stanie zmusić bezdomnego do pracy. Choć muszę powiedzieć z wielką radością, że czasem się udaje: Cygan, który zamieszkał u nas z żoną, jedenaściorgiem dzieci i mężem najstarszej córki, nie dość że wszył sobie esperal i rodzina odetchnęła, to jeszcze pracuje.

- *Zabija w sobie głód alkoholowy...*

- Pewnie tak, bo pracuje jak wariat. Ale czy to coś zmienia? Poza tym w ciągu ostatnich dwóch miesięcy jego dzieci nauczyły się już czytać i pisać. Tu właśnie jest sedno: nigdy, do końca, nie wolno tracić nadziei. Mówię to sobie i moim braciom i siostram, kiedy po raz kolejny musimy przyjąć tego samego człowieka, i to w tym samym stanie, co poprzednio, a może jeszcze gorszym, bo czas leci... Nie można tracić nadziei, bo Chrystus zmartwychwstał. Jeśli trwamy w wierze, że jesteśmy przez Niego posłani – dlaczego, tego nie wiemy, może dlatego, że gdyby nas nie wybrał, to byśmy upadli, może to po prostu droga ratunku dla nas – to wierzymy, że jest z nami. Skrajna sytuacja sprawia, że jest nam w pewnym sensie łatwiej: albo się trzymamy Chrystusa, albo ginimy. Wariujemy, popełniamy samobójstwo, uciekamy stąd...

- *Jak się trzymać Chrystusa w skrajnej sytuacji?*

- Modlić się. Mamy czas na modlitwę, na adorację i na odczytywanie tego, co się dzieje, w świetle Ewangelii. To niby bardzo proste, ale wymaga wierności. To On w nas pogłębia współczucie, to On daje nam swoje oczy, to On musi leczyć nasze słabości i skłonność do grzechu. Mówię: „dobra, jestem jaka jestem, sam widzisz, ale teraz pomóż, bo nawet jeśli Ci na mnie nie zależy, to są jeszcze inni wokół mnie”. Doskonała metoda załatwiania tych spraw.

- *Ale Siostra powiedziała kiedyś, że aby naprawdę się podźwignąć, bezdomni muszą najpierw zejść na samo dno...*

- To tak jak z alkoholem.

- *Czyli zdarza się tak, że obserwujecie czyjeś schodzenie na dno wiedząc, że jeszcze nie tym razem?*

- Ktoś z Mszczonowskiej mi powiedział: 17 lat ćwiczyłem dyktę na dworcu, ale teraz już nie jestem w stanie. I po raz pierwszy od 17 lat spędził normalnie święta wielkanocne: ze spowiedzią, z Mszą świętą, dzieleniem się jajkiem i białym obrusem. Ale trzeba było 17 lat.

Jest grupa tzw. wiecznych mieszkańców schronisk – śmiejemy się czasem na Radzie Opiekuńczej, bo ja mówię o pani Kowalskiej, że to moja mieszkanka, a przedstawiciele innych organizacji protestują:

„chwileczkę, to moja mieszkanka!”. Ale są też tacy, którzy bronią się przed zejściem na dno rękami i nogami. Nie odchodzą od nas i załatwiają swoje sprawy, żeby nie trafić na dworzec. Dzięki Bogu, takich chyba jest większość. Z tym, że trzeba pamiętać, że oni wybrali mniejsze zło: schronisko nie jest idealnym rozwiązaniem, choć nikt nie wymyślił na razie lepszego.

- *A co robić, kiedy doświadczenie lat pracy z bezdomnymi mówi: to jest człowiek spisany na straty, dla niego nic się już nie da zrobić?*

- Nie ma takich ludzi.

- *Ale sama Siostra mówi: „ona wróci na dworzec, nic z tego nie będzie”.*

- Nie mówię „nic z tego nie będzie”, mówię „ona wróci na dworzec”. A może któregoś dnia na ten dworzec nie wróci? Może przyjdzie tu i po prostu umrze? I zostanie świętą? Nigdy przecież nie wiemy, jak będą wyglądały jej ostatnie chwile, jak będzie rozmawiała z Bogiem. Dla chrześcijanina nie ma sytuacji beznadziejnej. Można wyjść przez komin krematorium, jak powtarzał ks. Stanisław Hoinka, kierujący w latach 80. duszpasterstwem niewidomych przy ul. Piwnej, ale to też jest jakieś wyjście – prosto do nieba (to się oczywiście łatwo mówi, ja np. chyba nie czuję się gotowa wyjść przez komin). Niedawno był u nas człowiek, który miał lat 43, z czego ponad połowę przesiedział w więzieniu. Zmarł na raka, ale zmarł pojedypany z Bogiem. Pierwszym świętym był łotr, wydawałoby się – będący już w sytuacji beznadziejnej. Nigdy nie wiemy, czy ci ludzie – wyniszczeni przez nałogi, czasem przez złe życie – nie pójda przed nami. Na pewno są bliżsi Bogu, bo cierpiący. Zresztą Pan Jezus to mówi: „celnicy i grzesznicy wyprzedzą was do królestwa niebieskiego”. Czyli ostrożnie: warto dążyć do doskonałości, ale nie warto uważać się za doskonałego.

CZĘŚĆ DRUGA: WIARA

- Tamara powiedziała kiedyś, że w naszych rozmowach najważniejsze jest to, by uchwycić „dowcip sytuacji”. Jeżeli dobrze ją zrozumiałem, chodzi o napięcie między stałym obcowaniem z sytuacjami skrajnymi, a pewnym, towarzyszącym Wam luzem.

- Niedawno zmarł człowiek na Mszczonowskiej – miał raka. Renia jak zwykle wezwała policję (skądinąd robi to często, bo po każdym dniu wypłaty zasiłków trzeba parę osób zawieźć do izby wytrzeźwień). Jeżeli umiera u nas człowiek, musi przyjechać policja – to jest miejsce publiczne i zawsze mogą istnieć podejrzenia, że ktoś mu w tym dopomógł. Zanim przyjechali, dziewczyny zdążyły już nieboszczyka umyć i ubrać. Leżał w ubraniu i w butach na łóżku, więc jak policjanci wpadli, natychmiast zaczęli go szarpać: „co ty, kurwa, w butach się do łóżka położyłeś?”. Renia najpierw wybuchnęła śmiechem, a potem zaczęła wołać, żeby zostawili zwłoki. Odskoczyli przerażeni... (śmiech)

- Więc na początek anegdota z książki Navina Chawla o Matce Teresie. Wczesny okres działalności, Matka wraca do Kalkuty po kilkumiesięcznym szkoleniu medycznym i znajduje na ulicy człowieka z kciukiem objętym gangreną, wymagającym natychmiastowej amputacji. Odmawia modlitwę, wyjmuje nożyczki, obcina chory kciuk. Pacjent mdleje i upada na jedną stronę, a Matka Teresa mdleje na drugą. „Kiedy opowiedziałem puentę, Matka Teresa złożyła się we dwoje ze śmiechu” – relacjonuje dziennikarz, choć historia była zmyślona.

- Myślę, że tam, gdzie inni ludzie dostrzegają sytuację absolutnie beznadziejną i uciekają, my musimy dostrzec miłość Boga i – nieraz – także Jego uśmiech. Współcierpimy z ludźmi, co powoduje, że nie ryczymy bez przerwy ze śmiechu. Ale jeśli ktoś chce być z nami i nie potrafi czasem wybuchnąć śmiechem – nie wytrzyma i się załamie.

Sławna stała się historia z Bulowic. Mieliśmy tam jedną łazienkę z ubikacją i pralką Franią, a szambo znajdowało się dwa metry od okna. Trzeba też wiedzieć, że tydzień wcześniej zginęły nam w domu pieniądze: najpierw ojcu dominikaninowi, który odprawiał Mszę i nieopatrznie zostawił portfel w zakrystii, a potem dziewczynie z pokoju. Akurat wróciłam skądś i trafiłam na taką scenę. Ela, nasza mieszkanka, która zajmowała się praniem, stoi po kostki w nieczystościach i używa słów powszechnie uznawanych za nieprzyzwoite. Okazało się, że przewód między toaletą a szambem jest zatkany i... wiadomo, co zaczyna zalewać łazienkę. A było tam też dwóch braci dominikanów, którzy przyjechali do nas w odwiedziny i w nieskazitelnie białych habitach stali obok i patrzyli. Więc mówię: „chłopaki, zdejmijcie te szmatki i do roboty”. Nie powiem, zdjęli i zaczęli szarpać się z kibelem. Sprężyna nie skutkowałą, więc wymyśliłam, żeby wziąć wąż gumowy i próbować od strony szamba – zdjęliśmy pokrywę i silnym strumieniem wody próbowaliśmy odetkać. Oczywiście wszyscy byliśmy od tego, jakby to powiedzieć... piegowaci. Ale nagle od strony szamba wypłynęła szmata, a za tą szmatą cała reszta... w tym banknoty. Radość była pełna, choć niejaki Zbynio – skądinąd w przeszłości nałogowy złodziej, który kochał pieniądze i kosztowności – o mało nie zwariował. Myślałam, że wypije to szambo, żeby je wyciągnąć: „pani Małgosiu, pani Małgosiu, forsa”. Tłumaczę: „Zbyniu, brudna, śmierdząca, zostaw”. Nie było mo-

wy. Jakoś je wyciągnął, wypłukał i położył przed domem, żeby wyschły. Po czym zaczął chodzić dookoła i pilnować. My go uspokajamy: „Zbyniu, daj spokój, kto to teraz weźmie do ręki”, ale on się zawiął. Chodził tak i chodził, aż w końcu musiał pójść na siusiu. I natychmiast ktoś te pieniądze ukradł. *(śmiech)* Cała ta scena, kiedy my zbryzgani wiadomo czym, przerażeni dominikanie, bo w końcu to zakon nie przyzwyczajony do majstrowania przy szambie i Zbynio, który zobaczył pieniądze w... no, w gównie po prostu, wyciągnął je z poświęceniem ogromnym, żeby w końcu je stracić – trzeba to było widzieć. A rzecz polegała na tym, że gdy pieniądze zginęły po raz drugi, zapowiedziałam rewizję, ktoś się wystraszył i wrzucił je do ubikacji. Ponieważ banknoty nie toną, przywalił je szmatą i zatkał kibel. Takich scenek mamy bardzo wiele. Niedawno w kaplicy w Brwinowie adorację miała mała Rumunka, wiatr zawiął i zachwiał płomieniem z lampki oliwnej, a ona chyba przysnęła. Ponieważ coś miała na sumieniu, wydało jej się, że duchy po nią przyszły – wyleciała stamtąd z tak potwornym wrzaskiem, że postawiła cały dom na nogi.

- *Czy Wspólnota Chleb Życia w swoich wewnętrznych regułach wypowiada się jakoś na temat radości?*

- Oczywiście. Z tym, że nasza radość nie jest radością sztuczną, jak w niektórych wspólnotach, gdzie wszyscy z przylepionym do twarzy uśmiechem śpiewają alleluja na polecenie. Nie jesteśmy wspólnotą „alleluja”. Spędzał u nas kiedyś tydzień młody chłopak, student teologii z Katowic. Początkowo był zszokowany, bo nikt nie rozłożył czerwonego dywanu na jego cześć, ale gdy odjeżdżał, powiedział: „nie jesteście słodko-uprzejmi, ale przynajmniej jesteście prawdziwi”. Myślę, że to wyczuł.

Nasz humor i „luz”, jak pan powiedział, bierze się natomiast z wewnętrznej wolności. Bo cóż nam zrobić? Zamkną dom i wyrzucą bezdomnych? A niby dlaczego? Żyjemy w zgodzie z nauką Kościoła. Opowiadał mi Pascal, nasz założyciel, że kiedyś biskupi francuscy wezwali go na dywanik. Zarzucili mu, że życie w takim ubóstwie, jak zakłada nasza reguła, jest niemożliwością; że nawet franciszkanie tego nie wytrzymali. Na co Pascal odpowiedział „to wielka szkoda” i wyszedł. *(śmiech)*

- *Polscy biskupi pewnie zarzucają Siostrze papierosy i dzieci.*

- Wszyscy wiedzą, że ich nie szukałam: po prostu stanęły na mojej drodze, a ja uznałam, że było to jakieś wezwanie ze strony Pana Boga. Trudno odrzucić takie dziecko, jak Artur, a przy jego autyzmie i epilepsji, dom dziecka nie jest żadnym rozwiązaniem.

A jeżeli chodzi o papierosy – zwykle odpowiadam, że jeżeli Ksiądz Biskup mi zaręczy, że wszyscy jego księża diecezjalni nie palą, natychmiast rzucę.

- *Co to jest świętość? Dawniej obowiązywał wizerunek świętego, który już w wieku niemowlęcym powstrzymywał się od ssania piersi matki w piątek...*

- ...a urodził się z imieniem Maryi na ustach. *(śmiech)*

We Wspólnocie Chleb Życia świętość to jest „razem”. Uważamy, że do świętości powołani są wszyscy chrześcijanie – w tym ludzie najubożsi. Wiemy, że nikt z nas, członków Wspólnoty, nie jest na tyle sil-

ny, żeby indywidualnie zostać wielkim świętym. Natomiast mamy ochotę razem wepchnąć się do nieba. Od każdego z nas wymaga to pracy nad sobą i wyrzeczeń. Jeśli ktoś upada, cała reszta pomaga mu się podnieść. Nie wskazujemy, że ktoś jest bardziej święty od kogoś innego, choć jednym z członków Wspólnoty jest ksiądz, misjonarz w Peru, powszechnie uważany za świętego. Człowiek nie tylko ogromnej wiedzy, był wykładowcą teologii u kartuzów, który odszedł od nich (oczywiście za zgodą przełożonych) żeby służyć najuboższym we Wspólnocie Chleb Życia – z jednego radykalizmu przeszedł w drugi. Jest także człowiekiem ogromnej modlitwy, niezwyklej pokory, wielkiej miłości do ludzi i Boga. Ubóstwo praktykuje w stopniu niezwykłym – po swojej ogromnej parafii, gdzieś w puszczy, chodzi pieszo, trzeba niemalże podstępem zmuszać go do przyjęcia nowych sandałów. Mówi się o nim, że ostatni raz myślał o swoich sprawach dwadzieścia lat temu. To, że jest uznawany za świętego ma zresztą swoje dobre i złe strony – ludzie nie bardzo chcą go słuchać, skoro i tak nie osiągną takiej doskonałości.

- *Czyli święty to wariat, jurodiwyj?*

- Trochę tak. Jak wiemy, św. Jana Bosco próbowano zamknąć w zakładzie dla umysłowo chorych. W naszej Wspólnocie śpiewamy taką modlitwę o nowe powołania: „ześlij nam ludzi szalonych”... „Wariat” ma swoje wady: jest radykalny, uparty, nie mieści się w konwenansach, stara się wprawdzie być posłuszny, ale z miłości bliźniego nie waha się przekraczać pewnych, ogólnie przyjętych zasad. Mówi to, co myśli. I bywa nieznośny, bo nie pozwala innym usnąć spokojnie. Bardzo często ludzie „gorący”, którzy w szaleństwie robili wiele złych rzeczy, zostawali wielkimi świętymi. Św. Paweł, Św. Franciszek z Asyżu, św. Ignacy Loyola, św. Augustyn... „Ze zdziwieniem stwierdzałam, że szczerze obdarzył niezwykłymi względami Świętych, którzy wcześniej Go obrazili” – pisze Mała Św. Teresa.

- *Z czego rodzi się świętość?*

- Z naiwnej wiary, że można i trzeba żyć Ewangelią do końca. A owa naiwna wiara rodzi się z miłości i fascynacji Bogiem.

- *Żyć Ewangelią do końca: któż z nas to potrafi?*

- To prawda, że jest strasznie trudno. Ale ciągle jesteśmy w drodze.

- *Czy dlatego jest tak niewielu świętych? A może jest ich więcej niż nam się wydaje?*

- Na pewno jest ich dużo więcej niż oficjalnie uznaje Kościół. I można ich szukać nawet tam, gdzie – jak się powszechnie wydaje – szukać ich nie należy. Wśród naszych mieszkańców dobrych parę osób umarło jako święci. Świętość to niekoniecznie aureola – pierwszym świętym był przecież łotr na krzyżu. Jeśli tego nie zrozumiemy, nie zrozumiemy Chrystusa i będziemy – jak faryzeusze – ciągle ładować w siebie i bliźnich pewne schematy. Np. dzielić ich na lepszych i gorszych, na pobożnych i motłoch. Miałam tego dość i – zdaje się, że taki był tytuł mojego wywiadu w „Znaku” – „wybrałam bycie motłochem”.

- *Piotr – kolejny święty, który robił głupstwa – nawet zaparł się Pana Jezusa...*

- Zaparł się, ale jednocześnie dalej kochał. Myślę, że błąd, jaki bardzo często popełniamy, wiąże się z nieumiejętnością reagowania właśnie na robione przez siebie głupstwa. „Zrobiłem głupstwo, to znaczy

nie nadają się”. A tu wręcz przeciwnie: św. Paweł mówi że tam, gdzie wzmógł się grzech, tam obficie rozlała się łaska. Rzadko zwracamy uwagę na te słowa. Rzecz jasna nie chodzi o to, żeby grzeszyć i dostać więcej łaski. Wystarczy przyrównać miłość Boga do miłości rodziców, którzy kochają swoje dzieci bezgranicznie. Pan Jezus tłumaczył to w opowieści o synu marnotrawnym, gdzie grzeszny i poplątany syn sprawia ojcu więcej radości niż syn sprawiedliwy.

- *Mógłby ktoś powiedzieć, że ów ojciec niesprawiedliwie potraktował dobrego syna.*

- Miłość nie jest logiką arystotelesowską. Miłość ma swoją wewnętrzną logikę, na której oparta jest Ewangelia i według której wszystko się zgadza. Jeżeli ja mam dziecko chore i dziecko zdrowe, to kocham jedno i drugie, ale większą uwagę kieruję na dziecko chore. Jeśli mój Artur powie jedno pełne zdanie, to jestem dumna jak paw. Jeśli Jasiak powie jedno pełne zdanie, nikt tego nie zauważy. Jeżeli grzech jest chorobą, to gdy komuś uda się tę chorobę pokonać, stanowi to dla nas wielką radość. A jeśli ktoś był zdrowy – Bogu dzięki, niech dalej będzie i nie zazdrości temu, który był chory. Bo ten, który był chory, przeszedł przez cierpienie. Innymi słowy można powiedzieć tak: kto jest słabszy, potrzebuje więcej.

- *Mówiła Siostra o tym, że spotykała ludzi świętych. Np. tych, którzy u was umarli...*

- Nie tylko. Spotykałam wspaniałych ludzi wiary: ks. Marcina Popiela, ks. Tadeusza Fedorowicza, o. Piotra Rostworowskiego, ks. Jana Ziębę, panią Anielę Urbanowicz i wielu innych. Będąc u małych sióstr poznałam też wielu ludzi świętych z zagranicy: założycielkę małych sióstr małą siostrę Madeleine, Matkę Teresę (trzeba było widzieć je obie, jak przekomarzają się, która jest starsza!), Abbe Pierre’a... Takie spotkania na pewno zostawiają w człowieku ślad.

- *To proszę o nich opowiedzieć. Najpierw ks. Popiel.*

- *(śmiech)* Żeby być tak prostym i tak małym jak on, trzeba być naprawdę kimś bardzo wielkim. Kiedyś próbowałam przepuścić go przez drzwi – ze względu na ogromny szacunek, jaki do niego żywiłam, i jego podeszły wiek. Nie dał się i powiedział: moja droga, zbyt długo żyłem w świecie, żeby zapomnieć o dobrych manierach.

Pochodził z arystokratycznej rodziny, został księdzem mając czterdzieści lat i trafił do parafii Szewna, w której pracował do końca życia. Była to wieś pod Ostrowcem Świętokrzyskim, gdzie zaledwie parę procent mieszkańców chodziło do kościoła. Ostrowiec był bardzo skomunizowany jeszcze przed wojną, mówiło się nawet „czerwony Ostrowiec”.

Ks. Popiel miał niezwykle pogodną, jasną twarz i długą siwą czuprynę. Był człowiekiem wielkiego ubóstwa, na początku z tego powodu uważano go za człowieka troszkę niespełna rozumu. Mieszkał w małym pokoiku na plebanii, gdzie nie miał nawet drzwi. Dopiero gdy trafił do szpitala, pod jego nieobecność siostry urszulanki wstawiły mu drzwi i zreperowały deskę w podłodze, bo noga od żelaznego łóżka się zapadała. Miał zresztą tylko to łóżko, biurko i półki z książkami.

Co roku, pierwszego stycznia składał sprawozdanie z finansów parafii – mówił mi wtedy, żebym nie przychodziła na sumę, bo się zanudzę. Miał wizję parafii jako rodziny – z ojcem i matką, dlatego zawsze chciał mieć u siebie siostry zakonne. A ponieważ był spokrewniony z matką Popiel, przełożoną generalną szarych urszulanek (skądinąd bardzo dobre, otwarte zgromadzenie), ściągnął je do siebie, żeby zajmowały się gospodarowaniem na parafii i katechizacją. Jako proboszcz był bardzo skuteczny – właściwie nie mając grosza przy duszy (i, rzecz jasna, bez pozwolenia) przerobił stodoły w zabudowaniach parafialnych na wielką salę spotkań i dom rekolekcyjny. Wybudował też w okolicznych wsiach kilka kaplic – każdy nowy punkt z Najświętszym Sakramentem był dla niego źródłem wielkiej radości. Wierzył głęboko w światło Chrystusa, płynące z Eucharystii.

Bardzo dbał o wikarych, z tym że nie wszyscy wikarzy lubili tę placówkę.

- *Nie można się było dorobić?*

- Gorzej: ksiądz Popiel każdemu pozwalał samemu wyznaczyć sobie pensję. W tej sytuacji, oczywiście, głupio było wyznaczać sobie pensję porównywalną choćby z innymi parafiami. I tak jeździli samochodami, podczas gdy on, jeszcze mając 75 lat, jeździł na rowerze. Ksiądz Popiel był rozsądny i nie stawiał wymagań, których młodzi księża nie byliby w stanie spełnić.

Za swoich parafian po prostu oddał życie – dzień po dniu się za nich modlił, za żywych i za zmarłych. Znał wszystkich jak własną kieszeń, potrafił z nimi nawet grać w karty. Można było do niego przyjść o każdej porze dnia i nocy, czy coś pisał czy leżał, natychmiast się zrywał, odchodził od swojej pracy... Lubił ludzi i miał dwie nogi na ziemi. Potrafił – jeśli trzeba było – przenieść na plecach konfesjonał z wsi do wsi. To było w Gromadnicach – chyba jedynej w historii PRL-u miejscowości, gdzie mieszkańcy sami rozebrali kościół, uznając, że nie będzie im potrzebny. Wyjątkowo skomunizowana, antyklerykalna wieś. W latach 60. ks. Popiel zaczął budować tam kaplicę, która stoi do dziś – taka bardzo prosta, w „stylu popieleńskim”, jak się wszyscy śmieli. Potem chciał tam zawieźć konfesjonał, a że nikt mu nie chciał pomóc, wziął go na plecy i przeniósł. Szedł te parę kilometrów, mijając niechętnych ludzi z konfesjonałem na plecach: filmowa scena...

- *Więc jak sobie radził z tym „czerwonym Ostrowcem”?*

- Miłością i nienawracaniem ludzi na siłę. Miałam w Ostrowcu znajomą, która od pokoleń była ateistką – nigdy nie chodziła do kościoła, nawet podczas pogrzebu sąsiadki stała na zewnątrz. Znałyśmy się bardzo dobrze, więc któregoś dnia spotkała mnie i mówi: „pani Małgosiu, zróbcie coś z tym naszym księdzem Popielem”. Wytrzeszczyłam oczy. „Bo przecież to niemożliwe, żeby on tak chodził”. „Jak chodził?” „No, w takiej brudnej sutannie”. Ksiądz Popiel, gdy chodził piechotą, często opierał się o jakieś mury i płotki, żeby odpocząć – był już po zawale. Sutannę na plecach miał rzeczywiście mocno wyświechtaną, a przecież nie kupował nowej. Ale co było uderzające: tamta pani powiedziała „n a s z ksiądz”. Bo znali go i szanowali wszyscy, bez względu na przekonania. Pod koniec jego życia regularnie chodziła do kościoła chyba jedna trzecia mieszkańców, było bardzo wiele powołań kapłańskich i zakon-

nych. A po latach, na jego pogrzebie były tysiące ludzi – policja pozamykała drogi, organizowała specjalne parkingi...

Kiedyś jechałam autostopem do Opatowa: w pewnym momencie na drodze Ostrowiec-Opatów jest wzniesienie, z którego widać wieżę kościoła z Szewnej. Spojrzałam na wieżę i powiedziałam, że ładnie wygląda, zgadało się o ks. Popielu i ten kierowca ciężarówki, sam aż zza Sandomierza, zaczął mi opowiadać o księdzu Marcinie takie „kwiatki św. Franciszka”. A kiedy pierwszy raz przyjechał do Szewnej Daniel Ange, odwiedził plebanię i mówił potem, że tam „pachnie Ewangelią”.

- *W Szewnej był Daniel Ange?*

- No właśnie: otwartość, połączona z miłością, prostotą ewangeliczną i ubóstwem u księdza, który już nie był najmłodszy i mógłby się zamknąć w swojej przedsoborowej jeszcze formacji, była czymś niezwykłym. Ks. Popiel jako pierwszy zapraszał Clive’a Harrisa, Daniela Ange czy Jeana Vanier. 20 lat modlił się o to, by mieć u siebie małe siostry Karola de Foucauld i wymodlił. Założył diecezjalne Studium Życia Rodzinnego (wszyscy je nazywali „Popielanium”), gdzie księża się douczali – wszystko to, jak na owe czasy, niesłychane.

Oczywiście miał też wrogów. Ludzie są ludźmi, jest zawiść, a poza tym, wie pan: jeżeli jeden może, to znaczy, że inni też powinni. Skoro ktoś podawał go za przykład w rozmowie z księdzem X, to ksiądz X czuł się krytykowany. A rezygnacja z wielu przywilejów, jakimi przez lata otoczone było kapłaństwo, też przyczyniała się do pogłębienia problemu.

- *Przypomina się zgorszenie faryzeuszy...*

- Świętość ma to do siebie, że gorszy. W tym zakładzie dla psychicznie chorych chcieli św. Jana Bosco zamknąć pobożni katolicy.

- *Czyli nie należy się przejmować zgorszeniem maluczkich?*

- Myślę, że ksiądz Popiel ich nie gorszył. Pamiętam, jak kiedyś z nim o tym rozmawiałam. Opowiedział mi, jak to był na odpuszcie z jakimś elegancko ubranym księdzem. Tamten w skrzypiących bucikach, ks. Marcin – jak zwykle w wyświechtanej sutannie. Szły za nimi jakieś kobiety. I mówi jedna do drugiej: „Ten to pewnie pijok”. „A ten to pewnie zdzirtus”. (*śmiech*) I tak źle, i tak niedobrze.

- *Słyszałam, że ma Siostra notatki ks. Marcina.*

- Miałam. Gdy przychodził odprawiać Mszę do małych sióstr, wygłaszał też homilię (homilię mówił zawsze, jeśli nie było nikogo, mówił do pustych ścian). Do każdej się przygotowywał – codziennie rano czytał Pismo Św., medytował i robił notatki, które zabierał ze sobą do kościoła. Potem przeważnie o nich zapominał, więc ja je zbierałam. Miałam również jego Biblię francuską, steraną i zaczytaną, ale ktoś – zupełnie niedawno – mi ją ukradł. A notatki, cóż... po wieloletniej działalności Artura, trudno będzie je znaleźć.

- *To porozmawiajmy o ks. Tadeuszu Fedorowiczu.*

- Ks. Tadeusz żyje, więc to będzie inna rozmowa. Z ks. Popielem byli spokrewnieni i znali się dobrze jeszcze przed wojną, ale stanowili zabawne przeciwieństwo. Mam w Brwinowie ich wspólne zdjęcie: ksiądz Popiel, praktyk, znający się na gospodarstwie, umiejący liczyć pieniądze (w dobrym sensie) i ksiądz Fedorowicz, poeta, który do rzeczy materialnych w ogóle nie przywiązuje wagi, gołębiego serca, prostoty, dobroci i miłości do ludzi – proszę, wychodzi na to, że tak bardzo się nie różnią (*śmiech*). Nie zapomnę, jak pracowałam w Laskach i o coś go poprosiłam – drobiazg, list polecający czy coś w tym stylu... Był wtedy obłożnie chory i poprosił, żebym przyszła później. Nie myślałam, że wypycha mnie za drzwi, przecież widziałam, że chory. Ale on, biedny, nie był tego pewien, wstał i polecał za mną. Tu też są podobni z ks. Marcinem – dla nich drugi człowiek, bez względu na to, kim jest, stanowi wartość absolutną. No i jeszcze jedna cecha wspólna – chyba charakterystyczna w ogóle dla ludzi głębokiej modlitwy i ludzi, którzy przeszli przez wielkie cierpienie (wiadomo, że ks. Fedorowicz w czasie wojny dobrowolnie wyjechał z zesłańcami ze Lwowa na Wschód, w głąb Rosji) – obaj o Bogu mówili bardzo prosto. Dlatego, że Bóg jest prosty.

Ks. Tadeusz znany jest ze swojej miłości do młodych. Jego wędrówki z młodzieżą były sławne w kilku pokoleniach. Katechizował też dzieci w Laskach, ale nie potrafił utrzymać dyscypliny – był za dobry i wchodziły mu na głowę. Mimo to zawsze imponował wielką pogodą ducha, choć w Laskach, gdzie przepracował całe życie, był chyba bardzo osamotniony. Mówię „chyba”, bo nigdy się na to nie skarżył, zawsze łagodny i zrównoważony, w przeciwieństwie do innego duszpasterza niewidomych, księdza Stanisława Hoinki. Ten z kolei jest człowiekiem z natury gwałtownym – oczywiście przez modlitwę i pracę nad sobą kieruje tę gwałtowność we właściwym kierunku. Żeby pomóc drugiemu człowiekowi, jest gotów na wszystko – bez żadnych zahamowań. Wiem, co mówię, bo przez parę lat był moim i Tamary, przewodnikiem duchowym i spowiednikiem...

- *Osoby, które siostra wymieniła – ks. Fedorowicz, ks. Zieja czy o. Rostworowski – to ludzie w polskim Kościele znani. Wyjątkiem jest chyba pani Aniela Urbanowicz – pamiętana niewątpliwie w kręgu „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, warszawskiego KIK-u, ale szerzej nie.*

- A szkoda. Poznałyśmy się przez KIK, gdy ona była już w podeszłym wieku, a ja byłam kompletną smarkulą. Mimo różnicy wieku bardzo się pokochałyśmy. Parę razy w życiu ogromnie mi pomogła, np. gdy miałam po raz pierwszy wyjechać za granicę, do małych sióstr – pomogła mi załatwić wizę w ambasadzie francuskiej, gdzie miała kogoś, zresztą o nazwisku Chmielewski. Innym razem, też przy okazji wyjazdu, w ostatniej chwili pożyczyła mi pieniądze. Poza tym to u niej fikcyjnie zameldowałyśmy Tamarę (jako gosposię), kiedy pracowałyśmy w Duszpasterstwie Niewidomych.

Ale poza wszystkim bardzo lubiłam do niej przychodzić. Była człowiekiem bardzo otwartym, człowiekiem modlitwy i mądrości, ale takiej mądrości nie wymyślonej, tylko biorącej się z doświadczenia długiego życia. Bardzo wierząca, nie zamykała się w tradycyjnej pobożności, tylko stale zadawała pytania, szukała. Miała głęboki lęk przed egzaltacją, przed afiszowaniem się ze swoją wiarą. No i nie gorszyła

się tak łatwo. Pamiętam, jak ktoś przy niej gorszył się okropnie, bo uznał czyjąś wypowiedź za frywolną. A ona zareplikowała: „a cóż jest złego w odrobinie frywolności?” (*śmiej*).

W jej fantastycznym mieszkaniu na Nowym Świecie przez lata nocowali goście z Krakowa – z „Tygodnika” i „Znaku”...

- *Kilka razy i ja tam sypiałem.*

- Przychodził tam też m.in. Tadeusz Mazowiecki. Ale mieszkanie to przejdzie do historii z innego powodu: to tam odbywały się pierwsze spotkania polsko-niemieckie – środowiska „Tygodnika” i „Więzi” z działaczami niemieckiej akcji „Znak pokuty”. Pani Aniela potrafiła przebaczyć, mimo iż jej córka zginęła w Oświęcimiu.

To właśnie ona zetknęła mnie z księdzem Zieją, z którym bardzo się przyjaźniła. Kiedy chorował, wozilałam mu obiady (ona sama zresztą kompletnie nie potrafiła gotować)... Pewnie nie jest łatwo wytłumaczyć jej świętość – to wszystko, o czym mówię, jest takie zwyczajne...

- *Kiedy o świętość zapytano Stefana Swieżawskiego, zacytował ojca Congara, który uważał, że dwoje świętych na nasze czasy to Mała Św. Teresa i Brat Karol de Foucauld. Ze względu na „kenosis, ogołocenie się, mające wymiar świadectwa (...). Świętość zwyczajności, otwarcia, środków ubogich...” Właśnie „świętość zwyczajności”.*

- Wielcy teologowie potrafią to tak ująć. Biedny Brat Karol, nie może się doczekać procesu beatyfikacyjnego, bo nieopatrznie wplątał się w jakieś rozgrywki kolonialne na terenie francuskiej Afryki. Żył w nieciekawych czasach i pewnie z dobrego serca na coś się zgodził...

- *Rozumiem, że pociąga w nim Siostrę to absolutne poświęcenie życia ubogim. „Karol de Foucauld nie zachowywał dystansu i nie stawał ‘ponad’ tymi, do których był posłany, lecz dzielił z ludźmi ich życie, jako jeden z nich” – pisze Kathryn Spink. To tak jak wy.*

- Z pewnością brat Karol był nie mniejszym świętym niż Teresa od Dzieciątka Jezus, którą też bardzo kocham i która ma w moim życiu wymiar niezwykle praktyczny.

- *To znaczy?*

- To znaczy, że bardzo wiele razy mi pomogła.

- *Skąd Siostra wie, że właśnie ona?*

- Jak się kogoś o coś prosi i potem się to coś otrzymuje, to znaczy, że otrzymuje się dzięki temu komuś. Ale rzeczywiście: to, co powstaje w Kościele nowego i dobrego, jest na ogół związane z duchowością, którą nam przekazały te dwie osoby. Co ciekawe, gdy powstawała Wspólnota Chleb Życia, inspirowana była jeszcze „naszym” Bratem Albertem. Co się zaś tyczy św. Teresy, to jest ona jedną z patronek Wspólnoty.

- *A jacy są jeszcze inni?*

- Św. Benedykt Labre, św. Jan Bosco i – przede wszystkim – św. Jan Chrzyciel.

- *Kim był św. Benedykt Labre?*

- Żebrakiem i włóczęgą, który żył w XVIII w. Wielokrotnie próbował wstępować do różnych zakonów (np. do cystersów), ale wyrzucano go stamtąd albo za nieumiejętność śpiewu, albo za brak inteligencji, albo jeszcze za inne rzeczy. W końcu stwierdził, że jego powołaniem jest modlitwa i wędrowanie po świecie – od jednego sanktuarium do drugiego, żyjąc dzięki Opatrzności i temu, co ludzie dają. Mówił niewiele, wiele się za to modlił, bez sprzeciwu znosząc wszelkie obelgi. Kiedy się pojawił w Rzymie, jakaś przekupka krzyknęła „patrzcie, ten człowiek się pali”, bo podobno z jego twarzy biła taka jasność. Mówi się o nim też, że zawsze przed wejściem do kościoła strząsał z siebie swoje wszy, a po wyjściu starannie je zbierał i przyjmował z powrotem. Pochowano go w Rzymie, w kościele Maria del Monti, gdzie znaleziono go konającego na stopniach – odwiedzałam ten kościół jako mała siostra. Jest jednym z patronów Wspólnoty ze względu na swoje absolutne ubóstwo i życie modlitwą.

- *A Jan Chrzciciel?*

- Bo żył biednie, pierwszy pokazał na Jezusa jako na Zbawiciela i wycofał się w odpowiednim momencie. Chcemy, żeby ludzie ubodzy, którzy są u nas, spotkali Chrystusa. Ale my mamy Go tylko pokazać, „przygotować ścieżki”.

- *A Matka Boża? To charakterystyczne, jak zmieniał się Jej wizerunek w dziejach, wraz z ewolucją wizerunku kobiety: kiedyś cicha i pokorna, stojąca gdzieś w tle; dziś, w czasach dowartościowania kobiecości, odgrywająca o wiele istotniejszą rolę: pośredniczki, kogoś, kto np. w Kanie Galilejskiej udziela rad, co robić...*

- Dla mnie jest Ona Matką Jezusa – kimś, kto Go najlepiej zna, kto Go kocha i kto jednocześnie przeszedł całą trudną drogę kobiecości – ciąży, macierzyństwa, wychowania dziecka. Jeżeli mówi się o Niej jako o matce wszystkich ludzi, to chyba właśnie dlatego, że ma to doświadczenie. I także po to, żebyśmy mogli z Jej macierzyństwa skorzystać – naśladować Ją, ale również prosić o opiekę. Wierzę, że Ona naprawdę może pomóc w drodze do zjednoczenia z Bogiem.

- *Siostra zna i Kościół polski z jego specyficzną maryjnością, i Kościół zachodni. Na Zachodzie często się słyszy, że przesadzamy z tym kultem Maryi.*

- W naszej Wspólnocie Matka Boża zajmuje należne Jej miejsce. Różaniec odmawiamy codziennie, a jego tajemnice są wybierane do rozważania przez ludzi idących na adorację. Codziennie w czasie modlitwy wieczornej zwracamy się także do Matki Bożej. Natomiast co do polskiej specyfiki: jeśli gdzieś na wsi zamiast Mszy jest litania do Matki Bożej, świadczy to o jakimś liturgicznym pomieszaniu. Problemem jest tu jednak nie maryjność naszej wiary, ale jej powierzchowność. Dla ojca Kolbe maryjność była drogą do świętości.

- *Zaciekawiło mnie to, co Siostra powiedziała o Małej Świętej Teresie. Widzę, że Siostra używa świętych...*

- ...instrumentalnie? (*śmiech*)

- ...do bardzo praktycznych rzeczy.

- Jak się dają używać, to czemu nie? (*śmiech*) Jeżeli mam przyjaciela i jestem w potrzebie, to do kogo mam się zwrócić, jak nie do niego? Chyba proste. I na ogół skuteczne.

- Na ogół?

- Widocznie pewnych rzeczy nie mogą, albo Pan Bóg jest tak zajęty, że nie mogą się dopchać.

- A do których Siostra „uderza” najczęściej?

- Do tych, z którymi jestem najbardziej zaprzyjaźniona. Z których duchowości i osobowości coś wzięłam. Św. Benedykt Labre, św. Szarbel – maronita, św. Sefarin z Sarowa – prawosławny mistyk i pustelnik, w pewnym sensie naśladowca Szymona Słupnika...

- Kim był św. Szarbel?

- Też pustelnikiem. Nigdy w życiu nie widział samochodu, ale niezwykle wydajny, jeśli chodzi o sprawy transportu, pod warunkiem modlitwy za Liban. Poza tym św. Jan Bosco, św. Teresa od Dzieciątka Jezus, św. Teresa z Avila...

- W sumie pustelnicy i mistycy?

- ...Damian de Veeuster, zajmujący się trędowatymi i zmarły na trąd, byłam na jego beatyfikacji podczas pielgrzymki Papieża do Belgii... Św. Monika, matka św. Augustyna, bardzo wydajna, jeśli idzie o nawrócenie kogoś – w końcu 20 lat modliła się o nawrócenie syna. Błogosławiony ojciec Brotier, który przygarniał dzieci i młodzież, stale miał kłopoty finansowe – też bardzo wydajny, odkryłam go parę lat temu... A poza tym ludzie, którzy nie byli kanonizowani, których kochałam i którzy mnie kochali, a którzy już nie żyją. Do nich też często się modlę. Ksiądz Popiel uratował mi życie, ale tego może lepiej nie pisać, bo uznają, że jestem szurnięta.

- Siostrzo, w pewnym sensie...

- ...jestem szurnięta? (*śmiech*)

- Tego nie powiedziałem. W pewnym sensie i tak podejmuje Siostra ryzyko. Pewnie będą Czytelnicy, dla których to, co tu Siostra opowiada, będzie niedostępne. „To nie tak. Pan Bóg się nie wtrąca, święci nie ingerują, cuda się nie zdarzają”...

- Byłam umierająca. Leżałam tutaj, na Łopuszańskiej, i oddawałam ducha. Wszyscy byli spanikowani, ileś lekarzy i karetka pogotowia nie mogło sobie poradzić, a ja męczyłam się myślą, co będzie z Arturem. I kiedy byłam nieprzytomna, przyszedł do mnie nieżyjący już od paru lat ksiądz Popiel. Powiedział, że jeszcze nie umrę, dodał jeszcze parę innych rzeczy i... jak widać, nie umarłam.

Wierzę głęboko, że w wyciągnięciu z kłopotów Andrzeja, członka naszej Wspólnoty, pomógł mój ojciec, do którego się modliłam, a którego Andrzej woził na naświetlania. Modlę się do wielu zmarłych przyjaciół, także do ludzi, którzy tu zmarli.

- „Modlę się”, to znaczy: proszę o coś?

– Proszę, dziękuję... Na ogół proszę (*śmiech*).

– *A czy czasem się Siostra nie spiera? Nie mówię, że ze świętymi – raczej z Panem Bogiem...*

–Niestety, w tych sporach Pan Bóg bardzo często ma rację.

- *To znaczy, że czasem nie ma racji? Że Siostra go do czegoś przekonuje?*

– Myślę, że tak. To oczywiście żartobliwy skrót, bo na dłuższą metę On zawsze ma rację: to On jest tym, który kocha. Ale myślę, że to jest tak, jak w przypadku Abrahama i jego walki o Sodomę. W takich sytuacjach na pewno Pan Bóg się uśmiecha i... czeka. Nie daje nam od razu, stara się nas zmobilizować do większej miłości w modlitwie. Chce się przekonać, czy naprawdę nam na czymś zależy.

- *Dialog z Abrahamem był jednak specyficzny. Pan Bóg nie tyle odpowiadał, co przystawał na kolejne prośby.*

- Ale gdyby Abraham nie zaczął, to Pan Bóg zniszczyłby wszystkich bez gadania. Więc kiedy o coś proszę, na ogół bardzo naciskam. Wierzę głęboko, zresztą tak jest napisane w Piśmie Świętym, że można u Niego wiele rzeczy wytargować i że On to po prostu lubi. Lubi namolnych: „kołaczcie, a otworzą wam”, a poza tym „jeśli będziecie mieli wiarę jak ziarnko gorczycy...” Pomysł św. Teresy od Dzieciątka Jezus polega na tym, że nie ma sensu wdrapywać się na schody, na które i tak się nie wejdzie, skoro można skorzystać z windy. A windą jest Boża miłość, miłosierdzie i Opatrzność. Trzeba wierzyć i konsekwentnie się do niej odwoływać. Co oczywiście nie oznacza, że samemu nie trzeba się fatygować, bo On wszystko za nas załatwi. Myślę, że wielu ludzi dosyć opacznie to rozumie – dlatego im nie wychodzi.

– *Po zakończeniu podróży do Indii, Papież zostawił Matce Teresie swoją limuzynę, którą sprzedała na loterii. Zapytana, skąd wpadła na taki świetny pomysł, powiedziała: jak byś się modlił, też byś miał takie pomysły.*

– Ja najlepsze pomysły mam podczas adoracji. Może to nie jest najlepszy moment, ale tak właśnie się dzieje. Przychodzę z całym bagażem moich problemów i „ciach” – tak, jakbyśmy się naradzali razem. Robimy to, co robimy, dla Niego i z Jego powodu – więc On jest naszym szefem. Jeżeli chcemy żyć z Nim w przyjaźni, nie mamy się co trefić jak małpy i przychodzić na modlitwę, wmawiając sobie, że nie mamy żadnych problemów. Po pierwsze – to nieprawda, po drugie – On dobrze wie, że mamy problemy. To nie znaczy, że jest kącikiem porad. Rzecz jest dużo głębsza i rozbija się o to, czy ja Go proszę, żeby być podobną do Niego.

– *Więc jak Siostra – by użyć określenia, które kiedyś usłyszałem w Brwinowie – „robi modlitwę”?*

– Bardzo różnie i w zależności od tego, kim jestem w danej chwili. Jak narozrabiałam, to inaczej, jak nie narozrabiałam, a mam problemy i nie wiem, jak postąpić, żeby to było zgodne z Ewangelią – inaczej. Modlę się na głos albo rozmyślam, naradzam się z Nim, albo po prostu jestem i patrzę. Korzystam z różańca, odmawiam stale Modlitwę Jezusową z tradycji Kościoła Wschodniego („Panie Jezu, Synu Boży, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem”), a kiedy już zupełnie nie mam siły, mówię „Ojczy nasz”. W

czasie adoracji po prostu jestem i staram się słuchać. Albo mówić: tak jak ostatnio z Tamarą – „oto tu jesteśmy i nie mamy pieniędzy”. Żeby nie udawał, że nie słyszy.

– *Skutkuje?*

– Owszem. Ja zresztą bardzo wierzę w moc modlitwy wspólnej. „Gdzie jest dwóch lub trzech w imię moje...”. I dlatego, we wszystkich najważniejszych sprawach dotyczących Wspólnoty modlimy się razem. Niekoniecznie „razem” fizycznie, np. niektóre intencje są rozsyłane po całym świecie.

– *Czy w modlitwie przetaczają się między Wami jakieś „burze z piorunami”?*

– Nie. „Spór” nie oznacza przemawiania do Pana Boga z pozycji siły.

– *W zdaniu „to Twój uboży, Twój problem, zrób coś”, które wypowiedziała Siostra podczas modlitwy o zniknięcie wszy w schronisku, jest wyraźna nuta wymagania.*

– Przede wszystkim jest prawda. To byli Jego uboży i jeżeli On by nic nie zrobił, ja musiałabym zamknąć dom. Logiczna konsekwencja, a Pan Bóg jest logiczny.

Najważniejsza w modlitwie jest gotowość przyjęcia wszystkiego, co się będzie działo. Bo przecież odpowiedzią może być zburzenie domu, jeśli taka jest wola Boża: gdyby w dom uderzył piorun, byłoby jasne, że Pan Bóg nie życzy sobie takiego domu, w takim miejscu... Trzeba umieć się wsłuchiwać w to, czego On oczekuje, a nie narzucać Mu to, czego się chce samemu. Skoro już tu jesteśmy, skoro nie z naszej winy zabrakło nam pieniędzy (dokładnie przeanalizowaliśmy każdy wydatek, czy mamy czyste sumienia), a On powiedział, że będzie nam pomagał – pofatygowaliśmy się do kaplicy i czekamy, aż coś zrobi. Śmiało, ale pokornie – bo w końcu On zawsze wie lepiej.

Modlimy się często i nasza modlitwa obejmuje mnóstwo spraw, mnóstwo ludzi – chodzi o to, żeby On wiedział, że Go kochamy i mamy do Niego zaufanie. Musimy umieć zobaczyć Jego rękę nawet w sytuacji, w której wszystko się wali – nie ma pieniędzy, samochody się popsują, ktoś umarł, a ktoś nie wytrzymał napięcia, wszyscy są chorzy. Musimy wiedzieć, że trzeba się do Niego zwrócić o pomoc. Bo jak idzie dobrze, pojawia się pokusa zapominania o Nim i o tym, że tak naprawdę wszystko jest Jego. Jak powiedziałam: w momencie, gdy zaczyna brakować pieniędzy, trzeba najpierw zrobić rachunek sumienia, czy nie zostały wydane lekkomyślnie. Ale jeżeli nie, to znaczy, że Pan Bóg przypomina o swoim istnieniu. Niedawno mieliśmy kompletną katastrofę: okazało się, że wydatki na eksploatację budynku, pokrywane dzięki dotacji, znacznie przekroczyły tę dotację. Zmusiło nas to do głębokiej refleksji: po pierwsze, musimy jeszcze bardziej oszczędzać, po drugie: oprócz zarządu miasta i paru gmin, jest jeszcze Pan Bóg.

– *I wyszliście z tej kompletnej katastrofy?*

– Prawie. W każdym razie zaczęły się dziać rzeczy niezwykle. Ktoś, kto regularnie przysyłał nam 700 zł, przysłał cztery razy więcej. (Nie wiem, kto to jest i nawet nie mam okazji mu podziękować.) Takie wydarzenia oczywiście nie zwalniają nas z codziennej troski i nie sprawiają, że przestajemy się denerwować. Ale zwracają nasze nerwy i przeżycia w odpowiednim kierunku.

– *Ksiądz Tischner powiedział kiedyś, że Pana Boga nudzą bezmyślnie klepane pacierze...*

– Na pewno. Po to dał mi rozum, żebym się nim posługiwała, także w rozmowie z Nim. Najpierw korzystam z rozumu, żeby samemu wyjść z kłopotów, potem przychodzę do Niego i liczę: albo na to, że da mi pieniądze, albo, że podsunie mi jakiś genialny pomysł – oczywiście uregulowany zasadami naszej Wspólnoty.

– *Czy kiedy zdarzają się momenty strasznej napięcia, mnóstwa pracy, znajduje Siostra czas na modlitwę?*

– To zależy, na jaką. Modlitwa Jezusowa, która jest modlitwą ustawiczną, jakby „tchnieniem” każdego człowieka, po pewnym czasie staje się odruchem. Cały człowiek przemienia się powoli w to jedno wołanie – o miłość i miłosierdzie. Poza tym, słowo „Jezus”, jak mówi Katechizm, „zawiera Obecność, którą oznacza”. A jeśli człowiek jest wierny modlitwie jako wyłącznemu czasowi poświęconemu Panu Bogu i posłuszny temu, co na modlitwie usłyszy, po pewnym czasie – krok po kroku – staje się narzędziem w ręku Pana Boga (Matka Teresa mówiła, że jest ołówkiem w Jego ręku). To, co robi; to, jak myśli i jak postępuje, jest w dużej mierze zgodne z Jego planami. Siedzimy tu i rozmawiamy, ale przecież kiedyś przerwano nam rozmowę, bo Beata miała atak padaczki a ja musiałam trzymać ją za głowę, żeby sobie jej nie rozwalila. Jak do niej leciałam, nie myślałam o modlitwie. Ale kiedy już trzymałam ją za głowę, to się po prostu za nią modliłam.

- *A kiedy tak rozmawiamy, trzyma Siostra w ręku różaniec. Czy to coś znaczy?*

- To nie jest forma bezpośredniej modlitwy, ale odruch. W naszej tradycji zachodniej istnieją zapomniane dawno akty strzeliste, będące formą pomocy chrześcijaninowi w utrzymaniu się w stałej pamięci o Panu Bogu. W Kościele wschodnim czymś takim jest właśnie modlitwa Jezusowa. Ale wolałabym się nie koncentrować na technikach modlitwy – one mogą nas zaprowadzić na manowce. Trzeba uważać i nie robić pewnych rzeczy samemu – np. uczyć się związywania modlitwy z oddychaniem. W pewnym momencie, jeśli nie będzie w tym rozsądku, można dostać fioła.

- *Pamiętam, jak na rekolekcjach Wspólnoty mówiła Siostra: „Nie jesteśmy pracownikami socjalnymi jeszcze z innego powodu: jesteśmy zazdrośni o ludzkie dusze”. Jak to rozumieć?*

- Zna pan historyjkę o św. Antonim, pustelniku? Po wielu latach na pustyni, gdzie pościł i się modlił, ukazał mu się anioł, który powiedział: wydaje ci się, że jesteś święty? Jeżeli chcesz spotkać prawdziwego świętego idź do Aleksandrii, gdzie mieszka pewien szewc. Św. Antoni poszedł więc, odnalazł szewca i spytał go, jak żyje. „Normalnie – odpowiedział tamten – osiem godzin pracuję, osiem godzin się modlę i osiem godzin odpoczywam”. Nic wielkiego, pomyślał św. Antoni. Z piwnicy, przez małe okienko widzieli nogi przechodniów. „A co sądzisz o tym ludzie, wydanym na zatracenie?” (w owym czasie Alek-

sandria była znanym siedliskiem rozpusty). „Codziennie się modlę, żebym prędzej to ja poszedł na zatracenie niż oni” – odpowiedział szewc.

Ta historia ilustruje sens naszego życia, sens życia naszej Wspólnoty. Jesteśmy zazdrośni o ludzkie dusze tak, jak zazrosny jest Chrystus. Z tym, że doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że dusza nie będzie zdrowa, jeśli nie zatroszczymy się też o ciało. Żyjąc razem z ludźmi odtrąconymi, staramy się przede wszystkim doprowadzić do tego, żeby oni sami chcieli podjąć walkę o swoją godność. A jednocześnie wskazujemy im drogę do Chrystusa, jako jedyną drogę wyzwolenia dla człowieka, każdego człowieka. To nie jest tak, że zalecamy im modły, a sami się nie modlimy: po prostu żyjąc z nimi, żyjąc ich życiem, staramy się jednocześnie żyć modlitwą.

- *Odnoszę wrażenie, że nie tylko modlicie się, by „lud nie poszedł na zatracenie”, ale wadzicie się o to z Panem Bogiem. Słyszałem, jak Siostra mówiła kiedyś, że jeżeli Pan Bóg nie weźmie wszystkich, to wy też nie pójdziecie...*

- No bo albo jesteśmy rodziną, albo nie. Albo wszyscy, albo nikt. I myślę, że Pan Bóg też tego chce. Że pierwszy Chrystus właśnie tak postępuje w stosunku do swojego Ojca. Został naszym bratem, żeby zabrać nas wszystkich: taki był sens Wcielenia i Męki. Co więcej, najpierw zabrał łotra („dzisiaj ze mną będziesz w raju...”), potem zszedł do Otchłani i dopiero później udał się do Ojca z całą tą rzeszą... Wierzę, że Chrystus do ostatniej chwili życia każdego człowieka cierpi za niego na krzyżu. A jeśli w to wierzę, to nie może mi nie zależeć na każdym człowieku – przede wszystkim na tych, którzy tu mieszkają. Modlę się o to, by nie umierali bez Chrystusa. I przyznam, że nie widzę powodu, dla którego akurat ta moja prośba miałaby nie zostać wysłuchana.

Nie mogę się w tym, rzecz jasna, ograniczać do pobożnych gestów – i tu wracamy choćby do Karola de Foucauld. To, co robimy, to jest – jak w jego przypadku – jakaś forma oddania życia. Widział pan, jak żyje Tamara i cała jej rodzina, jak żyją inni członkowie Wspólnoty: w gruncie rzeczy jest to szczęście nagiego w pokrzywach.

- *Pokrzywy są zdrowe.*

- Ale parzą. Pan Jezus po zmartwychwstaniu mówi do św. Piotra „gdy byłeś młodszy, chodziłeś tam, gdzie chciałeś. Gdy będziesz starszy, inni cię przepaszą i poprowadzą tam, gdzie nie zechcesz”. To chyba jest tak – gdy w młodości, w jakimś odruchu, wybieraliśmy Chrystusa, szliśmy tam, dokąd chcieliśmy. Później natomiast Chrystus prowadzi nas tam, gdzie on chce, nie zawsze tam, gdzie byśmy chcieli.

- *To tak ładnie brzmi: „sprzedaj wszystko, rozdaj ubogim i pójdź za mną”. Przełożone na konkret okazuje się okropną pracą. Bez nadmiernego idealizmu...*

- Idealizmu rzeczywiście w tym nie ma. Jest wierność. I rzeczywiście jest bardzo konkretna, potworna praca. U nas we wspólnocie ludzie nie uśmiechają się za często (żeby wrócić do początku tej rozmowy), nie tańczą i nie klaszczą. Nie jesteśmy w stanie.

- *Za dużo cierpienia?*

- Tak.

Ale jednocześnie jest w tym jakieś światło, jakieś źródło nadziei: gdy patrzę do jak niezwykłych rzeczy zdolni są moi bracia i siostry ze Wspólnoty, harujący dni i noce, obmywający brudnych, opatrujący rannych i wcale przy tym nie uważający się za świętych. Gdy patrzę np., jak 21-letnia dziewczyna spędza pół dnia na odwszaniu tuzina rumuńskich Cyganów, a potworny smród roznosi się po całym domu.

- *A propos cierpienia: Pamiętam taki list Matki Teresy do swojej przyjaciółki, która przeszła ciężką operację – „gorąco się modłę, żeby Pan Bóg nie obdarowywał cię tak hojnie”.*

- Ja się czasami nawet modłę, by w ogóle nie zwracał na nas uwagi. Mała św. Teresa tłumaczyła Mu, dlaczego ma tak mało przyjaciół: „jeśli różne doświadczenia są przejawem Twojej miłości, to może na chwilę zmień jej obiekt”.

- *Stąd pewnie też odwieczne wątpliwości, biorące się ze sprzeciwu wobec zła i cierpienia. Iwan Karamazow mówił: jeśli harmonia kosmiczna ma być opłacana cierpieniem dzieci, to ja dziękuję, zwracam bilet...*

- Ja nie dziękuję, bo trudno Pana Boga winić za to, czego nie zrobił. To nie on jest winien cierpieniu dzieci, on natomiast bierze je na siebie: czym jest krzyż, jeśli nie torturą niewinności?

Jednej rzeczy Pan Bóg zrobić nie może, bo byłby sprzeczny sam ze sobą: nie może odebrać nikomu wolności. On jest miłością, a miłość zakłada wolność obydwu stron. Może prosić, nie może narzucić. Wracamy do tej logiki miłości, która nie jest logiką Arystotelesa. Ktoś, kto pozostaje na poziomie logiki Arystotelesa, może powiedzieć, że dzieci cierpią, bo Bóg jest zły albo obojętny. A ja wierzę, że to jest tak, jak w rodzinie. Jeśli cierpi dziecko, matka cierpi razem z nim – bo kocha. Bóg też cierpi, cierpi nieustająco, jeśli my cierpimy. Ale nie może zrobić nic ponad to, co zrobił do tej pory (odkupił nas) i ponad ustawiczne sygnały wysyłane do człowieka – prośby o dobro, o opamiętanie, nawrócenie...

- *Ale przecież czasem – bardzo rzadko, ale jednak – ingeruje.*

- Zgadza się. Myślę nawet, że nie bardzo rzadko, ale dość często – wysłuchując naszych modlitw, albo „z własnej inicjatywy”. Dlaczego w tym, a nie w innym przypadku, to tajemnica, której ja nie próbuję sobie tłumaczyć. Dlaczego np. w czasie wojny wyratował z Oświęcimia tylko niektórych? Nie wiem. Jednakowoż po Oświęcimiu i po wojnie ludzkość trochę się otrząsnęła, przynajmniej u nas w Europie.

- *Dopóki nie wybuchła wojna w Bośni.*

- Pan Jezus, jak sądzę, zdaje sobie sprawę z kamiennych serc swoich umiłowanych ludzi i nie On jest za nie odpowiedzialny. Trudno Boga winić za Bośnię, tak samo jak za Oświęcim i Holocaust. Podejrzewam natomiast, że Duch Święty oświeca ludzi dobrej woli, żeby wyciągnęli wnioski z cierpienia innych i zrobili wszystko, żeby się nie powtórzyło.

A odpowiedzi na samo cierpienie nie mam oprócz tej, którą daje Kościół: że jest ono skutkiem grzechu pierwородnego.

- Powiedziała Siostra kiedyś, że ci, którzy w waszych domach nie mogą pracować, bo są chorzy, cierpią za was. Jak to rozumieć?

- Ponieważ są z nami, w naszych domach, ich cierpienie jest bogactwem nas wszystkich. Podobnie jak trud, który wkładamy, żeby im ulżyć w cierpieniu, jest bogactwem miłości.

- Brzmi to jak formułka z kazania.

- Na pewno niezrozumiała dla wielu ludzi, zgoda. Ale wcielona w życie. Cierpieniem – zawinionym czy nie – jest np. to, że człowieka żrą wszy do kości. Ale cierpieniem jest również wyjęcie tych wszy. I wachanie tego smrodu. Jeżeli patrzymy na człowieka cierpiącego jak na naszego brata, widzimy, jak cierpi w nim Chrystus. I wiemy, że to cierpienie na pewno nie pójdzie na marne.

- Nawet jeżeli jest skutkiem grzechów?

- Nawet wtedy. Myślę, że ważny jest ten gest, wykonany przez kogoś z naszej Wspólnoty podczas np. odwszania: gest miłości bez osądzania. Cierpienie jest bogactwem także w tym sensie, że grzeszy każdy z nas. Człowiek cierpiący bierze na siebie skutki grzechu – swojego i cudzego, bo może też być ofiarą czyjś grzechu – kumuluje w sobie, jak w soczewce, grzechy całego świata.

- Ale czy to „cierpią za nas” znaczy, że w świecie jest jakaś suma cierpienia „do odciążenia”?

- Nie mówię, że oni cierpią fizycznie za nas konkretnie, chyba że mają taką intencję. Ci, których dotyka cierpienie, noszą na sobie Chrystusowy krzyż. Chrystus cierpiał niezasłużenie i nadał temu cierpieniu sens. Ono było skutkiem naszych grzechów, ale też bardzo konkretnie – grzechów ludzi, którzy do tej śmierci doprowadzili. Piłata, członków wysokiej rady, tłumu, który wrzeszczał... Trzeba pamiętać, że we mnie – tak samo jak w tych nieszczęśnikach, którzy akurat mieli pecha i znaleźli się wtedy w Jerozolimie, są te same uczucia: zazdrość, zawiść, pycha, agresja. Chrystus, przybivszy je do krzyża, dał mi możliwość rozjaśnienia wszystkiego, co jest we mnie ciemne. Wiemy, że cierpienie weszło w świat razem z grzechem pierworodnym. Wiemy, że jest między nami zależność na płaszczyźnie duchowej. Mówiąc konkretniej: cierpienie pańskiej żony, Janki Ochojskiej, nie jest przecież jej winą – zachorowała na polio jako półroczne dziecko. Ale jest w jakimś sensie spowodowane przeze mnie – bo ja jestem człowiekiem grzesznym. A jej walka o swoją godność, akceptacja czy nawet bunt – to samo przeżywał w pewnym momencie Hiob – obchodzi Boga bardzo mocno. Bóg tego nie chciał, Bóg rozpacza – rozpacza to złe słowo, bo rozpacz zakłada beznadziejność – więc inaczej: Boga potwornie boli ludzkie cierpienie. Człowiek, który cierpi w naszym domu, ściąga więc na siebie nieprawdopodobną miłość i miłosierdzie Boga. Powtarzam: Bóg rzeczywiście cierpi w tym człowieku, jak matka cierpi cierpieniem swojego dziecka. Miłość Boga jest więc w tym człowieku spotęgowana, a przez niego – i w nas. To jest trochę tak: jeśli ktoś pomaga mojemu Arturowi, to ja go lubię. Serce oddałabym komuś, kto życzliwie odnosi się do tego chorego chłopca. Jeśli Renia opatruje te śmierdzące rany czy robi wszystko, żeby ktoś zupełnie jej obcy poszedł na tamten świat z godnością, sprowadza tu sympatię Pana Boga. To jest, tak myślę, przełożona na nasze życie formułka z kazania o bogactwie miłości. Człowiek, który u nas umiera, może

być półprzytomny i nie zdawać sobie z tego sprawy, ale – wierzę głęboko – po przejściu na tamtą stronę pozostaje z nami w łączności. Bo umarł otoczony miłością i umarł u nas.

- *Dlaczego to cierpienie, skutek grzechu pierworodnego, tak często skupia się na niewinnych dzieciach? Wracam jeszcze raz do Iwana Karamazowa, bo chyba rozumiem jego bunt przeciwko takiemu porządkowi rzeczy...*

- Ja też. Podobnie buntuję się przeciwko śmierci osób mi bliskich. Ale wiem, że z chrześcijaństwem – jak powiedział Mounier – wiąże się tragiczny optymizm; mój bunt łączy się z nadzieją, z wizją świata, o którym mówi Apokalipsa – gdzie nie będzie już łyż. Inaczej nie dałoby się tego przeżyć i nasze wysiłki nie miałyby sensu. Trzeba byłoby zostawić tych wszystkich ludzi na Mszczonowskiej, żeby już umarli, bo przynajmniej będzie taniej. Świat bez Boga do tego właśnie zmierza. Pomysł badań prenatalnych w celu wyeliminowania dzieci upośledzonych jest pomysłem tego rządu. I mogę na niego odpowiedzieć tylko: proszę wyrzucić mojego Artura za okno, z siódmego piętra powinno wystarczyć.

- *A eutanazja?*

- Póki się przed tym bronimy, póki walczymy o świat, w którym najsłabszy ma swoje miejsce, to dobrze. Jeśli się dajemy wepchnąć w krąg eliminowania najsłabszych, hołdu oddawanego młodości, sprawności fizycznej i umysłowej – odpadamy. Janka pewnie miałaby tu wiele do powiedzenia. Wróć raz jeszcze do jej przykładu, bo dla mnie rodzi on nieprawdopodobną nadzieję dla świata, który cierpi: oto są świadkowie tego, że cierpienie może być darem. Księża stale to powtarzają, ale co to oznacza w rzeczywistości, mało który może powiedzieć. Na pewno nie młody byczek na ambonie do kogoś, kto ma nowotwór. Dlatego nie należy o tym mówić za dużo. Bo tego się powiedzieć nie da, to trzeba przeżyć. A ktoś, kto na to patrzy, może dopiero zrozumieć. I to nie na zasadzie intelektualnej, raczej na zasadzie intuicyjnego wyczucia: jeżeli tak jest, to znaczy, że Bóg jest.

- *Są ludzie niesamowicie heroiczni, np. pracujący w hospicjach, bez tej świadomości. Znak wydał książkę „Śmierć z bliska”, napisaną przez wieloletnią pracownicę hospicjum nie mającą religijnej nadziei. Ten heroizm ateisty jest w pewnym sensie trudniejszy.*

- Nadzieja chrześcijańska nie zmniejsza cierpienia. Ale myślę, że często człowiek żyje Ewangelią i nie zdaje sobie z tego sprawy. Chrystus nie pyta: „czy byłeś biskupem, złodziejem czy prostytutką?” Nie mówi: byłeś wierzący, byłeś rzymskim katolikiem, akceptowałeś dogmaty, mówi: odwiedziłeś mnie w więzieniu, dałeś mi jeść, pić... Mówi: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”. To jest ciekawe. I dalej: celnicy i grzesznicy ubiegają was w drodze do królestwa niebieskiego (pewna zakonnica powiedziała: to po co się tak staram? (*śmiech*)). Wartości ewangeliczne, heroiczne zupełnie, widzę w naszych domach u ludzi, którzy kompletnie nie zdają sobie z tego sprawy. A może autorka tej książki dojdzie do tego, że to, co robi, jest Ewangelią? A może Bóg chce, żeby zobaczyła światło dopiero po tamtej stronie? To też jest tajemnica Boga, który daje tam, gdzie chce. On jest

wolny i ludzie są wolni – mogą wybierać. Myślę, że akurat wspomniana przez pana kobieta wybiera dobro.

- *To porozmawiajmy o cudach. Ten najślynniejszy, jaki Wam się zdarzył, dotyczył wszy.*

- Wszy w schronisku to klęska: nie zlikwiduje się ich inaczej, jak paląc całą odzież, koce, materace. Dopiero zaczynaliśmy działalność, nad głową wisiał nam Sanepid, groziło, że zamkną dom. Próbowaliśmy radzić sobie na różne sposoby, używaliśmy kolejnych metod – oczywiście nic nie pomagało. Poszłam więc do kaplicy i dałam Mu termin do dwunastej następnego dnia: albo wszy nie będzie, albo zwijam interes. „To Twój ubodzy, Twój problem, zrób coś”...

Pamiętam, że sprawdzałam jeszcze o pół do dwunastej i wszy łączyły sobie w najlepsze. Potem – zniknęły.

- *Jak nie odczytywać w takim kontekście np. złapania gumy?*

- Myślę, że jesteśmy realistami. I choć takie realne życie też jest w rękę Pana Boga, to w nie On na ogół nie ingeruje. Jeśli złapię gwóźdź na drodze, to niewątpliwie pęknie mi opona – to jest logiczne.

- *Kiedy więc ingeruje?*

- Z mojego doświadczenia wynika, że wtedy, kiedy Go o to prosimy i kiedy to jest dla dobra ludzi. I kiedy chce ingerować, oczywiście. Ingeruje zarówno w sferze materialnej, jak i duchowej. Czasami nas rozśmiesza i chyba sam się przy tym dobrze bawi.

- *Na przykład?*

- Kiedyś zabrałam Tamarze wszystkie pieniądze, jakie miała i zapłaciłam rachunki. Zniosła to z godnością i z humorem, ale potem uświadomiła sobie, że nie ma za co kupić jedzenia dla dzieci. Idzie więc na adorację, wraca przez podwórze (z jednego domu do drugiego jest raptem parę kroków) i myśli: kurde, już pół do ósmej, ciemno, a tu nic, nie ruszyło. I nagle ktoś ją woła: „proszę pani”. Myśli: „no jasne, następny głodny”. A tu podchodzi do niej jakiś mężczyzna i wyciąga pieniądze. Znajomy chłopak, który wstąpił do jezuitów, prosił, żeby dług, który ktoś miał w stosunku do niego przekazać na nasz dom... Pan Bóg ingeruje wtedy, kiedy sami nie możemy sobie już poradzić. Wtedy z wszami wiadomo było, że sobie nie poradzę. Dziś, kiedy mam do dyspozycji środki chemiczne, którymi – co prawda z wielkim wysiłkiem, ale – wszy usunąć mogę, Pan Bóg już ich za mnie nie wytepi.

- *Na cud trzeba się napracować: w Kanie Galilejskiej uczestnicy wesela musieli się nanosić stągwi. Podobnie przy rozmnożeniu chleba...*

- Opatrzność działa zwykle z piętnastominutowym opóźnieniem: w czasie tego kwadransa można się nieźle nadenerwować. No i to nie jest tak, że leci nam z nieba, a jedzenie jest codziennie podwożone samochodami. Trzeba się na giełdzie warzyw i owoców solidnie naprosić, a cudem jest też to, że ludzie dają. I że jest ktoś, kto jest w stanie prosić i nadal jeździ samochodem, który już dawno powinien się

rozlecieć. Cudem jest to, że ludzie wychodzą ze swoich problemów. I to, że nasze domy istnieją, mimo naszych słabości.

Pan Bóg robi cuda niebezinteresownie. Robi je wtedy, kiedy mamy świadomość tego, że to naprawdę jest cud.

- *Nie marnuje swoich talentów...*

- I chce nam pokazać, że jest. Bo naprawdę tego potrzebujemy.

- *Jest taki gatunek cudów, który mnie osobiście wprawia w zakłopotanie. Czytam w gazecie, że Matka Boska pojawiła się na czyjejs szybie, w telewizji oglądam relację z jakiegoś amerykańskiego miasteczka, gdzie zgromadziło się 100 tys. ludzi, bo po raz ostatni raz miała się tam objawić Maryja. Jak Siostra reaguje na takie wiadomości?*

- Absolutnie obojętnie. Kościół, na szczęście, wypowiedział się jasno, że wiara w objawienia prywatne nie jest nam potrzebna do zbawienia. Nie muszę więc, jako katoliczka, w nie wierzyć. Choć... wierzę np. w objawienia w Lourdes, bo mam zaufanie do Kościoła.

- *A jeśli chodzi o Medziugorje?*

- Póki Kościół nie wypowie się jednoznacznie na ten temat, jest mi ono obojętne.

- *Czy odczuwa Siostra zmęczenie, zniechęcenie?*

- Nie w sensie takim, żebym miała ochotę zejść z tej drogi. Jestem już za stara, żeby się rozwodzić z Panem Bogiem i Wspólnotą Chleb Życia (*śmiech*). W grę wchodzi tu też poczucie odpowiedzialności za siebie i za innych, i zwykła ludzka przyzwoitość, która jest cechą niezwykle przydatną.

Mam jednak świadomość, że nikt nie jest bezpieczny do końca – nawet w drodze za Chrystusem. „Kto stoi, niech baczy, by nie upadł”. Czym bliżej jesteśmy Pana Boga, tym aktywniej przeszkadza nam szatan. Tym aktywniej i tym perfidniej, bo wie, że nie ma do czynienia z durniami. Sieje pokusy, od których nie jesteśmy wolni. Wykorzystuje nasze ludzkie ograniczenia. To znana historia: człowiek, starający się o coś bardzo długo, w połowie drogi do celu zaczyna opadać z sił, ogarnia go zniechęcenie, brakuje mu wytrwałości. Zupełnie po ludzku: osiągnęło się to czy tamto, więc może na tym poprzestać? Inni wszak ułożyli sobie życie, a my ciągle musimy znosić trudy, cierpienia, może prześladowania. Ktoś, kto żyje non stop wśród trzydziestu chorych, może sobie powiedzieć „dość”. Przychodzi oschłość wewnętrzna, która także jest wpisana w koszt: pewnych rzeczy nie robimy już tak entuzjastycznie, jak na początku. Ale spokojnie: ta oschłość jest normalnym etapem rozwoju życia duchowego, związanym z utratą bezpośrednich pociech, dotykalnych przyjemności obcowania z Panem Bogiem. Bo na początku zwykle Pan Bóg je daje. Dopiero potem przeprowadza człowieka przez drogę twardszą. Tak jak w małżeństwie: gdy w pewnym momencie opada już zauroczenie fizyczną stroną współmałżonka, zaczyna się widzieć wszystkie jego wady. Jeśli miłość nie przetrwa tej próby, jeżeli małżonkowie nie zaczną poko-

nywać różnych przeciwności razem – to takie małżeństwo się rozsypie. Bo miłość polega przede wszystkim na codziennej wytrwałości, na codziennej wierności.

Podobnie w życiu kapłańskim czy zakonnym. Dojrzewamy, jak wiadomo, w trudzie i w cierpieniu. Jeśli coś osiągamy łatwo – mówiła Matka Teresa do jednej z sióstr – to tego nie doceniamy i zaczynamy to trwonić. Ale jeżeli coś zdobywamy z trudem, doceniamy to i to nas kształtuje. Często wracam do słów pana żony: że jej choroba jest darem i że bez niej nie byłaby tym, kim jest.

- *Ale zanim to sobie uświadomiła, musiało minąć wiele lat. Pytań „dlaczego ja?”, buntu...*

- Zgadza się, oczywiście. Ale jej ogromnym zwycięstwem było to, że – właśnie po latach walki – umiała swoją chorobę wykorzystać w dobry sposób. I dzisiaj wszyscy wiedzą, kim jest Janka: człowiekiem odpornym na trudy, potrafiącym walczyć o słuszną sprawę, uczciwym; rzeczywiście wielkim człowiekiem. Ktoś, kto ucieka przed trudnością, nie przeskoczy nigdy bariery, która oddziela nas od Chrystusa. Św. Jan od Krzyża mówił o wąskiej drodze – ja myślę, że ona na tym polega.

I jeszcze coś. Miłość musi być bezinteresowna. My nie kochamy Pana Boga dlatego, że daje nam pieniądze. Mamy Go kochać również wtedy, kiedy dostajemy po tyłku. Bo jeśli wtedy od Niego uciekamy, to znaczy, że Go nie kochamy. Czy możemy mówić o miłości, gdy mąż opuszcza żonę, bo jest sparaliżowana?

Wracając do zniechęcenia: często jest tak, że na ten dzień mam już wszystkiego dosyć, zaczynam na ludzi warczeć i trzaskać słuchawką. (Niedawno tak zrobiłam i chyba jest mi trochę głupio, no ale pewna pani najpierw dzwoni do mnie w sobotę rano, kiedy po raz pierwszy od dawna miałam czas na śniadanie z dziećmi, a potem w porze obiadu, który pierwszy raz od trzech tygodni miałam zjeść z dziewczynami. A dzwoni w sprawie kogoś, kto robi ewidentne głupstwa, więc pomyślałam sobie: nie, teraz mnie się należy ten obiad.) Irytuję się głupotą ludzką – własną i cudzą. Ale tu przede wszystkim przychodzi z pomocą Wspólnota: kiedy widać, że ktoś jest zmęczony, zniechęcony, ma zły nastrój, przychodzi ktoś inny, kto robi mu kanapkę. Wzajemna dbałość o siebie jest podstawą naszego funkcjonowania. Bardzo tego pilnujemy, żeby po prostu ktoś się na naszych oczach nie wykończył.

- *Tamara, która twierdzi, że nie jest „obryta” teologicznie, mówi, że kieruje się paroma drogowskazami, wziętymi z Pisma Św. Jeden z nich to opis zwycięstwa Izraela nad Amalekitami: mieli wygrać dzięki wzniesionym dłoniom Mojżesza, więc gdy ręce mu drętwiały, Aaron i Chur je podtrzymywali.*

- We wszystkich domach Wspólnoty modlitwa jest o dziewiątej wieczorem. I nawet jak nam się mocno nie chce jej robić, to przypominamy sobie ten fragment. Nie pomodlimy się i może nie zaszkodzi nam to bezpośrednio, ale może gdzie indziej ktoś padnie, pozbawiony naszego wsparcia?

- *Samotność we wspólnocie: to pewnie wykańcza wielu księży.*

- Pamiętam wizytę w klasztorze benedyktynów w Rzymie. Jako mała siostra chodziłam tam do spowiedzi, bo wielu benedyktynów znało języki obce. Trafiłam na wspaniałego faceta, Węgry, z którym rozmawiałam po francusku – musiał uciekać w '56 r., a że ja też byłam z za żelaznej kurtyny, to gadaliśmy

dwie godziny. Moje siostry siedziały pod drzwiami i były przekonane, że się tak potwornie spowiadam (*śmiech*). Ale po tym klasztorze oprowadzał nas stary brat i to on nam, młodym dziewczynom, zwierzył się ze swojej straszliwej samotności.

Oczywiście w każdym z nas jest takie miejsce, w którym jest się samotnym, i którego nie zapełni żaden drugi człowiek – nawet w udanym małżeństwie. Ale to jest właśnie miejsce dla Boga, taka dobra samotność.

- „*Samotność to taka przestrzeń, która może być zamieszкана przez Boga*” – mówiła Siostra Wojtkowi Tochmanowi. Ale dodała Siostra zaraz: „*Jego też się nie zawsze odczuwa*”.

- No bo nie zawsze.

- *To jak wyglądają chwile, w których Siostra ma poczucie, że nie ma przy niej Boga?*

- Myślę, że co innego poczucie, a co innego wiara. Droga do Pana Boga koniec końców musi być drogą czystej wiary. A wiara oczyszcza się ze zbędnych sentymentów przechodząc przez okresy pustyni. Już mówiłam: miłość to wierność.

- *Pustyni tzn. nieobecności?*

- Nie możemy mówić o nieobecności, skoro przez wiarę wiemy, że zawsze jest przy nas. Nie zawsze natomiast potrafimy tę obecność poczuć.

Są takie adoracje, kiedy nie czujemy, że On odpowiada. Adoracja to jest walka, modlitwa to jest walka. Ale nie z Panem Bogiem – z sobą samym.

- *O co?*

- Np. o to, żeby zostać (*śmiech*). Żeby nie myśleć tylko o tym wszystkim, co się dzieje dookoła. Tamara widywała na adoracji w kościele jezuitów diabełka, który siedział na monstrancji, machał ogonem i mówił: „po co tu siedzisz, jest tyle roboty na zewnątrz”.

- *Czyli w świecie działa szatan?*

- Niewątpliwie. Nawet mamy oznaki jego działalności – kiedyś np. postanowił zniszczyć całą Wspólnotę, prześladowając naszego Andrzeja.

- ?

- Nie mogę o tym mówić. Pascal, nasz założyciel, jest zdania, że jak diabeł już sobie z nami nie może poradzić, to próbuje chociaż fizycznie nas zlikwidować – chorobą, śmiercią, wypadkiem samochodowym, wyrznięciem – jak w Ruandzie.

Zło jest w każdym z nas i każdy z nas jest podatny na jego działanie. Ale choć jest inteligentne i bardzo silne, to jego moc nie jest nieskończona. Chrystus je zwyciężył i kiedyś całe stworzenie „uwolni od grzechu i śmierci”.

- *Czy oznacza to nadzieję zbawienia dla wszystkich?*

- Wierzę, że każdy może być zbawiony. Wierzę, że nie ma zbrodni i grzechu, który nie mógłby być przebaczony, jeśli człowiek w jakimkolwiek momencie i w jakimkolwiek sposób okaże skruchę. Ale wierzę również, niestety, że są ludzie, którzy nawet w ostatniej chwili życia trwają w złym, z absolutnie złą, świadomą wolą.

- *Co wtedy robi nieskończenie dobry i nieskończenie miłosierny Pan Bóg?*

- Pan Bóg stworzył człowieka wolnym. Nieskończona dobroć i miłosierdzie nie mogą przeskoczyć ludzkiej wolności.

- *Czyli będzie piekło?*

- Czyli będzie piekło. Jeśli ktoś nie chce, nie można go na siłę uszczęśliwiać.

- *Na czym to będzie polegało? Wieczne męki, czy – jak np. pisze Urs von Balthasar – unicestwienie?*

- Najprawdopodobniej piekło będzie polegało na tym, że człowiek, wiedząc, że istnieje miłość, nigdy w życiu jej nie zazna. Smażenie w ogniu nie jest już wtedy do niczego potrzebne.

- *Opowiadał mi ks. Adam Boniecki o swoim współbracie ze Zgromadzenia Księża Marianów, który pracuje na Alasce: warunki są tam potworne, ludzie bardzo trudni. Podobno przez pierwszy rok pobytu na Alasce ksiądz nie powinien mówić ani słowa, bo zawsze palnie głupstwo.*

Inny z moich przyjaciół, dominikanin Wojtek Jędrzejewski był przez jakiś czas duszpasterzem Kalkutek w Szczecinie. Jako jeden ze swoich największych triumfów wspomina rozmowę o Bogu z pewnym bezdomnym – bardzo pięknie mówił i był bardzo z siebie zadowolony. Mężczyzna mu podziękował: „Dziękuję, że ojciec tak tu przy mnie posiedział, choć śmierdę”.

Zmierzam do pytania: jak mówić o Bogu bezdomnemu człowiekowi?

- Po pierwsze: bardzo mało. Po drugie: nie bezdomnemu człowiekowi. Ja mówię o Bogu w kaplicy, dzielę się ze swoimi braćmi i siostrami Słowem Bożym. Efekt, jaki to przynosi, nigdy mnie nie interesuje. W pewnym sensie nawet nie mam prawa wiedzieć. Być może żaden.

O Bogu mówię to, co myślę i to, czym żyję. Lub wyjaśniam pewne proste sprawy, by ludzie, do których mówię, mogli w ogóle zrozumieć Ewangelię. W Wielki Czwartek mówiłam np. co to znaczy „ksiądz”, kto to jest biskup, jak to się ma do Apostołów itd. Ludzie tego nie wiedzą, nie tylko zresztą bezdomni.

Jeśli mówię, staram się to robić tak, żeby ułatwić drugiemu człowiekowi spotkanie z Chrystusem; wskazać, że w naszej konkretnej sytuacji Chrystus mówi do nas to i to. A sytuacja jest wspólna: moja i ich.

Natomiast nie siadam specjalnie i nie rozmawiam z mieszkańcami o Bogu. I nie chcę ich n a w r a c a ć.

(To zabawne: jeszcze nie tak dawno przychodzili do nas ludzie z mocnym postanowieniem, że najpierw nawrócą naszych mieszkańców, a potem nas wszystkich. Szybciućko zwijali żagle (*śmiech*).) Chyba byłoby mi głupio, a oni pewnie otworzyliby szeroko oczy. Myślę zresztą, że mam takie samo prawo o Bogu mówić, jak i oni. Wszyscy mamy kaplicę, własne przeżycia, wszyscy tak samo Boga szukamy.

A co najważniejsze: nie wielkimi słowami i nie naukami możemy wskazać człowiekowi Chrystusa. Tamara opowiada zawsze historię Marii Magdaleny, która spojrzała Mu w twarz. Nie było rozmów, dyskusji, nie trwało to nie wiadomo ile. Ona s p o j r z a ł a. Więc jak ktoś pyta Tamarę, jaki jest sposób na to, żeby być wierzącym, mówi, że trzeba iść na adorację i próbować zobaczyć Jego twarz. Tu trzeba by powiedzieć, że adoracja Najświętszego Sakramentu jest bardzo ważnym elementem naszej duchowości. Wierzmy, że to dzięki spotkaniu twarzą w twarz z Jezusem możemy uczyć się żyć Jego życiem i patrzeć na ludzi tak jak On patrzy. Chcemy, żeby Wspólnota była obrazem Ludu Bożego zgromadzonego wokół Chrystusa, wokół ubogich i wokół dzieci (bo ubodzy i dzieci byli najbliżsi Chrystusowi). Jeżeli Pan Jezus dzisiaj żyje w Eucharystii, to adoracja jest szansą na Spotkanie. A rzeczywiście jest tak, że ludzie, którzy do nas przychodzą, są w stanie wyjść ze swoich problemów tylko wtedy, kiedy spotkają Chrystusa. Tyle, że oni z bardzo wielu powodów na razie nie pójną do kościoła. Dlatego u nas mają kaplicę, a w niej, bardzo blisko, Pana Jezusa w otwartym tabernakulum. Kiedy można się z Nim spotkać twarzą w twarz, ludzie przychodzą.

A cała reszta nie należy już do nas: Pan Bóg radzi sobie z każdym, jeśli tylko da Mu się szansę; jeśli tylko pozwoli się Duchowi Świętemu poprowadzić.

- *A jak sobie radzą księża, którzy przychodzą odprawić Mszę i powiedzieć kazanie?*

- Zależy jacy. Był przez parę lat ksiądz, który był świetny. Był jednym z nas, w krótkiej homilii mówił proste, zwykłe rzeczy. Jest zaprzyjaźniony z nami inny ksiądz: poprosiłam, żeby odprawił Mszę w noclegowni i powiedział kazanie. Wypadło to świetnie – bo to jest człowiek cierpiący i rozumiejący cierpienie. Ksiądz z Brwinowa, bardzo miły, odprawia Msze i mówi homilie zupełnie ponad naszymi głowami.

- *To znaczy?*

- Jest pewien styl mówienia kazań, który nie trafia do ludzi. I niestety większość kapłanów go posiada. Kiedy widziałam, co mój Janek w trzeciej klasie przerabiał na katechizacji, włosy stawały mi dęba: nie rozumiał ani w ząb tego, co miał dyktowane. Ani słowa. Przerabiali Stary Testament i serwowano im bełkot teologiczny, którego nawet dorosły bez przygotowania nie zrozumie. Rzecz jasna bez związku z realnym, konkretnym życiem dziecka, które notuje to w zeszyte.

- *Czyli problemem jest nieumiejętność przełożenia Ewangelii na nasze konkretne doświadczenie?*

- Na pewno. Może ja stawiam za wysokie wymagania? Ale członkowie wspólnoty mi powiedzieli przed Wielkim Postem: nie chcemy już, żeby przychodził do nas rekolekcjonista, bo my w ogóle nie rozumiemy tego, co do nas mówi. Członkowie wspólnoty!

- *A Siostra rozumiała?*

- Intelktualnie tak. Natomiast zupełnie nie docierało to do mojego serca. Z jednym wyjątkiem: rekolekcji, które głosił kiedyś u nas Moris, mały brat Karola de Foucauld. Ale jak ja się wsłuchuję w to, co mó-

wią księży, uświadamiam sobie, że żaden z tych tekstów nie przemówiłby nigdy do mojego życia. To jest tak mówione. Nie mówię już o listach pasterskich...

- *Listy pasterskie, na szczęście, nie muszą przemieniać naszego życia. Ale kazania...*

- Kazania powinny. Listy zresztą też – jeśli pamiętamy, czym były listy apostołskie. Spotkałam zaledwie kilku polskich księży, którzy potrafią przekazać to, czym żyją, w homilii poświęconej danemu fragmentowi Ewangelii. Ale to byli ludzie, którzy wstawali rano, czytali czytania z dnia i nimi żyli. Tu jest różnica: czytania były dla nich p o k a r m e m. Jeśli dla człowieka czytanie z danego dnia nie jest pokarmem, może mi oczywiście przekazać wiedzę na temat danej perykopy: biblistyczną, teologiczną, coś, co wyczytał i czego się nauczył. Natomiast z jego słów nie przebija prawda o życiu. A ludzie potrzebują nauczycieli życia i ś w i a d ó w. Dlatego ksiądz powinien głosić słowem, ale przede wszystkim głosić życiem.

- *Znam taką wioskę w Toruńskim, w której parę lat temu zmienił się proboszcz. Tamten poprzedni chodził z plebanii do szkoły piechotą; gdy wracał po religii, przejście kilkuset metrów zajmowało mu nieraz półtorej godziny – spotykał parafian, gawędził... Nowy przejeżdża te pięćset metrów samochodem.*

- Spotykam się często z takim nastawieniem: „ja mam głosić, więc będę głosił – usłyszą czy nie usłyszą”. A przecież jeśli się mówi, to trzeba wiedzieć do kogo. Dobry nauczyciel będzie mówił tak, żeby uczniowie go zrozumieli. Zły natomiast będzie wykladał, nie troszcząc się o zrozumienie. Ciągłe pokułuje u nas sytuacja, w której kapłan, nawet jeżeli nie uważa się za nadczłowieka, to był wychowany w takim poczuciu. Jego rolą jest głosić, nie świadczyć.

- *A co trzeba „mieć” do takiej pracy? To strasznie trudne: być np. „nauczycielem życia” odwiedzającym chorych w szpitalu, zajmującym się niewidomymi, cierpiącymi, nieuleczalnie chorymi...*

- Ja myślę, że każdy prawdziwy kapłan musi to umieć.

- *Różnie bywa.*

- Co trzeba mieć? Ksiądz Hoinka np. jest z wykształcenia inżynierem lotnikiem, konstruktorem samolotów. Wstąpił do seminarium po studiach i do dziś jak słyszy samolot, to wzdycha (potrafi, zdaje się, na słuch rozpoznać, co to za samolot). Myślę, że postanowił być księdzem naprawdę. A „być księdzem naprawdę” oznacza właśnie chodzenie z komunią do najbardziej chorych i opuszczonych, do najgorszych slumsów.

- *Każdy, kto leżał w szpitalu, spotkał pewnie księdza, który wkraczał na salę z komunią, po czym szybko odchodził. Jakby bał się rozmowy...*

- Zetknięcie z cierpieniem stawia nas wobec szeregu pytań. Być może ci ludzie tych pytań sobie nie postawili i uciekają przed odpowiedzią.

- *Jakich pytań i jaką odpowiedzią?*

- Pytań o cierpienie i przemijalność. Współczesny świat ucieka od cierpienia, a księża są częścią współczesnego świata. A odpowiedź daje chrześcijaństwo, tylko żeby ją usłyszeć, trzeba najpierw zaakceptować własne cierpienie.

- *Czasem, w konfrontacji z kimś nieuleczalnie chorym, trudno znaleźć właściwy język. Więc ja rozumiem onieśmienie młodego księdza przy łóżku umierającego.*

- Na pewno to lepsze niż gdyby miał przyjść i mówić bzdury. Kardynał Mercier bodajże w pewnym momencie powiedział do kogoś: nie będę cię pocieszał, mogę z tobą pomilczeć. Ale do tego potrzebne jest doświadczenie życiowe, dojrzałość i – być może – mowa o tym w seminarium. Ktoś powinien powiedzieć klerykom, że prędzej czy później spotkają się z cierpieniem, co więcej – dobrze, że się spotkają, bo cierpiący są najbliżsi Chrystusowi. Nie muszą się bać, ważne, żeby podchodzili do takiego spotkania z modlitwą i wiarą – że naprawdę mogą być narzędziem Pana Boga. Może wydarzy się w nich coś, co ich przerośnie? Przecież na takie rozmowy nie ma recepty. Ja też jej nie mam, choć umierało przy mnie już wielu ludzi. Czasem we mnie samej krew się burzy, bo czuję, że za dużo tego cierpienia, albo pozostaje jedynie przyjmując je i nieść razem z tym człowiekiem, modląc się w milczeniu.

Może brakuje praktyk – takich jak te, które klerycy mieli przy duszpasterstwie niewidomych. Ksiądz Hoinka wymógł na władzach warszawskiego seminarium, że klerycy mieli np. obowiązek wozić naszego przyjaciela Adama, całkowicie sparaliżowanego, z „esemem” i jeszcze niewidomego, na wózku na spacer. Bywało z tym różnie, niektórzy zawozili go np. do kościoła na różaniec, kiedy on miał ochotę posiedzieć w parku (różaniec mógł przecież odmawiać 24 godziny na dobę...), no ale sam zamysł był wspaniały.

W Belgii byliśmy z Tamarą na stażu u małych sióstr ubogich – wspaniałe zgromadzenie, prowadzące domy dla biednych starców, z tym, że daj Boże bogatym starcom w Polsce takie domy. Mówiły mi te siostry, że nie tylko klerycy, ale nawet młodzież w ramach szkolnej katechizacji musi spędzić tydzień – albo w klasztorze kontemplacyjnym, albo w domu starców, jako wolontariusze. Żeby mogli w praktyce, w życiu zastosować Ewangelię. I żeby się zetknęli z biedą i cierpieniem.

Napatrzyłam się tam zresztą wspaniałych rzeczy. Sióstr nie jest zbyt dużo, więc zatrudniają świeckich. I jest, powiedzmy, obiad dla staruszków. Ci, którzy nie mogą, są karmieni w pokojach, a reszta schodzi do jadalni. Z kuchni, która jest w podziemiach wyjeżdża taki zestaw z podgrzewanymi talerzami – czyli posiłki nie wystygną po drodze. Siostra odpowiedzialna za karmienie staje na końcu sali i patrzy. I wystarczy, że ktoś, kto obsługuje staruszką, za wcześniej zabierze mu talerz sprzed nosa: natychmiast wylatuje z pracy. Staruszek ma prawo zjeść zupkę w spokoju. Przypomniały mi się polskie szpitale czy domy starców, gdzie zanim posiłek przejdzie przez cały oddział, będzie już zimny i obrzydliwy...

- *Wracając do wątku „kaznodziejskiego”: jeżeli dobrze Siostrę rozumiem, kapłan nie musi być intelektualistą. Wystarczy, żeby „był wierzący”.*

- Dokładnie. Św. Jan Vianney nie tylko nie był intelektualistą, ale wręcz uchodził za człowieka ograniczonego (na co jego biskup mawiał: „bardzo bym sobie życzył, żeby wszyscy kapłani cierpieli na taki rodzaj obłądzenia”). Pan Bóg naprawdę jest bardzo prosty. Ludzie potrzebują tylko, żeby przełożyć im Ewangelię na język codzienny. A tego współcześni księża jakoś nie potrafią. Nie mówię już o tym, że często zajmują się polityką, najwyraźniej sądząc, że to ona właśnie stanowi życie codzienne.

- *To się chyba wyraźnie zmniejszyło w ostatnich latach.*

- No tak, ale trzeba mieć świadomość, że ludzie, którzy głoszą nam homilie, nie są przygotowani do czegoś innego.

- *Czy księża mają głosić kazania, że trzeba płacić podatki?*

- Myślę, że powinni. I o wielu innych rzeczach – przede wszystkim o naszym stosunku do bliźnich. Ale uzasadniając to Ewangelią, nie dlatego, że „tak trzeba”.

Zasadniczym problemem jest kwestia formacji kapłanów. To się na pewno zmieni. Ale kiedy? Ksiądz, który przychodzi do nas do Brwinowa jest, jak się rzekło, bardzo miły – chrzci dzieci naszych mieszkanek za darmo, zawsze po Mszy siada z nami, je ciasto, żartuje... Szkoda, że przy tym nie słucha, że chce, by tylko jego słuchano. A znam kapłanów, którzy słuchają. Którzy mają poczucie, że są z „ludu wzięci i dla ludu postawieni”. „Dla ludu” – a więc mają służyć. Żeby służyć, muszą wiedzieć komu i robić to tak, żeby ten, komu się służy, miał z tego jakiś pożytek. Podobnie jest w naszych domach. Mnie też grozi to, że tracę kontakt z mieszkańcami – jeżeli nie ma mnie wiele dni, pochłaniają mnie zebrania, spotkania, rachunki, rozmowy z dziennikarzami... Wszystkie te sprawy są ważne, ale walczę o zachowanie proporcji. Bo dużo łatwiej siedzieć na spotkaniach niż rozwiązywać kolejne konflikty w naszym domu, zastanawiać się z Kasią, Basią czy Marysią nad tym, jak ma napisać pozew, albo usiłować wychowywać dzieci naszego Cygana z Brwinowa.

- *Jeżeli prawdą jest, że przyszłość Kościoła w Polsce decyduje się na szkolnej katechezie, a Janek nie rozumie nic, to czarno widzę...*

- A on nie rozumie nie dlatego, że nie jest Polakiem. Nie rozumie dlatego, że dziecko nie może tego zrozumieć. Powiedział mi szczerze: „ja nienawidzę religii”. Dlaczego? „Bo nic nie rozumiem”. A ponieważ nie potrafi jeszcze pisać po polsku ze słuchu, bierzemy zeszyt kolegi i przepisujemy: „Katecheza numer 23, Mojżesz otrzymuje przykazania”. Dzieci w trzeciej klasie nie mają poczucia historii, historię zaczynają dopiero w czwartej klasie. Wiedzą, że Mojżesz żył dawno i że mało to je obchodzi. Jaki to ma związek z ich życiem z Panem Jezusem? Co ciekawe, mój Janek bardzo chętnie chodzi do kaplicy na wieczorną modlitwę.

- *Czyli: najpierw przeżycie, potem wiedza?*

- Niewątpliwie wiedza z przeżyciem – na tym poziomie, na jakim dziecko jest w stanie ją przyjąć. Z katechezy numer 23 nie wynika dla dziecka nic. Z katechezy numer 24, kiedy jest mowa o miedzianym

wężu przybitym do pala – podobnie. Trzeba zrozumieć słowo „pal”. A czytam w zeszytce, że miedziany wąż jest obrazem Chrystusa przybitego do krzyża. Rozumie pan to?

- *Z trudem.*

- Więc jak ma rozumieć to Janek?

A w jego zeszytce nie ma mowy o zaufaniu do Pana Boga i o tym, że Pan Bóg wyratuje nas z każdej sytuacji, jeśli tylko będziemy o to prosić.

- *Co przecież też znajduje ilustracje w historiach biblijnych.*

- Dalej: plagi egipskie. Co to był Egipt i co to są plagi? Gdzie jest Morze Czerwone, jak wygląda rydwan – siedzimy i trzy godziny to sobie tłumaczymy, z encyklopedią szkolną, w której są obrazki, więc mogę Jankowi pokazać Egipcjanina i znaleźć na mapie Morze Czerwone (zaznaczam, że mapa wchodzi dopiero w czwartej klasie).

- *Ale można też zapytać, dlaczego Pan Bóg utopił Egipcjan...*

- I trzeba znać na to odpowiedź. Ale pomijając już problemy teologiczne: co dla mojego Jaśka wynika z tej katechezy? Dlaczego ma to wszystko zapamiętać? Nawet gdyby założyć, że rzeczywiście dzieci muszą przede wszystkim opanować historie biblijne, to jest na to grubo za wcześnie. Rozpaczliwie widzę, że z katechizacji Jaśka w szkole będą nici. I ja sobie z tym jakoś poradzę, ale ilu jest rodziców, którzy sobie nie poradzą? Skutki są takie, że 20-letnia dziewczyna, która ma maturę z religii, jest ochrzczona i bierzmowana, trafiła do domu pomocy społecznej, prowadzonego przez protestantów. I zapytała siostry, kim ona właściwie jest. „Jak to: kim?”. „No, jakiego wyznania”. Nie wiedziała, że jest katoliczką.

Chcę teraz poprosić jakiegoś księdza, żeby po kolei objaśnił mieszkańcom, co robi podczas Mszy świętej. Jakie znaczenie mają poszczególne gesty, co to jest patena i tabernakulum.

- *Ojciec Andrzej Kłoczowski tłumaczył to przez niemal rok swoich homilii u krakowskich dominikanów.*

- Bo niech pan zapyta 90 proc. katolików: czy wiedzą, co dzieje się na Mszy? Jest to jakiś rytuał, którego naprawdę wielu ludzi nie rozumie i mnóstwo na tym traci. Wiedzą oczywiście, że chleb i wino przemieniają się w Ciało i Krew, i że w Komunii św. przychodzi Pan Jezus. Ale to chyba jeszcze wciąż za mało.

Boję się o tych ludzi – boję się o mój Kościół. Bo na ogół zaangażowanie religijne kończy się na Pierwszej Komunii, której towarzyszy wielki splendor. No, czasami jest jeszcze ślub...

- *Z badań socjologicznych wynika, że procent Polaków mających poczucie istnienia Boga jest ogromny. Przeważnie są to ludzie ochrzczeni, uważający się za katolików, co nie przeszkadza im wierzyć także w reinkarnację. Mówi się o „społeczeństwie nieświadomych heretyków”.*

- Albo świadomych. Dzwoniła do mnie niedawno kobieta – stąd, z niedaleka – kompletnie sparaliżowana, która wcześniej dzwoniła do swojej parafii i pytała księdza, czy ktoś mógłby do niej przyjść: od czwartej po południu do ósmej rano jest kompletnie sama, nie może się ruszać, więc może ktoś mógłby być przy niej choćby po to, by podać jej szklankę wody. Usłyszała, że u nich się tym nie trudnią.

Co to znaczy? Czym żyje ta parafia? Czy to nie parafia powinna być wspólnotą, która troszczy się o chorych i ubogich? I co rozumie ze swojego kapłaństwa tamtejszy proboszcz?

- „Znak” wydał w 1997 r. numer o kapłaństwie, zawierający m.in. List od Byłego Księdza. Autor pisze tam o tym, czego go uczono: „w rodzinach dzieci wracają ze szkoły do rodziców, mąż z pracy wraca do żony, a żona do męża. A ty (kapłan) wracasz do Jezusa”. Kiedy ci młodzi księża z seminarium doświadczą już ciężaru życia, samotności, niezrozumienia, potrzeby domu itd., „kim wówczas będzie dla nich Jezus? Czy czterema pustymi ścianami mieszkania, w których nikt nie będzie na nich czekał?”

- No właśnie. A wydawałoby się, że ksiądz nigdy nie powinien być sam. Nie wnिकam w to, bo to nie jest moja rola, ale można pytać o rolę w takim kryzysie wspólnoty kapłańskiej i wspólnoty parafialnej. To też jest cena, którą płacą księża za brak współpracy z ludźmi świeckimi.

- Ale świeccy nie ułatwiają księdzu zadania, formułując wobec niego jakieś superwymagania. Zapominają, że jest człowiekiem.

- A dlaczego? Bo postawiono księdza na piedestale. Piedestały służą zazwyczaj pomnikom.

Owszem, Bóg go wybrał i on wybrał Boga, ale dalej pozostaje słabym człowiekiem, który potrzebuje wspólnoty z ludźmi. Przez lata seminarium ci młodzi ludzie są kompletnie wyrwani z normalnego świata i skoszarowani. Czy nie mogliby popracować trochę w fabryce, jak kiedyś w archidiecezji katowickiej? Owszem, mają praktyki, ale też na parafiach. Nie dziwny się więc, że potem nie potrafią się odnaleźć.

Poczucie, jak bardzo my, ludzie w sutannach i habitach, czujemy się kimś innym, uderzyło mnie ostatnio podczas spotkania Rady Opiekuńczej, skupiającej instytucje zajmujące się bezdomnymi w Warszawie. Pracujemy ze sobą od lat – duchowni i świeccy – i współpraca układa się nadzwyczajnie, ale jedna z osób duchownych po którymś ze spotkań poprosiła tych w sutannach i habitach o pozostanie i powiedziała coś w tym stylu: „przecież nie możemy tak bardzo otwierać się na świeckich, musimy stworzyć swoją frakcję”. Po siedmiu latach doskonałej współpracy!

- I co: powstała frakcja?

- Nie, ponieważ się przeciwstawiłam (*śmiech*). Tu naprawdę nie było z kim wojować.

- Znamienne: Były Ksiądz pisał właśnie o pojmowaniu kapłaństwa jako rodzaju służby wojskowej („żołnierz Boży”), co powoduje, że bez względu na splot dramatycznych okoliczności, powodujących ewentualne odejście od kapłaństwa, jest traktowany jedynie jako zdrajca.

- Takie myślenie nie ma wiele wspólnego ani z ewangeliczną wizją człowieka, ani z ewangeliczną wizją kapłana. Oczywiście jestem zdania, że kapłani powinni być wierni. Ale pierwszym papieżem był człowiek, który trzy razy zapał się Chrystusa.

Wydaje mi się niewątpliwe, że konieczna jest zmiana formacji kapłańskiej. Tym bardziej, że kompletnie zmieniła się rola księdza w społeczeństwie. Już nie musi być bastionem oporu przeciwko komunizmowi

czy sołtysem, który stoi na czele lokalnej społeczności. Ludzie nie potrzebują księdza, który zbuduje im drogę przez wieś (choć oczywiście może w tym pomagać). Potrzebują natomiast przewodnika w życiu duchowym. I wiarygodnego świadka swoich słów.

Ale jest jeszcze jeden problem. Związany z tym, że kapłaństwo ciągle jeszcze jest drogą do osiągnięcia pewnej pozycji materialnej. Nie oszukujmy się, motywacje we wstępowaniu do seminarium są i takie.

- *To się bardzo zmieniło. Jak się przejedzie po Polsce, częściej już chyba widać na plebaniach „bidę z nędzą”.*

- Ale podstawowy prezent prymicyjny to samochód, a prymicje odbywają się z większym przepychem niż wesela. To tylko jeden z elementów pogaństwa, które wciąż jest wplecione w nasz katolicyzm. Podobnie jak przepych podczas Pierwszej Komunii. Moim zdaniem forma świętowania tego wydarzenia nie ma nic wspólnego z Ewangelią i Panem Bogiem. Naprawdę! I w ludziach, którzy zarzynają się, żeby przygotować imprezę z pompą, nie ma to nic wspólnego z przeżyciem religijnym.

- *Samo dziecko pewnie też niewiele rozumie z całej uroczystości...*

- ...

- *Mruży Siostra do mnie oko...*

- No bo przecież w Brwinowie wszystkie dzieci mieszkanek były u komunii. I pojęcia nie mają o tym, co się stało.

- *Wiele parafii wprowadziło na Pierwszą Komunię alby zamiast tych niesamowitych sukien ślubnych.*

- No i to jest krok we właściwym kierunku. Ale wie pan, z jakim to się odbywa oporem rodziców? Oni chcą mieć to wesele! A gdyby w jakiejś parafii powiedziano: z okazji Pierwszej Komunii proponujemy, żeby dzieci odkładały swoje kieszonkowe i jako prezent dla Pana Jezusa zrobiły np. paczki dla dzieci z Kamerunu – wyobraża pan sobie, jaki byłby protest? A przecież nie trzeba byłoby wtedy kupować prezentu dla księdza za wiele milionów i dla pani katechetki za trochę mniej.

- *Kilka lat temu ks. bp Życki poprosił dzieci z diecezji tarnowskiej idące pierwszego września do szkoły o modlitwę w intencji pokoju w b. Jugosławii. To jest pewnie metoda, służąca nadaniu sakralnego wymiaru rzeczywistości, która nas otacza. Powiedzenia: katoliku, możesz coś zrobić.*

A może trzeba pomyśleć o chrzcie, komunii czy bierzmowaniu później, kiedy mały chrześcijanin jest już nieco dojrzały?

- Myślę, że nie później, ale po prostu inaczej. Tak, by przekazać dzieciom głęboki sens przyjęcia Komunii. Widziałam taką Mszę w Belgii, przygotowywaną przez zespół świeckich. Dzieci, gdy była procesja darów, przynosiły to, co zrobiły w tygodniu na temat poprzedniej Ewangelii: najczęściej coś rysowały, albo podejmowały jakieś zobowiązanie.

- *Z tego też można zrobić festiwal „kto ładniej”, albo chwalenie się dobrymi uczynkami.*

- Ale w to angażowała się cała parafia – rodzice wiedzieli, o co chodzi. Dzieci nie oglądały nawzajem swoich rysunków, bo właśnie nie chodziło o rywalizację. Można się z tego śmiać, ale ja katechizując

dzieci w Laskach też zachęcałam do tej formy czynienia dobra, jaką były tzw. uczynki. Oczywiście umiarkowanie, nie żeby je publicznie wyliczały czy konkurowały ze sobą – bo przecież to mogłaby być nawet zachęta do kłamstwa. Ale coś trzeba było robić, żeby powiązać ich wiarę z życiem. A jeżeli nie zacznie się tego uczyć od początku, nie pokaże się, że ten Pan Bóg, który rozmawiał z Mojżeszem, działa i dzisiaj, ludzie zaczną odchodzić od Kościoła. Na pewno robi się to trudniej niż katechezę numer 23 o dziesięciu przykazaniach.

- A skoro jesteśmy przy odchodzeniu od Kościoła... Często słyszy się o innych przyczynach topnienia katolickich szeregów – choćby o tym, że Kościół jest zbyt wymagający; że nie odpuszcza np. w dziedzinie środków antykoncepcyjnych czy celibatu. Interesuje mnie, co Siostra myśli na ten ostatni temat, bo oprócz tradycyjnych obrońców celibatu są tacy, którzy twierdzą, że powinien on dotyczyć jedynie ludzi na „wyższym szczeblu rozwoju” – nie wszystkich księży, ale za to np. biskupów czy zakonników. Nie mówię już o głosach tych, którzy opowiadają się za zniesieniem celibatu.

- Myślę, że pytanie jest źle postawione. Wszyscy jesteśmy wolni i możemy wybierać. W Kościele katolickim jest tak, że kapłaństwu towarzyszy celibat. Nie każdy musi być kapłanem w Kościele katolickim. A jeżeli chce być, musi akceptować reguły gry.

- Ale w historii Kościoła nie zawsze tak było.

- To prawda. Dla mnie osobiście celibat księży ma bardzo głęboki wymiar, ale ponieważ nie zawsze był obowiązujący i ponieważ sakrament kapłaństwa nie jest nierozzerwalnie związany z celibatem, identyfikowałabym się też z Kościołem, który zniósłby ten obowiązek. Natomiast w Ewangelii o celibacie jest mowa: Pan Jezus wspomina, że będą tacy, którzy dla Królestwa Niebieskiego pozostaną bezzenni. Co absolutnie nie umniejsza w moich oczach wartości małżeństwa jako drogi do świętości. Niech pan zwróci uwagę, że mój wybór celibatu czy moje śluby wieczyste nie są usankcjonowane sakramentalnie, wasze małżeństwo jest.

Nie do mnie należy rozstrzygnięcie, czy celibat powinien obowiązywać wszystkich kapłanów, czy – właśnie tak, jak w Kościele wschodnim – powinien być związany ze stanem mniszym. Ale celibat – tak w przypadku księży, jak i w moim – jest znakiem eschatologicznym. Życie rodzinne ma przeogromną wartość, uświęconą przez samego Boga, więc jeśli ja nie decyduję się na jego podjęcie, daję ludziom znak, że jest Ktoś jeszcze ważniejszy, Miłość jeszcze większa niż czysto ludzka.

I jeszcze jedno: zgoda, że celibat kapłanów powoduje problemy. Wiemy, że jest wielu kapłanów niewiernych celibatowi, ale przecież ci ludzie po zniesieniu celibatu będą mieli te same problemy z zachowaniem wierności żonie. Człowiek, który się żeni, też nie jest wolny od pokus, a słowo „czystość” nie jest w końcu zarezerwowane do celibatu. Więc co dalej? Pozwolić na rozwody kapłanów, na separacje? Przecież to są konkretne problemy, które staną przed Kościołem natychmiast po zniesieniu celibatu. A jeszcze zostaje odpowiedzialność za dzieci.

- *Czyli, zdaniem Siostry, prawdziwe ojcostwo w wykonaniu kapłana, prawdziwa bezinteresowność, zdolność do ofiary, musi się wiązać z celibatem?*

- Obserwowałam księży prawosławnych (wielu naprawdę wspaniałych), którzy siłą rzeczy musieli w którymś momencie pójść zająć się własnymi dziećmi. Czytałam też w „Tygodniku” świetny głos żony pastora, opisującej inny problem: opowiadała jak syn pastora przyszedł do kancelarii i ustawił się w kolejce parafian. Na pytanie, co tu robi, powiedział: „ojciec nie miał dla mnie czasu, więc przyszedłem do proboszcza”.

Oczywiście taka sytuacja ma też plusy: kapłan ma doświadczenie życia rodzinnego, jego rodzina może być przykładem dla wspólnoty, żona może mu pomagać. Tak jest w przypadku znanego mi z Rumunii księdza Tanaze, o którym już rozmawialiśmy. Ale i on mi kiedyś mówił, że nie jest do końca bezpieczny, mimo iż nie żyje w celibacie. To jest przystojny facet i tak samo musi walczyć o zachowanie wierności swojej żonie, jak ksiądz katolicki celibatowi.

Natomiast na pewno nie identyfikowałabym się z Kościołem, w którym kobiety byłyby dopuszczone do sakramentu kapłaństwa.

- *Dlaczego? Czy nigdy Siostra nie chciała...*

- ...Nigdy. I uważam, że to nie jest rola kobiety. Nie czuję się ani głupsza, ani upośledzona przez fakt, że nie będę księdzem. Podobnie jak nie czuję się upośledzona dlatego, że nigdy nie będę oblatywaczem samolotów.

- *Szafarz sakramentów to nie to samo, co oblatywacz samolotów.*

- Zgoda. Ale pewna grupa kobiet w Kościele stawia to na tej samej płaszczyźnie: niesprawiedliwości, że „kobiety nie mogą”. Kapłan, szafarz sakramentów, to powołanie, które – jak się dobrze przyjrzeć – wcale nie jest ważniejsze od mojego. Przepraszam: zakonnica, która pielęgnuje staruszkę, ma misję tej samej wartości, co ksiądz odprawiający Mszę św. i udzielający rozgrzeszenia w czasie spowiedzi. Po prostu to jest inne powołanie, inna służba.

- *Ale czemu związana z płcią?*

- A czemu z płcią jest związane macierzyństwo? Czemu mężczyzna nigdy nie doświadczy jego radości i smutku? Myślę, że Pan Bóg wiedział, co robi. Kobiety mają inne predyspozycje psychiczne niż mężczyźni. Nie są rzecz jasna głupsze, ale są po prostu inaczej skonstruowane. Adwokat-mężczyzna zachowuje się zupełnie inaczej niż adwokat-kobieta: najtrudniejsze, najdłuższe procesy wytrzymuje psychicznie adwokat-mężczyzna, reagujący mniej spontanicznie, mniej emocjonalnie, bardziej racjonalnie. Podobnie lekarze – w tym zawodzie największe osiągnięcia mają mężczyźni. Bo to nie wiąże się z intelektem czy uzdolnieniami, ale z psychiką.

Bardzo wiele zależy od postawy samych kapłanów: jeśli oni mają poczucie wyższości wobec reszty Ludu Bożego, to wśród Ludu Bożego natychmiast rodzi się pytanie, czemu on, a nie ja? Tu jest bardzo

wiele do zrobienia, jeśli idzie o zmianę mentalności, o uświadomienie, że kapłaństwo sakramentalne to kapłaństwo służebne.

- *Przez lata kobiety dyskryminowano. Później narodził się ruch feministyczny, który wywalczył dla nich prawa obywatelskie, ale współcześnie bywa kojarzony np. z walką o legalizację aborcji, hasłami typu: „moja macica jest moją własnością”. Papież mówi o „nowym feminizmie”. Jak to rozumieć?*

- W Kościele następuje dowartościowanie roli kobiety. U boku Chrystusa stoi Matka Boża. I tak samo jak ona, współczesna kobieta ma do spełnienia ogromną rolę. Kobieta ma być intuicją mężczyzny, ma być miłością, łagodnością, macierzyństwem i troską: mężczyzny i świata. Proszę zwrócić uwagę, że wśród osób oddających życie w służbie innym dużo więcej jest kobiet niż mężczyzn. Kiedy będę umierać, niewątpliwie wolałabym, żeby zajmowała się mną, np. obmywała mnie kobieta. Nie dlatego, że będę się wstydziła. Po prostu kobieta zrobi to delikatniej. To leży w jej naturze.

Nie wierzę w rywalizację między kobietą a mężczyzną, wierzę w d o p e ł n i a n i e s i ę. Nasza Wspólnota bardzo podkreśla męskie i żeńskie role w życiu codziennym. Rzadko się zdarza np., żeby kobieta wykonywała jakieś męskie prace. A mężczyźni uczeni są odpowiedzialności, ojcostwa. W małżeństwie wszystkie problemy dyskutuje się razem, kobieta ma obowiązek wyrazić własne zdanie, ale ostateczną decyzję ponosi mężczyzna. I on też ponosi za nią odpowiedzialność. W prawidłowym modelu rodziny matka dopieszcza, łagodzi, ojciec daje poczucie bezpieczeństwa, zapewnia byt. I jest oparciem również dla kobiety.

- *Dlaczego w Polsce zakonnice zgadzają się na bycie „kimś gorszym”? Pamiętam, jak słuchaliśmy kiedyś modlitwy, którą odmawiają zakonnice w Radiu Józef...*

- Skóra mi cierpnie, jak o tym pomyślę. Chciałam nawet zadzwonić do nich, żeby się zastanowiły nad sobą. Na wysokim tonie, pełne afektacji, omdlewające... Modli się pan tak? Mówi tak pan do kogoś?

- *Wydaje mi się, że do Pana Boga trzeba mówić z szacunkiem, ale „po swojemu”.*

- Przecież człowiek przez fakt zwracania się do Boga nie przestaje być sobą, nie przestaje być normalny. Jeśli zakładamy, że jest powołany do życia z Bogiem, to powinien być wręcz bardziej normalny. A tu wszystko ma być ujednoczone, monotonne, nie może być żadnego osobistego tonu. Radia Józef słucham czasem w samochodzie i przyznam się, że przeszkadza mi ono... w odprawieniu pokuty. W czasie ostatniej spowiedzi, zresztą u dość przypadkowego spowiednika, za pokutę zadano mi odmówienie koronki do Miłosierdzia Bożego. Nie znam jej na pamięć – kocham Pana Boga i Jego Miłosierdzie, ale ten typ nabożeństw jest mi obcy – tekstu też nie mam czasu szukać. Dowiedziałam się, że o trzeciej w Radiu Józef siostry odmawiają tę koronkę. Więc – myślę sobie – mój spowiedniku, skoro mnie tak zażyłeś, to ja sobie życie ułatwię. Włączyłam radio i... dwie pierwsze próby spaliły na panewce. (*śmiech*) Nie wytrzymałam nerwowo.

- *Może wysłuchanie tego do końca to będzie dopiero pokuta?*

- (*śmiech*) Byłam wtedy w ciężkim stanie psychicznym ze względu na umierającą mamę i powiedziałam sobie, że spróbuję jeszcze raz, ale muszę odczekać. Myślę, że Pan Bóg ryczy ze śmiechu nad trudem wysłuchania modlących się siostrzyczek.

- *Pewien dominikanin na widok zakonnicy tego typu, powiedział: „Oto oblubienice Jezusa. Współczuję Mu” (śmiech). Wróćmy jednak do pytania o miejsce zakonnicy w Kościele.*

- Myślę, że one w życiu są o wiele bardziej naturalne. Są zgromadzenia żeńskie, które nie łamią osobowości i starają się dać kandydatkom okazję do rozwinięcia wszystkich posiadanych przez nie darów, ale są też takie, które wciąż jeszcze „odczłowieczają”: zacierają osobowość, każą recytować brewiarz unisono, monotonnie i sztucznie – bo to nie ma nic wspólnego np. z melodyjnością chorału gregoriańskiego. Do tego jeszcze dochodzi przekonanie, że wybrany przez Boga musi być ponury. No, ale to triumfy święci dziewiętnastowieczny jeszcze styl formacji i duchowości, który niestety nie wszędzie zanikł. Opowiadała mi pewna kapitalna siostra niepokalanka, że w trosce o przyzwoitość dawniej kazano im się kąpać w koszulach nocnych, a u karmelitanek przez cały rok nie można było prać habitu (wyobraża pan sobie, jak śmierdziały, skoro co piątek smażyły ryby?). Co charakterystyczne, w te wypaczenia wciskano dużo bardziej kobiety niż mężczyzn. A wymyślali je mężczyźni.

Znam siostry niepokalanki, z których każda ma swoją osobowość, niektóre wręcz wspaniałą – są bardzo inteligentne, wykształcone. Szare urszulanki też są niezwykle normalne, podobnie jak franciszczanki od krzyża. Ale pamiętam, co powiedział kiedyś ksiądz (obecnie biskup) Dembowski: w każdym zakonie są święte i zwyczajne baby.

- *Jakiś czas korzystałem z gościny pewnego zakonu męskiego, w którym domem zajmowały się zakonnice. Widziałem, jak piorą majtki i skarpetki bardzo nieraz młodych chłopaków.*

- A dlaczego przełożony tego domu na to pozwala? Ksiądz Popiel już dawno temu zapraszał do seminarium w Sandomierzu szare urszulanki, siadał z nimi na podium i klerycy słuchali ich mądrej dyskusji. Chodziło o to, żeby pokazać, że „zakonnica też człowiek”. Wiele się pod tym względem zmieniło, niewątpliwie jest też tak, że same zakonnice sporo nabroily i przyczyniły się do tego swojego wizerunku kogoś „gorszego”. Ale przede wszystkim – nie uczono je odróżniania posłuszeństwa od bycia poniewieranymi. I w trosce o czystość tłamszono kobiecość.

- *Czytałem znakomitą rozmowę w miesięczniku „W drodze”. „Bóg nie chce, żebyśmy były wycieraczkami” – mówi s. Celestyna Giertych.*

- I jako kobieta, i jako zakonnica mam nadzieję, że takich wypowiedzi będzie więcej.

- *Powiedziała kiedyś Siostra „Najpierw jestem kobietą, dopiero później zakonnica. I jest mi bardzo miło, gdy ktoś dostrzeże we mnie kobietę”...*

- To prawda. Na szczęście.

- *Wróćmy jeszcze na moment do kapłaństwa kobiet. Znajoma powiedziała mi kiedyś, że wolałaby, aby spowiadała ją kobieta... Dało mi to do myślenia: niby wiem, że rzecz nie rozgrywa się między mną a spowiednikiem, ale on też jest jakoś ważny – daje wskazówki, nakłada pokutę. Może dla spowiednika-mężczyzny coś jest niedostępne?*

- Nie ma przecież innej Ewangelii dla mężczyzn, a innej dla kobiet. Nasze grzechy są obiektywne. Być może kobiety mają większą skłonność do jednych grzechów „z listy”, mężczyźni do innych. Trzeba natomiast rozróżnić spowiedź od kierownictwa duchowego, sakrament od terapii. Mój kierownik duchowy nie musi być moim spowiednikiem, ja się mogę spowiadać częściej u kogoś przypadkowego. Spowiednik, który mnie nie zna (bardzo często tak bywa, prawda?) wręcz nie powinien pełnić roli kierownika duchowego, choć wierzę, że nawet, gdy jest ode mnie głupszy, ma światło Ducha Świętego.

Słyszałam, że w Stanach Zjednoczonych kierownikami duchowymi, nawet w niektórych seminariach, są kobiety. Ale to nie ma nic wspólnego z sakramentem pokuty. Powtarzam: moje grzechy są obiektywne. Natomiast jeśli chcę opowiedzieć komuś o swoich kłopotach, co przecież nie jest materia spowiedzi (ludzie to często robią, skoro to jest jedyny moment, kiedy ktoś ich naprawdę wysłuchuje), do tego może rzeczywiście lepsza byłaby kobieta. Ale tu dochodzimy do ważnego nieporozumienia: czy można wymagać od spowiednika, żeby przeżył wszystko, co jest do przeżycia w świecie? Skoro ma tysiące najróżniejszych penitentów i każdemu powinien pomóc? Moim zdaniem nie – spowiednik powinien mieć światło Ducha Świętego i rozeznanie w sprawach Bożych. Wszystko inne, co wiąże się z moją sytuacją życiową, to sfera, którą mogę omawiać z moim kierownikiem duchowym. Są siostry zakonne, które pełnią taką rolę – pomocy, wysłuchiwanie, towarzyszenia różnym ludziom (nie tylko kobietom) w ich drodze życiowej. Siostry niepokalanki są kimś takim dla swoich dawnych wychowanek, ale pamiętam siostrę Lidę, która pomagała osobom potrzebującym i wielu alkoholików doprowadziła do przerwania picia i podjęcia leczenia.

- *Młoda dziewczyna, która sama wychowuje małe dziecko, skarżyła się kiedyś, że było jej bardzo ciężko, więc szukała w żywotach świętych jakiejś patronki. No i gdzie nie popatrzyła, to dziewice z poobcinanymi piersiami...*

- Zgadza się. Ale tu wracamy może nie tyle do roli kobiet, co do roli świeckich. Niech pan znajdzie przed pontyfikatem Jana Pawła II jakiegoś beatyfikowanego ojca rodziny. Albo matkę.

- *Niedawno Papież beatyfikował kobietę, która oddała życie za nienarodzone dziecko.*

- Ale są też w przygotowaniu procesy beatyfikacyjne tzw. normalnych ludzi. Myślę, że sensem istnienia Wspólnoty Chleb Życia, na ile rozumiemy Pana Boga, jest pokazanie przez nasze życie drogi do świętości przez normalność. Wśród członków Wspólnoty są małżeństwa, które chcą przeżyć swoje powołanie do świętości jako ludzie świeccy – choćby po to, aby pokazać dziewczynie, o której pan mówi, że ona też jest powołana do świętości. Z biegiem czasu, w ciągu wieków, Kościół trochę o takich ludziach za-

pomniał. Świętość osiągnano na ogół w klasztorach, mimo iż pierwsi chrześcijanie też byli przecież ludźmi świeckimi. Dopiero po edykcie mediolańskim, gdy chrześcijaństwo stało się religią panującą, a więc gorliwość i zapał mocno stopniały, ci, którzy chcieli rzeczywiście pójść radykalnie za Chrystusem, uciekali od świata.

- *Z tymi świętymi z zakonów jest też pewnie tak, że o nich ma się kto upomnieć.*

- Oczywiście. Bo żeby przeprowadzić proces beatyfikacyjny trzeba mieć czas, pieniądze i specjalistów, którzy przygotowują odpowiednie papiery. Na to mogą sobie pozwolić rzeczywiście zakony.

- *Kto się powinien zatroszczyć o „normalnych” świętych?*

- Parafia i diecezja.

Ale wróćmy do tego powszechnego powołania do świętości. Jeżeli nasz Andrzej na wsi hoduje świnie i buduje dom, nie dla siebie, a dla tych, których będzie do siebie przyjmował, jest to znak dla sąsiada, który też hoduje świnie: uwaga, ty też możesz iść za Chrystusem. Na pewno za mało się o tym mówi. Księża mają pretensje do świeckich, że się nie angażują, świeccy mają pretensje do księży, że ich nie dopuszczają, ale gdyby świeccy nie oczekiwali od kapłanów, że pozwolą im być świętymi, gdyby zaczęli żyć Ewangelią, byłoby dużo normalniej. Nie ma pan wrażenia, że świeccy oczekują życia Ewangelią tylko od księży i zakonnic? A gdy krytykują księży, że są zbyt bogaci: czy nie oznacza to często, że sami mają nieuporządkowany stosunek do rzeczy materialnych?

- *Są dwa poziomy. To prawda, że wszyscy jesteśmy powołani do świętości. Ale niektórzy z nas (kobiety pewnie częściej) mają potrzebę aktywnego włączenia się w życie Kościoła. I tu zaczyna się problem...*

- W polskim Kościele rzeczywiście kobiety mogłyby znaleźć się w wielu miejscach. Rzadko się zdarza, żeby kapłan miał charyzmat do katechizowania małych dzieci. To powinny robić (i robią, ale w za małym stopniu) kobiety.

- *Mary Ann Glendon jedzie na Konferencję Pekińską jako przewodnicząca watykańskiej delegacji. W Polsce nie do pomyslenia.*

- I myślę, że tu po prostu musi nastąpić przemiana mentalności. Pamiętam taką, anegdotyczną zupełnie historię, chyba sprzed dziesięciu lat. Robiliśmy z Tamarą kolonie dla niewidomych dzieci. Pomagali nam klerycy z seminarium, zresztą świetnie sobie radzili. Działo się to w ramach załatwionych przez ks. Hoinkę praktyk, w związku z tym w nowym roku seminaryjnym klerycy potrzebowali zaświadczenia i opinii. Któryś z nich zgłosił się do ks. Hoinki, a ten powiedział: „ja na koloniach nie byłem, proszę pójść do pani Małgosi”. Pani Małgosia wypisała, co trzeba, ale kleryk z tym wrócił, bo okazało się, że musi się podpisać ksiądz.

Niedawno zdarzyło mi się zwrócić uwagę pewnemu kapłanowi na bardzo niestosowną publiczną wypowiedź. Ksiądz, który odwiedził nas w Brwinowie, wygłosił antysemitki dowcip, a ja powiedziałam, że na terenie domu Wspólnoty Chleb Życia coś takiego jest niedopuszczalne. Był wstrząśnięty: „Jeszcze mi żadna zakonnica nie śmiała zwrócić uwagi”. Na co powiedziałam: „Może dobrze, że zakonnica, a nie

ksiądz biskup”... (*śmiech*). Jego reakcja była bardzo charakterystyczna: nie zastanowił się, że ja, jako człowiek, w dodatku starszy od niego, mogę mieć rację (pomijam już, że to ja mam władzę na terenie domu Wspólnoty), po prostu: on jako kapłan rządzi wszystkim i we wszystkim ma rację.

Myślę jednak, że ta rozmowa bardzo go zmieniła. Że zrozumiał.

Już panu opowiadałam o księdzu Popielu – on wstąpił do seminarium, kiedy miał 40 lat. Pewne rzeczy miał już uporządkowane, więc miał normalny stosunek do kobiet: utrzymywał dystans, który powodował, że czuł się bezpieczny, ale równocześnie potrafił powiedzieć komplement, pocałować kobietę w rękę czy w policzek, a nawet przepuszczać ją pierwszą przez drzwi. Słowem: wiedział, jak mężczyzna powinien zachować się wobec kobiety.

- *Pewna doktorantka teologii usłyszała od księdza: „gdyby pani była c h o c i a ż m ę ż c z y z n ą, mogłaby pani uczyć w seminarium”.*

- Moim zdaniem to wielki błąd, że w seminariach nie uczą kobiety. Owszem, kleryk ma kontakt z siostrą zakonną, ale ona pracuje zwykle w kuchni, a poza tym – mimo, iż często jest starsza – niejako z definicji jest już na niższym poziomie. Bardzo wielu kapłanów, których spotykałam, zachowywało się tak, jakbym była stworzeniem z innego świata. Myślę, że to m.in. skutek seminaryjnego zamknięcia. Jak zachować się wobec kobiety? Jak z nią rozmawiać? Nie znam programu seminarium, ale wydaje mi się, że wciąż jest to temat tabu. Albo wpaja się klerykom, że kobieta jest narzędziem pokusy, albo w ogóle się o tym nie mówi. Moim zdaniem to bez sensu, bo dopiero po wyjściu z seminarium młodzi księża zaczynają mieć kłopoty. W grupie czują się bezpiecznie, ale kiedy zostają sami na parafii, zaczynają się schody. A przecież zdarzają się też kobiety niezrównoważone emocjonalnie, które przyklepiają się do kapłanów. Umiejętność poradzenia sobie w takiej sytuacji wymaga dojrzałości, ale także wiedzy i pracy nad sobą. Nikt z nas nie jest wolny od pokus – więc trzeba umieć sobie z nimi radzić. I tu powinna zacząć się rozmowa o modlitwie, o pogłębianiu własnej osobowości, o umiejętności przemyśliwania stale na nowo pewnych tematów, np. sensu mojego celibatu, mojego ojcostwa duchowego itd. To jest bardzo trudne, więc nie ma się co dziwić, że są tacy, którzy się na tej drodze potykają: nie można ich potępiać w czambuł.

- *Więc jakie można dać kobietom pole do aktywności w Kościele? W Kanadzie czy USA spotykałem kobiety-szafarki Eucharystii.*

- Ale czy Pan wie, w jakim stanie jest obecnie Kościół na tamtym kontynencie?

- *Dobrze, wróćmy do Polski. Są ludzie chorzy, odwiedzani przez księdza (jak dobrze pójdzie) raz w miesiącu. Dlaczego kobieta nie może raz w tygodniu zanieść im Komunii?*

- To mogłaby śmiało. Oczywiście kobieta mająca odpowiednią formację; kobieta, co do której można mieć zaufanie. Kiedy byłam u małych sióstr w Rzymie i przez pół roku leżałam chora, jedna z sióstr przynosiła mi komunię, bo ksiądz po odprawieniu Mszy pędził do swoich obowiązków. Nie widzę w tym nic niestosownego i być może to jest jedna z dróg, jakimi pójdzie Kościół.

Ale trzeba zachować zdrowy rozsądek. Jeżeli idę na Mszę we Francji, kapłan siedzi a kobiety rozdają Komunię, wydaje mi się to już nadmiarem szczęścia. Po prostu: trzeba przywrócić właściwe proporcje. Ksiądz nie musi zajmować się wszystkim, od budowy kościoła, przez katechizowanie, do posługi sakramentalnej. Te pierwsze dwie czynności spokojnie można zostawić świeckim. Tę trzecią jednak świeccy mogą pozostawić jemu.

- *Są Msze, które kapłan odprawia od początku do końca: sam czyta, sam nalewa wino, sam myje dłonie. Czy nie mogłyby mu pomóc ministrantki? Skoro mężczyźni – co wiemy nie od dziś – mniej chętnie angażują się w życie parafii?*

- Tylko żeby nie doszło do sytuacji, że Kościół to są baby i kapłan. Sfeminizowanie Kościoła może się odbyć ze szkodą dla niego.

- *Jak się czyta kobiecą literaturę mistyczną, nieraz uderza wręcz erotyczny język. Chciałbym zapytać, jak Siostra przeżywa swoją kobiecość w relacji do Chrystusa.*

- Na pewno nie na płaszczyźnie damsko-męskiej, choć na pewno na płaszczyźnie afektywnej. Tak jak każdy człowiek, i ja potrzebuję miłości. A jeśli wybrałam Chrystusa jako przedmiot swojej miłości, to staram się Go kochać. Wszystko jednak jest kwestią uporządkowania uczuć: ja swoją miłość do Jezusa staram się przelewać na innych ludzi. Co nie znaczy, że mam łamać celibat, bo Chrystus kazał mi kochać bliźniego.

Uczuciami musi kierować rozum. Św. Teresa od Jezusa, mistyczka, była niezwykle logiczną babą (a u św. Jana od Krzyża z kolei jest mnóstwo afektów). Bo miłość, to nie tylko uczucia, to także wola. Dojrzewanie do uporządkowania uczuć, zarówno w małżeństwie, jak i w celibacie, też stanowi naszą drogę do Chrystusa. Bo o co chodzi Panu Bogu? O to, żebyśmy bałagan, który wprowadził w nas grzech, Jego mocą uporządkowali. O to, żeby Chrystus w nas zamieszkał – Chrystus, a więc pewien porządek miłości. Jeśli Chrystus potrafił swobodnie rozmawiać z kobietami, jeżeli miał przyjaciółki kobiety, co w owych czasach bynajmniej nie było czymś naturalnym (a w dodatku, jakie kobiety – przecież Maria Magdalena prowadziła wcześniej życie grzeszne) – stanowi to dla nas przykład. Mamy się nie odcinać od świata i zachowywać pełną swobodę w obcowaniu z innymi. Żebyśmy potrafili ich kochać w wolności. Starcy w Kościele prawosławnym, stare zakonnice tak samo, potrafią swobodnie obcować ze wszystkimi. Pokój wewnętrzny polega w rzeczywistości na porządku w miłości.

Ja swoją pobożność staram się brać dosłownie. Jeśli Chrystus jest moim bratem, moim przyjacielem, to muszę Go tak traktować. Ze wszystkim, co się z tym wiąże: jeżeli mam zły dzień, to się z Nim kłócę.

- *Charakterystyczne, że Siostra używa słów „brat”, „przyjaciół”. Nie – co miałem na myśli, pytając o to przeżywanie kobiecości – „oblubieniec”...*

- To słowo dla nas straciło już znaczenie. Podobnie jak wiele innych słów, wciąż używanych w Kościele. Rozmawialiśmy o katechezie Janka: dziecko, kiedy słyszy takie sformułowanie, odnosi wrażenie, że

aby być z Chrystusem, musi się nauczyć innego języka. A wówczas nasze życie dzieli się na dwie sfery: sferę religijną i sferę codzienności.

- *Są jednak ludzie, którym to odpowiada. Np. ci, którzy bronią łaciny w liturgii, żeby stworzyć swoistą przestrzeń sacrum, oddzieloną od wszelkich innych sfer życia.*

- Myślę, że są w błędzie. To nie język tworzy przestrzeń sacrum. Przestrzeń sacrum powinna obejmować całe nasze życie, przenikać do naszego wnętrza i promieniować na zewnątrz. Łacina w liturgii właśnie dzieli moje życie na oddawanie kultu w kościele, w jakimś tajemniczym języku, i na resztę życia, która wiąże się z tym dość słabo. Nie mam obowiązku żyć czymś, czego zupełnie nie pojmuję.

- *Upadek komunizmu i pierwsze lata demokracji ujawniły podziały w polskim Kościele. Sprawa księdza Jankowskiego, sprawa Radia Maryja, sprawa Świtonia i krzyży na Żwirowisku czy – z innej beczki – napięcia między Episkopatem a „Tygodnikiem Powszechnym”, które spowodowały, że nasze pismo nie ma już asystenta kościelnego. Czy Siostry to nie gorszy?*

- Nie gorszy, ale bardzo martwi...

- *E, bo Siostrę trudno zgorszyć...*

- *(śmiech)* To prawda. Ale martwi i boli. Wiele o tym myślę, bo czuję się częścią Kościoła i czuję się – w miejscu, na którym mnie Pan Bóg postawił – za niego odpowiedzialna. Podkreślam: w miejscu, na którym mnie Pan Bóg postawił, a więc nie moją rolą jest pouczanie kogokolwiek. Ale kiedy myślę np. o tej wielomiesięcznej hecy na Żwirowisku, mam wrażenie, że nie był to przypadek. Najzwyczajniej w świecie: jak w soczewce zobaczyliśmy tragiczny stan naszych dusz (nie mówię „tragiczny stan Kościoła”, bo to nie jest prawda). I otrzymaliśmy wezwanie do nawrócenia. Ja w każdym razie odebrałam to jako wezwanie do nawrócenia dla samej siebie. W naszej Wspólnocie kilkoro członków przygotowuje się do złożenia czwartego, dodatkowego ślubu: tzw. ślubu pokoju. Na razie jeszcze nikt go nie złożył, bo dotrzymanie go jest strasznie trudne, ale myślę, że ogromnie potrzebne dzisiejszemu światu. Człowiek, który go składa, ślubuje wobec Kościoła życie według błogosławieństw.

- *A więc „błogosławieni pokój czyniący...”*

- Tak. „Nie będę używał przemocy aż do oddania życia”.

Jeśli chodzi o Kościół w Polsce – jest on u początku wielkiej przemiany. Przypominają mi słowa jednego z francuskich biskupów, które czytałam w „La Croix”: „tak długo modliliśmy się o Kościół ubogi, a teraz, jak go mamy, to płaczemy”. Myślę, że my też idziemy w stronę Kościoła ubogiego. Jest trudno, choćby z powodu zaszłości czasów komunizmu. Boję się, że jeśli nie otworzymy się na inne wspólnoty katolików w świecie, jeśli nie zrozumiemy, że Kościół jest wspólnotą ponadnarodową, a nasz patriotyzm, skądinąd chwalebny, jest jakby rzeczą wtórną, jeśli nie uda się przejść ponad tym symbolem „Polak-katolik”, kryzys się nie skończy. I nigdy nie będzie to „kryzys wzrostu”.

Trzeba się oczywiście liczyć z tym, że będą straty. Są wśród nas tacy, dla których sens Ewangelii jest zamknięty. Są ludzie zranieni przez komunizm, starsi, którzy już się nie zmienią (mówiono o tym przy okazji sprawy Radia Maryja). Pytanie, co stanie się z młodzieżą: zagubioną, do której dominujący w naszym duszpasterstwie język kompletnie nie trafia, a która szuka wspólnoty. W żadnym z kościołów parafialnych, które odwiedzam (miejsce nie wymienię), takiej wspólnoty nie znajdują. A chrześcijaństwo to przecież wspólnota – zgromadzona wokół Chrystusa w Eucharystii.

Wierzę, że Kościół nie może zginąć, ale trzeba się pogodzić z tym, że wielu ludzi z Kościoła odejdzie i może to być oczyszczenie. Wierzę w wielkie oczyszczenie Kościoła, bo myślę, że Duch Święty też czasem ma dość.

- *Czyli na najgłębszym, religijnym poziomie odpowiedź na pytanie o zło w Kościele jest odpowiedzią Matki Teresy: „ja i ty”... Sprawa oświęcimska pokazała jednak, że relacje świeccy-duchowni, o których rozmawialiśmy, rzeczywiście się zmieniły, i to w paradoksalny sposób: oto prymas, biskupi, przestali być autorytetami.*

- Stało się coś bardzo złego, ale może i dobrego. Widać, że świeckim brakuje czegoś, co po łacinie nazywa się *sensus ecclesiae* – wyczucie Kościoła. W duszpasterstwie nie mówiło się dotąd zbyt wiele o naszej współodpowiedzialności za Kościół, a autorytet Kościoła bazował w dużej mierze na postawie hierarchii wobec systemu totalitarnego. Dziś mamy problem z wolnością. I trzeba wiernym tłumaczyć to wyczucie Kościoła. Biskup nie ma nade mną władzy świeckiej, nie może mnie wsadzić do więzienia za niezachowywanie przykazań. I bardzo dobrze, że minęły czasy, gdy mógł. Natomiast jeśli chcę czuć się członkiem Kościoła (a przecież to jest mój wolny wybór – nikt mi nie każe być katoliczką!), muszę respektować jego nauczanie. Ludzie tego nie rozumieją; oczekują, że Kościół zmieni swoje nauczanie. A przecież to absurd. Jeżeli się zapisujemy do jakiejś partii politycznej, podpisujemy się pod jej programem. Jeśli nie chcemy, nie musimy tego robić – to nie jest system totalitarny. Podobnie z Kościołem – jeśli uznajemy się za jego członków, musimy iść drogą, którą nam pokazuje. Bo Kościół to Chrystus.

- *Kościół to Chrystus, zgoda. Ale utożsamienie Kościoła z poszczególnymi biskupami wydaje mi się jednak przesadą.*

- Oczywiście, biskupi w sprawach mniejszej wagi mogą popełniać błędy – ostatecznie są ludźmi. Natomiast jeśli występują jako nauczyciele, mamy obowiązek ich słuchać. Możemy dyskutować, spierać się, ale ostatecznie słowo należy do hierarchii, która ma światło Ducha Świętego.

- *Nawet, gdy podaje nam instrukcje wyborcze?*

- Przecież powiedziałam wyraźnie, że w sprawach mniejszej wagi biskupi mogą się mylić (*śmiech*). Ale jeśli się mylą, to Duch Święty jakoś to naprawi. Natomiast jeśli ja nie posłucham, to dostanę po łapach.

- *Inna wątpliwość, dotycząca jeszcze sprawy Świtonia. Przecież w starym, dobrym Kościele, za otwarte nieposłuszeństwo wobec Episkopatu zostałby ekskomunikowany.*

- Ja myślę, że nie tylko w „starym, dobrym”. Kościół obecny też jest dobry i w nim też jasno powinno być powiedziane, że człowiek, który stanowczo odmawia korekty swojego postępowania po wyraźnym upomnieniu, powinien być ukarany. Nie mówię tu o karaniu za grzechy. Ale jeśli należę do wspólnoty, postępuję źle i kilkakrotnie zwraca mi się na to uwagę, nadal postępuję źle albo nie wykazuję woli poprawy – powinnam być ze wspólnoty wykluczona. Chyba, że mam jakiś defekt psychiczny, który sprawia, że pomimo wielkich wysiłków (które moi bracia i siostry oceniają) nie jestem w stanie się poprawić.

Ja bym nie chciała żyć w Kościele, w którym można powiedzieć publicznie wszystko, w którym wolno, powołując się na Jego imię, obrażać Pana Boga i bliźnich. Co nie znaczy, że Kościół ma być absolutnie bezgrzeszną wspólnotą świętych wybrańców. Kościół jest wspólnotą grzeszników, którzy mają wolę nawrócenia.

- *Mamy w Polsce paradoksalną sytuację. O ile na Zachodzie ruch „My jesteśmy Kościołem” domaga się – nazwijmy to tak – poluzowania pewnych norm: w kwestii np. celibatu, kapłaństwa kobiet...*

- *...homoseksualizmu, eutanazji i paru innych drobnych rzeczy...*

- *...o tyle w Polsce pod tym samym szyldem (Świtoń powiedział w replice na stanowisko biskupów „to my jesteśmy Kościołem”) organizuje się ruch fundamentalistyczny, kontestujący postawę Episkopatu jako zbyt otwartą.*

- Myślę, że inna jest sytuacja społeczeństwa zachodniego i społeczeństwa polskiego. Tak naprawdę jednak skutek jest ten sam.

- *Kryzys Kościoła?*

- Nie nazwałabym tego kryzysem. Nawet jeżeli w Austrii zostałby tylko jeden biskup z tysiącem wiernych: wielkość Kościoła nie mierzy się statystyką, mierzy się świętymi i znakami miłości, jaką ten Kościół na ziemię wprowadza. Pan Jezus mówi to wyraźnie w przypowieści o ziarnku gorczycy. Nie zdroszczę biskupom, którzy z jednej strony muszą troszczyć się o zagubione owce, a z drugiej – nie mogą przecież pozwolić na całkowitą anarchię, bo wtedy zagubimy ten płomień, który Chrystus przyniósł na Ziemię, a Ewangelia przestanie być zacznem, przestanie przyciągać. Proszę zwrócić uwagę, że jeżeli na Zachodzie są powołania, to do wspólnot bardzo wymagających. Dlaczego? Młodzi ludzie chcą wyborów radykalnych, nie chcą letniości, przeciętności. Jeżeli decydują się na pójście za Chrystusem, to do końca.

- *Świat, w którym eutanazja czy aborcja przestaje być problemem, staje się światem strasznym...*

- *...pogańskim. I jest jasne, że Kościół musi być w tym świecie znakiem sprzeciwu.*

- *Ale w jaki sposób? Niektórzy podkładają bomby pod kliniki aborcyjne.*

- To na pewno nie jest metoda. Na zło nie można odpowiadać złem – to już w historii ćwiczyliśmy. Pozostaje, jakkolwiek to brzmi, ewangeliczna droga pokory i miłości; działanie na rzecz ofiar takiej sytuacji. Przykładowo: jeśli walczymy z aborcją, nie wystarczą wielkie plakaty i demonstracje. Trzeba nie

tylko tworzyć domy samotnej matki, ale zapewniać kobietom możliwości dalszego godnego życia. Dom samotnej matki to plaster na ból, ale kiedyś trzeba z niego wyjść. Myślę, że trzeba się z tym – w sposób tragiczny, ale – pogodzić: nie my zbawimy świat. Świat zbawi Chrystus. I im większe i bardziej radykalne świadectwo miłości dajemy, tym więcej ludzi do siebie przyciągniemy. Miłością, nie przymusem. Nawet jeśli uda się wprowadzić wymogi Ewangelii do prawa, to nie zmieni ludzkich serc.

- *W dłuższej perspektywie może działać wychowawczo.*

- Zgoda. Ale właśnie o wychowanie chodzi. Nie można być usatysfakcjonowanym faktem, że zabroniona jest eutanazja. Trzeba jeszcze patrzeć na los starców. Eutanazja jest dla mnie czymś niewyobrażalnym i strasznym, ale nie mogę nie myśleć o losie tych staruszek, które trafiły do nas wykopane przez rodziny. I nie mogę nie myśleć o tym, co robi wówczas parafia. Czy parafia świadczy o nauce Kościoła o świętości życia, dbając o takie staruszki? Wracamy do poczucia odpowiedzialności, do osobistego i wspólnotowego nawrócenia na poziomie rodziny i parafii – dwóch najbardziej podstawowych „komórek” Kościoła. Co z tego, że w każdej parafii jest poradnia? Tragedia naszego katolicyzmu polega na tym, że w dużej mierze jest on katolicyzmem uroczystości i haseł. Taką powierzchowność nabyliśmy zresztą przez życie w systemie totalitarnym. Czasami śmieszy mnie oglądanie kościoła z zewnątrz – ilość haseł jakie się na nim wywiesza, przypomina czasy komunizmu. A przecież dziś już nikt na hasła nie zwraca uwagi.

- *W ciągu pierwszych lat po '89 roku można było odnieść wrażenie, że Kościół spodziewa się nadejścia sekularyzacji i w związku z tym stara się o pewne gwarancje ustawowe, jak np. obowiązek respektowania przez media wartości chrześcijańskich. Zapominając przy tym może o tych, którzy poczuli się zagubieni w ogromie przemian (a których zagospodarowało Radio Maryja...); nie przypominając o obowiązku wzajemnej solidarności, pamięci o ubogich itd. Myślę, że Siostrę diabli musieli wtedy brać.*

- Na pewno bardzo mnie to bolało i boli nadal – choć sytuacja trochę się poprawiła. Kiedy przeczytałam, co biskup Pieronek powiedział w „Tygodniku” (że „to prawda, iż zapomnieliśmy o ubogich”), miałam łzy w oczach. Bo czy ubodzy nam to wybaczą? Boli mnie to, że nasi ubodzy często nie potrafią zobaczyć w Kościele miłosierdzia. Bolą mnie homilie na tematy polityczne, które już naprawdę nikogo nie interesują; boli mnie milczenie na temat problemów, jakie wszyscy przeżywamy na co dzień. Bierze się to, jak sądzę, z oddalenia kapłana od świeckich i z tego, że sami kapłani są zagubieni. Patrząc na młodych ludzi, którzy opuszczają seminarium (nigdy w życiu nie pracowali, no bo kiedy?), przychodzą do parafii, gdzie ich rola ogranicza się do odprawiania Mszy i katechizowania dzieci, oprócz ogromnej uroczystości pierwszej komunii i krótkimi wizytami podczas kolęd właściwie nie mają kontaktu z parafianami. Skąd oni mają wiedzieć, do kogo mówią?

- *Co to właściwie znaczy: Kościół ubogi?*

- Myślę, że dwie rzeczy: ubóstwo materialne i ubóstwo duchowe, większą wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka i większe otwarcie struktur. Kościół zawsze będzie instytucjonalny, ale to nie oznacza,

że powinien się zamykać w jakichś zastałych formach. W Ewangelii znajdzie pan bardzo dużo wypowiedzi Chrystusa poświęconych temu, co dziś nazywamy faryzeizmem. I temu, że najważniejsza jest miłość. Zdarzyło mi się kiedyś odebrać telefon od pewnego proboszcza, do którego przyszedł Murzyn – pytał, czy mogłabym go przenocować. Zapytałam, czy sam nie może tego zrobić, na co odpowiedział: „przecież nie odstąpię mu własnego łóżka”. To bardzo charakterystyczne, bo ów ksiądz nie skojarzył po prostu, że ten Murzyn jest jego bratem. Bo przecież, jakby odwiedził go jego własny brat, to ksiądz nie zadzwoniłby do nas. Wielokrotnie nocowałam u bardzo biednych ludzi, którzy po prostu odstępowali mi łóżko.

- *Proboszcz, który do Siostry zadzwonił, był chyba bardzo sprawnym urzędnikiem. Nie każdy zna tu numer telefonu.*

- „Proboszcz” to coś więcej niż urząd, a parafii nie można traktować jak biura ze sztywnymi godzinami urzędowania. Nieraz załatwiając coś w kurii miałam poczucie, że jestem traktowana jako petent i więcej życzliwości doznawałam w urzędach państwowych. Wielu ludzi, nie tylko Kościoła, bo dotyczy to także urzędników, zamyka się w strukturze własnej funkcji. To jest wygodne, ale ogranicza: zarówno lekarza, nauczyciela, jak i – przede wszystkim – księdza.

Nie dociera do nas też to, jak wiele tracimy – my, Kościół – nie decydując się na radykalne ubóstwo. To nie oznacza, że proboszcz ma się nie troszczyć o powierzoną mu świątynię i doprowadzić do tego, żeby się rozsypała. Ale zdobywane na remont pieniądze nie mogą dla niego celem. Środkami bogatymi nie zdobędziemy ludzkich dusz. Wczoraj sobie pomyślałam, siedząc z moimi paniami w Brwinowie: jeżeli nie zrezygnujemy z wielu przywilejów, jakie jeszcze posiadamy w polskim społeczeństwie, jeżeli nie pójdziemy na całość, to po prostu stracimy ludzi. Trudno to zrozumieć, bo wiąże się z tym wielkie ryzyko. Niejednemu księdzu wydaje się, że jeżeli będzie miał dużo więcej pieniędzy, będzie mógł zrobić dużo więcej. A to nieprawda.

- *Dobra ilustracja, to historia Marii i Marty: jedna troszczy się o to, jak podjąć Pana Jezusa, druga po prostu go słucha. I to ona ma rację.*

- Dokładnie. Myślę, że to zupełnie zasadnicza sprawa. W wielu rozmowach, jakie odbywam nie tylko z moimi mieszkańcami, wraca jedna kwestia: ludzie nie przyjdą do Kościoła, jeżeli nie będzie w nim prawdy, jeżeli uczniowie Chrystusa nie będą rzeczywiście Jego naśladowcami. Pan Jezus nie posiadał ani atrybutów władzy, ani żadnych środków materialnych.

- *Znam biskupa, który nieraz kilka razy w tygodniu pokonuje trasę Toruń-Warszawa, nie mówiąc już o wizytacjach itp. Ma bardzo dobry samochód i myślę, że to dobrze.*

- My też właśnie kupujemy auto, bo z okazji dwudziestolecia pontyfikatu prezydent Świąćicki postanowił zamiast jakiegoś prezentu dla Papieża, przekazać miliard starych zł na organizację, która zajmuje się matkami z dziećmi. Lepiej mieć nowy samochód niż tracić mnóstwo czasu i pieniędzy na ciągłe naprawianie starego. Samochód jako taki, jeżeli rzeczywiście, z czystym sercem jest traktowany jako narzędzie

dzie i ma parametry rzeczywiście odpowiadający naszym potrzebom, nie jest niczym złym. Nie nawołuję do tego, żeby proboszcz jeździł trabantem. Nawołuję do tego, żeby w razie nagłej potrzeby wsiadł w samochód i zawiózł chorą parafiankę do szpitala.

- *Jak tłumaczyć fenomen Radia Maryja? Fenomen wspólnoty wokół modlitwy czy wokół radykalnych poglądów politycznych? Siostra twierdzi, że polityka już nikogo nie interesuje...*

- Ja myślę, że Radio Maryja to stracony geniusz. Bo ci, którzy dzwonią do „Rozmów niedokończonych” i mówią złe rzeczy o innych, są autentyczni – pełni nienawiści, agresji i lęku. Czyli Radio dotarło do prawdziwych problemów milionów Polaków. Ale gdybym ja odbierała takie telefony, to miałabym doskonały materiał do katechezy. „Kochani, popatrzcie, jak rzeczywistość jest skomplikowana. Z jednej strony w świecie żyje wielu wspaniałych ludzi, zwykle zresztą szarych i nieznanymi: emerytek, ojców i matek. Z drugiej, jest także rzeczywistość straszna. Ale my, radio katolickie, spróbujemy coś z tym zrobić. To jest dla nas wyzwanie. Jeśli coś złego dzieje się w naszym domu, trzeba się zastanowić, dlaczego tak się dzieje, czego nam brakuje”. Myślę, że to zostało stracone.

- *A ja myślę, że to właśnie odwołując się do tego typu rozumowania wokół Radia Maryja powstają inicjatywy polityczne. „Coś złego dzieje się w naszym domu i spróbujemy coś z tym zrobić”.*

- Ale tego nie zrobi partia polityczna. To może zrobić radio, to może zrobić ksiądz na ambonie. Wyobraźmy sobie księdza, który mówi na kazaniu: słuchałem wczoraj Radia Maryja. Zadzwoił do niego człowiek, który wypowiadał się tonem pełnym agresji i nienawiści. Zastanówmy się tu, w naszej wspólnocie, czy była to wypowiedź chrześcijańska. I czy w nas również nie ma takich myśli.

Nie możemy negować tego, że w wielu katolikach jest wielkie pomieszanie pojęć. Ale politycy tego nie rozwiążą. Politycy nie są od nawracania, tylko od zdobywania władzy. A jak zdobędą władzę, to za nią idą pieniądze, które demoralizują – możemy to sobie pooglądać na polskiej scenie politycznej, i to nie tylko w wydaniu dawnych komunistów. Kościół nie może być partią polityczną, a za swoje mieszanie się do polityki – kiedykolwiek w swoich dziejach – zawsze płacił ogromną cenę. Kościół musi być świadkiem miłości Chrystusa do ludzi, do ubogich, do potrzebujących, do dzieci. I myślę, że świadkowie tej postawy są w polskim Kościele. Dlaczego o nich nie mówić w Radiu Maryja? O tym, co dobre? Z tym wiąże się coś być może jeszcze gorszego. Radio Maryja nieraz podejmowało próby „zmonopolizowania dobra”, atakując ludzi, którzy robili coś sensownego, ale nie pod szyldem Kościoła...

- *Przypominają się ataki na Owsiana...*

- ...i troszcząc się o zwartość własnych szeregów. Taki manichejski podział, to ciągle „my” i „oni”. Ja wielokrotnie obrywałam za kontakty z ludźmi, którzy skądinąd nie deklarują się jako gorliwi katolicy, choć być może żyją wartościami ewangelicznymi bardziej niż ja.

- *Chodzi Siostrze o Jacka Kuronia?*

- Nie tylko. Także o to, że gdy trzeba załatwić sprawy ludzi bezdomnych, to ja rozmawiam ze wszystkimi, nawet z urzędnikami należącymi do SLD. Niektórzy wspaniale starają się zrobić to, co leży w granicach ich możliwości.

- *Tamara opowiadała mi kiedyś o pani, która trafiła do was po słuchaniu Radia Maryja.*

- To było straszne, bo pani zachowywała się jak klasyczna ofiara sekty. Została bezdomną, chorą z nie-nawiści i podejrzeń, dostała zaburzeń psychicznych po słuchaniu radia!

Widzi pan, ja obserwuję od lat, wśród ludzi, którzy mają do czynienia z ludzkimi ułomnościami, pewną charakterystyczną postawę. U św. Jana czytam o trzech rzeczach, które nam zagrażają: pożądliwość ciała, pożądliwość świata i pycha żywota. W każdym z nas jest pokusa władzy, a co za tym idzie – manipulacji. To jest bardzo śliska rzecz. Jeśli nie jesteśmy mocno związani z Chrystusem, jeśli nie żyjemy dla Chrystusa, a naszej pracy nie traktujemy jako służby, to czy jesteśmy biskupem, czy ojcem dyrektorem, czy siostrą Małgorzatą, wślizgnie się w nas ta pokusa. A tymczasem my nie jesteśmy właścicielami dusz, ale sługami. Na skalę naszą, wspólnotową jest to równie ważne, jak wszędzie indziej – w Kościele, rodzinie, pracy... Nie jesteśmy właścicielami naszych dzieci, naszych podwładnych. A więc wezwanie, żeby Kościół był Kościołem służby jest skierowane także do tych na górze, którzy dają przykład: hierarchów, kapłanów, zakonników i zakonnice, bardziej zaangażowanych świeckich, mediów katolickich, ruchów... Żeby wierni mieli świadomość tego, że na biskupie ciąży ogromna odpowiedzialność, którą bardzo często dźwiga w samotności.

- *Biedny biskup, oddzielony jeszcze od ludzi wspaniałym budynkiem kurii, nie mówiąc już o purpurach... Ale jeżeli je odrzuci, to też może zgorszyć.*

- Ja myślę, że nie zgorszy. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób to zrobi. W pierwszych wiekach Kościoła biskup to był ojciec – z ogromnym autorytetem moralnym. Papież Leon któryś obronił mieszkańców Rzymu przed barbarzyńcami tylko swoim autorytetem, bez broni!

- *W redakcji „Tygodnika” pracuje Pani Janeczka, starsza pani, którą zawsze irytują księża pojawiający się u nas bez koloratki...*

- To, że żyję wśród ludzi nie oznacza, że nie muszę zaznaczyć, że jestem księdzem czy siostrą zakonną. Ja miałam wybór: nosić habit czy nie. Było to w latach, kiedy zakonnicom „na habit” ustępowano jeszcze miejsce w tramwaju, ale czułam, że za parę lat to się zmieni i że mój habit będzie z n a k i e m. I tak jest. Sutanna jest strojem niewygodnym i niepraktycznym, ale koloratka jest znakiem. Więc zgadzam się, że księża nie powinni jej zdejmować. Poza wszystkim innym, ich samych to dyscyplinuje (co nie oznacza, że chroni przed pokusami; to, niestety, nie działa automatycznie). Nie mówię oczywiście, że mają ją nosić zawsze: jak ksiądz idzie na plażę, to niech idzie w slipach, nie w koloratce. Ale nigdy nie powinien zapominać, że jest księdzem, bo jego zachowanie, jego stosunek do ludzi jest ogromnym świadectwem. Ksiądz czy zakonnica, a właściwie chrześcijanin w ogóle – to jest całość, od tego nie ma przerwy.

- *A propos stroju: czy pamięta Siostra pierwszy moment, w którym założyła habit?*

- To było u małych sióstr w Tre Fontane: na bardzo krótko do fotografii. Nawet w Rzymie nie chodziłyśmy w habitach: przychodziło tam dużo ludzi, a nie mogło się wydać, że obecne na miejscu Polki też są zakonnicami. Nas to zresztą bardzo bolało, ale trudno –wtedy, „za komuny”, małe siostry w Polsce były właściwie zgromadzeniem tajnym.

A potem założyłam habit już we Wspólnocie Chleb Życia. Komuś we Francji przypomniało się, że właściwie przyszedł czas, żebym go włożyła, bo minął już czas mojego postulatu. Więc pospiesznie ściągnięto habit z siostry Klary, która była mniej więcej mojej postury i zrobiono uroczystość.

- *Czy to był jakiś szczególny moment?*

- Że teraz właśnie dzieje się „Coś”? Nie, bo to „Coś” zdarzyło się już dużo wcześniej. Szkoda mi tylko kolorowych koszul flanelowych, które uwielbiałam nosić: takie mięciutkie, luźne, świetnie się w nich czułam...

- *No ale tak nie ma Siostra kłopotu, co włożyć na siebie jutro.*

- Dokładnie. *(śmiech)*

- *Pytam o ten habit, bo też mam takie wrażenie, że jego noszenie może do czegoś zobowiązywać: w końcu w ten sposób reprezentuje Siostra instytucję.*

- Nie mam takiego poczucia.

- *Kiedy byłem licealistą, ojciec założył przez pomyłkę moją kurtkę z tarczą szkolną. Opowiada, że gdy się zorientował, natychmiast wyrzucił papierosa. Dodam, że miał już siwą brodę...*

- *(śmiech)* A ja czuję się wolna. „Dudi, bądź sobą”. Przecież nawet bez habitu starałabym się nie gorszyć innych.

- *Mój przyjaciel ksiądz uważa np., że jemu nie wypada płacić mandatu, więc zwalnia do dziewięćdziesięciu.*

- Jeśli jadę dziewięćdziesiąt, to ze względu na bezpieczeństwo. A jeśli złamię przepisy, to dlaczego miałabym nie płacić mandatu?

- *Inny przykład: jesteśmy na szpitalnym korytarzu, rozmawia Siostra przez komórkę na temat kłopotów w jednym z domów: „a, co się będziesz przejmowała, wypierdol pułkownika”.*

- Tak powiedziałam publicznie?

- No.

- Musiało się wymknąć. Nie powinnam. Ale znowu nie dlatego, że jestem zakonnicą – po prostu nie wypada publicznie odzywać się po chamsku.

- *A jak to jest ze ślubem posłuszeństwa? Czy kiedykolwiek miała Siostra z tym kłopoty?*

- Moim zdaniem nie. Mam głębokie przekonanie, że posłuszeństwo w gruncie rzeczy nas uwalnia. Żałuję, że tu w Polsce nie mam nad sobą bezpośredniego przełożonego. Moje posłuszeństwo musi być w tej sytuacji przede wszystkim posłuszeństwem regule, w której podjęłam się żyć. Ale też posłuszeństwem

Wspólnocie, moim braciom i siostram, bo posłuszeństwo nie ogranicza się tylko do słuchania przełożonych. Są chwile, kiedy mi się wydaje, że moglibyśmy iść dalej i szybciej, a ktoś nie nadąza: przecież ja muszę poczekać, aż on nas dogoni. Nie mogę robić tego, co mi się żywnie podoba. Jestem związana, nie mogę wyjechać kiedy chcę, nie mogę rzucić wszystkiego...

- *To jest odpowiedzialność.*

- Ale to również jest w jakimś sensie posłuszeństwo: to, że mówię dokąd jadę, że się pytam o zgodę, kiedy robię większe zakupy. Ale przecież kiedy miałam złamaną nogę i pomimo to kazali mi przyjechać do Francji, ponieważ dawno mnie nie widzieli – wsiadłam i pojechałam, mimo iż wydawało mi się to bez sensu.

Posłuszeństwo jest dialogiem. Są oczywiście chwile, kiedy mówię, że jest tak i tak i nie ma dyskusji, ale kiedy chciałam, żeby nasz przełożony, Pascal przyjechał do Polski, bo odczuwałam potrzebę dłuższej rozmowy na temat tego, co robimy – przyjechał, wysłuchał mnie, obejrzał wszystko, potem powiedział, jak on to widzi, a wreszcie wydał parę konkretnych dyspozycji, które realizuję.

- *A gdyby ktoś kazał Siostrze zamknąć domy dla bezdomnych? Nie mówię, że przełożony Wspólnoty, ale np. biskup.*

- To najpierw bym negocjowała. Zawsze mam prawo zapytać o powody i przełożony ma obowiązek wyjaśnienia swej decyzji – tak mówi prawo kanoniczne (oczywiście, na ile to jest możliwe, bo jeśli rzecz dotyczy osób trzecich, jest jeszcze kwestia dyskrecji: przełożony może mi powiedzieć „proszę usunąć ze wspólnoty tego i tego”, ja zapytam „dlaczego?”, a on powie „taka jest moja decyzja, wiem o rzeczach, o których nie mogę powiedzieć”, ja wtedy nie będę się dopytywać, bo mam obowiązek posłuchać). Więc gdyby – powiedzmy – Ksiądz Prymas kazałby zamknąć domy, poprosiłabym o audiencję, zapytałabym „dlaczego?”, uznałabym jego racje lub nie, gdybym nie uznała, wyłożyłabym swoje i poprosiłabym o zmianę decyzji.

- *A gdyby podtrzymał decyzję?*

- To bym posłuchała. Zamknęłabym domy. A odpowiedzialność spadłaby na jego sumienie.

- *Dzięki Bogu, nie ma o tym mowy.*

- Dzięki Bogu. I muszę powiedzieć, że ze strony Księdza Prymasa doświadczamy wiele życzliwości. Był natomiast taki moment, kiedy to Pascal się bardzo mocno zastanawiał, czy nie wziąć mnie do Francji na swoją sekretarkę. Wy tłumaczyłam mu, że są dwa powody, dla których nie będzie miał ze mnie pożytku. Po pierwsze – nie umiem pisać po francusku. Po drugie: Artur. Pascal ustąpił, ale były takie przypadki, że dzwonił do któregoś z braci i mówił, że za dwa dni ma być na lotnisku z biletem do Grecji, gdzie obejmie schronisko.

- *Czytałem teraz książkę rozmów z pewną zakonnicej, która opowiada, że kilka razy złamała ślub posłuszeństwa. Dwa razy odwoływała się do klazuli sumienia, za trzecim razem swoje nieposłuszeństwo odpokutowała.*

- Bo nieposłuszeństwo ma to do siebie, że się za nie odpokutowuje. Dlatego jestem taka uważna. Drobnym przykładem: zabroniłam jednej z siostr jeżdżenia pewną ruchliwą trasą do Warszawy – nie posłuchała i rozbiła samochód. Przełożony, o ile nie jest świrem, nie będzie natomiast mówił, jak gotować zupę. Jego rolą jest pomóc wytrwać w wierności temu, czegośmy się podjęli. Musi podejmować decyzje tak, żeby całość funkcjonowała i żebyśmy zachowali jedność – bo przełożony jest też gwarantem jedności i nadmiar jego własnej woli może tę jedność popsuć. Ale mieliśmy też pokusy (wracamy do naszego ulubionego tematu) umieszczenia numeru konta w gazecie, czego nasza reguła zabrania. Jako przełożona powiedziałam „nie”, bo wiedziałam dobrze, że gdybyśmy to zrobili, Pan Bóg obciąłby nam kasę.

CZEŚĆ TRZECIA: MIŁOŚĆ

- *Słyszałam, że poczęła się Siostra w mundurze...*

- Mój ojciec, jako bardzo młody człowiek był w AK. Rocznik 22, stuprocentowy Kolumb, zresztą podobnie jak matka. Jako maturzysta brał udział w kampanii wrześniowej, a potem oboje z mamą byli w powstaniu warszawskim (wtedy jeszcze się nie znali, poznali się przypadkiem w Poznaniu, już po wojnie). Mama została ciężko ranna w powstaniu, była na Woli w batalionie „Czata” i odgrzebana z gruzów leżała w szpitalu na Długiej, w kościele dominikanów. Tam znalazł ją kapelan ich oddziału i później kanałami przeniesiono ją na Mokotów. Po klęsce trafiła do obozu w Pruszkowie, później chyba znalazła się w transporcie do Oświęcimia i z tego transportu uciekła. Rodziców mamy – a właściwie babcię i jej drugiego męża, bo mój rodzony dziadek zginął w 1920 r. (a pradziadek brał udział w powstaniu styczniowym – takie mam niepodległościowe korzenie...) – wysiedlono z Warszawy. Najpierw trafili do Makowa Podhalańskiego, a potem przenieśli się do Poznania, gdzie mieli krewnych.

Ojciec mój z kolei po powstaniu trafił do oflagu w Klagenfurcie, skąd uciekł i przedarł się do titowskiej partyzantki (było najbliżej). Złapano go jednak ponownie i miano rozstrzelać. Uratowały go urodziny Hitlera i znajomość muzyki: esesman, który miał decydować o losach złapanych partyzantów, kiedy przyprowadzono jeńców, grał Szopena. Ojciec rozpoznał utwór i esesman, zamiast kazać ich rozstrzelać, wysłał cały transport do Dachau. A stamtąd ojciec wyszedł chory na tyfus, ale... żywy. Historia jak z filmu, choć niewiele więcej potrafię powiedzieć, bo ojciec bardzo niechętnie opowiadał.

- *Jak Siostra sądzi, czemu?*

- Pierwszego człowieka zabił, jak miał lat 17. Na pewno nie były to przyjemne wspomnienia.

Ale wróćmy do munduru. Ponieważ jeszcze w czasie okupacji ojciec studiował medycynę w szkole Zaorskiego, postanowił wznowić studia medyczne w Poznaniu. Kiedy już je kończył, cały jego rocznik powołano do wojska. Ja urodziłam się jeszcze w Poznaniu, ale potem mieszkaliśmy w okolicach Grupy i

w Toruniu, gdzie ojciec był lekarzem w jednostce artylerii. Tam właśnie, też w mundurze, począł się mój młodszy brat – w Toruniu wiodło się nam bardzo kiepsko, mama dorabiała sobie w wojskowym kasynie, więc oboje chodzili umundurowani (*śmiech*).

Dzieciństwo spędzałam więc, podobnie jak moi bracia, w objęciach Ludowego Wojska Polskiego. W Toruniu mieszkaliśmy w jakimś wspaniałym poniemieckim mieszkaniu, po drugiej stronie Wisły, niedaleko rzeki i właściwie w lesie. Chowaliśmy się jak na wsi. Pod oknami jeździła kolejka wąskotorowa, a my bawiliśmy się zupełnie swobodnie i dość bezkarnie: jako dzieci oficera mogliśmy nawet robić psoty żołnierzom. Nikt nie miał czasu się nami zajmować, więc było fantastycznie.

Dopiero w 1956 r. ojcu udało się wrócić do Warszawy – nadal był tylko kapitanem, bo nie był partyjny. Pamiętam radość mojej matki, kiedy zadzwonił, że uzyskał przeniesienie. A potem nadeszła odwilż i pozwolono mu odejść z wojska. Bo powołano go bezterminowo, wieść rodzinna głosi, że pisał nawet do Rokossowskiego z prośbą o zwolnienie, ale odpowiadano mu, że jeżeli złoży taką propozycję ponownie, to pójdzie na dwa lata siedzieć, a potem wróci do wojska. Jak odszedł, długo nie mógł znaleźć pracy: ciągnęła się za nim opinia „politycznie podejrzanego”. O zatrudnieniu w Warszawie mowy nie było, więc do końca czynnego życia zawodowego dojeżdżał do Szymanowa i Teresina, tam, gdzie są franciszkanie. U franciszkanów zresztą sobie dorabiał wizytami, bo z pensji lekarza w wiejskim ośrodku zdrowia nie był w stanie nas utrzymać.

- *Czyli najwcześniejsze wspomnienia Siostry to Toruń?*

- I Grupa. Jedno jest zresztą dosyć ponure. Nie wiem, ile miałam wtedy lat, w każdym razie na poligony wówczas wozilo się całe rodziny – jakaś stalinowska paranoja. Jechaliśmy w kabinie ciężarówki przez las, była zima, padał śnieg i nic nie było widać. Pamiętam, że nasza ciężarówka rozgniotła żołnierza kierującego ruchem...

- *A inne wspomnienia?*

- Rodzice słuchali Radia Wolna Europa, co jak na ówczesne wojsko było dosyć ryzykowne. Przyjaciel ojca chciał mu zrobić dowcip i skradał się po cichu pod oknem. Ojciec pomyślał, że ktoś go nakrył i chwycił za pistolet. Pamiętam, że tamten krzyknął: „Andrzej, nie wygłupiaj się”.

Pamiętam, że naszym ulubionym daniem był chleb z margaryną, posypywany cukrem. Pamiętam też, że w Toruniu wieźliśmy mojego młodszego brata na sankach do chrztu i on z tych sanek wypadł: do dziś widzę to małe zawiniątko... Na samochód oczywiście nie było nas stać, potem dopiero ojciec kupił starego, poniemieckiego adlera, który nie miał hamulców, jeździł dwadzieścia na godzinę, a hamowało się w nim wystawianą na zewnątrz nogą.

- *Nie są to wspomnienia sielankowego dzieciństwa...*

- A jednak byliśmy bardzo szczęśliwi. Goniliśmy się po lesie, chodziliśmy po mleko do jakiejś staruszki, mieszkającej w starej chacie... Kłopoty zaczęły się dopiero w Warszawie. Mama dorabiała całymi nocami szyjąc swetry na maszynie, którą dostała od ciotki z Anglii, zresztą dzięki paczkom od tej ciotki

myśmy w ogóle mieli się w co ubrać. Płaszcz mama kupowała nam na raty, niejedną zimę przechodziliśmy w gumowych kaloszach, a dopiero zupełnie niedawno wyrzuciliśmy letnią wiatrówkę, którą brat nosił nawet w zimie, wkładając pod nią kilka swetrów. Całe dzieciństwo marzyłam o hulajnodze, ale rodziców nigdy nie było na nią stać.

Mama zawsze dbała natomiast – i cudów dokonywała, żeby tego dopiąć – żebyśmy wyjeżdżali na wakacje. Wynajmowała jakieś chałupy, chodziła z nami w góry i uczyła nas łązić po płocie – była bardzo swobodna w kontakcie z dziećmi. Potem zresztą zaczęła pracować jako nauczycielka i musieliśmy przejąć odpowiedzialność za dom – już w pierwszych latach szkoły podstawowej. Ojca nie było, a mama nie stawiała nam wielkich barier, więc całymi dniami bawiliśmy się z dziećmi z podwórka, wracając tylko na obiady, które mama nocą podgotowywała. Kłóciliśmy się z braćmi potwornie, ale kiedy było jakieś zagrożenie stawaliśmy murem: wszyscy wiedzieli, że klanowi Chmielewskich nikt nie podskoczy.

- *A świat religijności małego dziecka? Mała św. Teresa w swoich rękopisach wspomina, że... życzyła swojej mamie śmierci, a skarcona odpowiadała: „Chcę przecież, byś poszła do Nieba, a mówisz, że trzeba umrzeć, aby tam pójść”.*

- W domu nie wychowywano nas religijnie. Tradycyjnie obchodzono święta, mama bardzo o to dbała, natomiast poza tym nie było nic. Rodzice w głębi duszy nienawidzili komunizmu, nie ukrywali tego przed nami i uczyli nas prawdziwej historii. Wiadomo było, że nie możemy się tym chwalić w szkole, ale nie zawsze się udawało. Doprowadzałam do szału nauczycielkę historii, może nawet mam teraz wyrzuty sumienia, bo moje wypowiedzi nie wynikały z umiłowania prawdy, tylko z tego, że usiłowałam zająć jej czas, żeby nie przepytowała moich kolegów. Poruszałam więc tematy, których poruszać nie należało, a ona biedna dzwoniła do mamy, żeby mnie wreszcie uspokoiła. W szkole nie było tak źle – mieliśmy starych, przedwojennych nauczycieli, którzy nie zajmowali się polityką, ale uczeniem.

Ta „antykomunistyczna formacja” nie przekładała się jednak na wychowanie religijne. Swoją pierwszą komunię pamiętam całkowicie zewnątrznie, nie dostałam żadnych drogich prezentów, byłam w pożyczonej sukience i zaraz po uroczystości przebrałam się w coś normalnego, żeby pobawić się w piaskownicy. Mama posyłała nas wprawdzie na religię, ale natychmiast wywołałam kilka konfliktów na katechezie – zadawałam dociekliwe pytania, więc pewnego pięknego dnia ksiądz po prostu wyrzucił mnie za drzwi. Jakim cudem poszłam do bierzmowania, nie wiem.

Miałam jednak ogromne szczęście. Pewnego dnia mama, która robiła to od czasu do czasu, wysłała nas do kościoła. Poszliśmy do św. Jakuba na Placu Narutowicza (ileż to ja mogłam mieć wtedy lat?). Pamiętam, że zawsze wchodziliśmy po schodach do takiej kaplicy, z której bardzo dobrze widać głowy ludzi. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy wiedzieli, o co chodzi, ale Mszę zwykle odstawaliśmy jak trzeba. Aż do tamtego dnia, gdy podczas kazania zaczęliśmy się bawić za ołtarzem, w absydzie. Tam złapał nas za fraki ksiądz, który akurat przechodził. Widząc, co się dzieje, po prostu zabrał nas do siebie. Był to

ksiądz Gniewniak, słynny na całą Ochotę, wokół którego gromadziły się setki młodych ludzi – przede wszystkim studentów, bo na terenie tej parafii są domy akademickie, ale także dzieci ulicy.

To był początek naszej przyjaźni, który zaowocował tym, że przez wiele lat jeździliśmy na spływy kajakowe, które organizował – nielegalnie oczywiście. Mieliśmy mnóstwo przyjaciół, chodziliśmy na spotkania, a nawet... dyskoteki u ks. Gniewniaka. Był, przepraszam: jest – bo żyje do dzisiaj w Otwocku – doskonałym duszpasterzem, bardzo kochanym przez młodzież.

- *Jak on was zdobył?*

- Po prostu zamiast solidnie ochrzanić, zaprosił nas do siebie. „Do siebie” znaczyło malutkie, dwupokojowe mieszkanko koło kościoła, w którym, gdy weszliśmy, już kłębiło się mnóstwo dzieci, akwaria były pod sufit, a z aparatu filmowego na wąską taśmę leciała jakaś kreskówka. Było wesoło, a jak było wesoło, to dlaczego nie przychodzić? I w ten sposób ksiądz Gniewniak chronił nas przed wszystkim, co złe, zajmując nam czas, proponując mnóstwo rzeczy, poznając nas z innymi – przyjaciół „od księdza Gniewniaka” mam do dzisiaj.

- *U nas w Krakowie podobnym typem kapłana jest ks. Mieszek Turek od św. Anny, do którego „ściekali” wszyscy wyrzuceni z innych lekcji religii. Nie miał wprawdzie akwariów, ale grał na skrzypcach, nie sprawdzał obecności, no i bardzo lubił młodzież...*

- Może nie wynosiliśmy z tego bardzo głębokiej wiedzy religijnej, ale na to przyszedł czas później. Na razie mieliśmy jakieś środowisko, które uczyło nas pewnych postaw wobec świata. Te spływy kajakowe młodzież organizowała sama – od namiotów, przez jedzenie, dbanie o młodszych (starszy z młodszym, jako partnerem w kajaku), wielka szkoła wspólnego życia.

- *Wróćmy do tego pytania o religijność dziecka. Nie chodziło mi o jakieś inicjacje formalne; sam pamiętam swoją pierwszą komunię głównie dlatego, że kolega był ciekaw świata i wyjął Hostię z buzi, ksiądz zatrzymał uroczystość i go ochrzanił... Ale jako mały chłopiec zadawałem sobie jakieś pytania, miałem wątpliwości, byłem ciekaw...*

- Szczerze mówiąc, dla mnie sfera religijna długo nie istniała. To, co miałam w sobie – co pozostało we wspomnieniach – to uwielbienie samotności. Mieszkaliśmy już w Warszawie, dosłownie kilkaset metrów za naszym domem kończyło się miasto (teraz, rzecz jasna, wszędzie stoją bloki) i zaczynały się pola. Więc całe dni spędzałam na wędrówkach z ukochanym psem. Docierałam do Włoch i jeszcze dalej – do Ursusa. Byłam zupełnie mała, ale jakoś instynktownie nienawidziłam miasta. Pewnie dlatego wymyśliłam, że pójdę do liceum sióstr niepokalanek, do Szymanowa, gdzie dojeżdżał mój ojciec jako lekarz. Zapałam się i wbrew rodzicom postawiłam na swoim. Ten eksperyment nie skończył się chwalebnie.

- *To znaczy?*

- Byłam tam rok i wróciłam do Warszawy na własne życzenie. Ale myślę, że gdybym nie wróciła, to by mnie „wrócono”: siostry wytrzymywały moje wybryki z zaciśniętymi zębami, bo tata je leczył, ale nie wiem, czy mogło to trwać dłużej niż rok.

W ósmej klasie (wtedy to było już liceum) skompromitowałam się na lekcji religii: kiedy ratując sytuację moja ukochana do dziś siostra Michalina zapytała mnie o coś podstawowego – „to powiedz, dziecko, dziesięć przykazań” – dziecko nie potrafiło powiedzieć... (*śmiech*) Na takim poziomie była wówczas moja wiedza religijna. To tam zetknęłam się z regularną, niedzielą Mszą św.: pamiętam, jak nietoperz wpadł do kaplicy i co się wtedy działo, pamiętam również, jak w czasie Mszy wypadły mi spod mundurka jabłka, które nielegalnie zebrałam w ogrodzie... Ale wtedy dopiero zaczęłam zadawać sobie jakieś pytania, bo chyba wtedy zaczęłam dojrzewać.

- *Pytania?*

- Egzystencjalne, przede wszystkim o cierpienie i jego sens. Jakoś tak było, że i ja, i mój starszy brat, staraliśmy się wtedy pomagać słabszym. Mieliliśmy takiego dziadka, którym się opiekowaliśmy – mieszkał niedaleko, chodził potwornie zawszony, a myśmy go czyścili, karmili... Byliśmy także w harcerstwie, które było wprawdzie czerwone, ale naszymi instruktorami byli przedwojenni jeszcze harcerze. Zanim zaczęliśmy jeździć na spływy ks. Gniewniaka, jeździliśmy na obozy, podczas których wpajano nam etos pomagania, szlachetności, uczciwości, obowiązku dzielenia się, koleżeńskości; wszystko to zupełnie nie podlane jakimś komunistycznym sosem.

Więc te „odwieczne pytania” zaczęłam zadawać sobie dopiero w Szymanowie – spędzając długie godziny na gałęziach drzew (raz wlałam tak wysoko, że siostra Michalina o mało nie zemdląła z przerażenia). Jeśli Pan Bóg jest wszechmocny, to dlaczego nie może pewnych rzeczy? Jeśli Pan Bóg jest wszechwiedzący i wie, co zrobię za chwilę, to jak się to ma do mojej wolnej woli? – myślałam w przerwie między łacińskimi słówkami, bo byłam w klasie łacińskiej. Kiedy zaś przeniosłam się do szkoły w Warszawie, nota bene najbardziej czerwonej w mieście, ale za to najbliższej domu, to mój kontakt z Kościołem ograniczył się do sporadycznych kontaktów ze środowiskiem od ks. Gniewniaka: chodziliśmy na Mszę młodzieżową o dziewiątej, potem leciało się na pączki do Poniewskiego i na spotkanie. Ale wtedy, choć zadawałam pytania, szukałam sensu życia, ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy, to szukać odpowiedzi w Kościele. Aż do pierwszych lat studiów była to dla mnie instytucja zupełnie obca i niezrozumiała. A do jakiego stopnia niezrozumiała? Kiedy byłam w Drohiczyńcu, już po studiach i po „nawróceniu na wiarę katolicką”, chodziłam codziennie do kościoła. Któregoś dnia natrafiłam na kleryków, odmawiających różaniec. I pomyślałam sobie: „czy oni zwariowali? Przecież mówią w kółko to samo”.

- *Z wszystkiego, co Siostra mówi, wynika, że nigdy nie była Siostra grzeczną dziewczynką...*

- Rzeczywiście nie. Temperament plus wyobraźnia i chęć urozmaicenia sobie życia.

- *W jaki sposób?*

- Np. zamykając panią w kiosku Ruchu. Najbardziej rozwinęłam się w Szymanowie, gdzie możliwości były fantastyczne i miałam parę równie dobrych koleżanek. Kiedyś w niedzielę, siostry miały wcześniej rano Mszę, a my mogłyśmy spać trochę dłużej. Pamiętam, że ósma klasa mieszkała w dawnej sali balowej (szkoła mieści się w pałacu) na pierwszym piętrze. Pod spodem był korytarz i kaplica, z naszej sali było wyjście na taras, a kolumny wspierające ten taras spadały prosto na wyjście z kaplicy. Siostry nas zamknęły, żebyśmy siedziały cicho i nie przeszkadzały im w modlitwie, a nam się chciało siusiu. Trzeba było sobie jakoś poradzić, więc zjechałam w dół po kolumnie. Oczywiście natychmiast mnie zauważono – awantura była fantastyczna.

Opowiem jeszcze jedną historię, może się siostry w ten sposób dowiedzą, kto im na strychu (gdzie miałyśmy najsurowszy zakaz wstępu) zawiązał nogawki od majtek. Siostry suszyły tam bieliznę, a wjeżdżało się taką windą, którą wciągało się sznurami – jedna musiała ciągnąć, druga jechała. Było to jakoś na początku Soboru, w każdym razie przed reformami w Kościele, i siostry miały majtki o długich nogawkach. Wisiały równiutko, jak to w klasztorze, więc włożyłam mnóstwo pracy, żeby je wszystkie ze sobą powiązać (*śmiech*). Oczywiście następnego dnia było wielkie zebranie, siostra dyrektor (skądinąd wspomniała kobieta) usiłowała wzruszyć nas i nasze sumienia, żeby sprawca się przyznał, ale ze wstydem przyznam, że nie zdobyłam się na to. Wszystkie zresztą dusiłyśmy się ze śmiechu.

- *Musiało to być wspaniałe przemówienie... Zastanawiam się, jakiego słowa mogła użyć siostra dyrektor, by opisać przedmiot, na którym dokonano przestępstwa... (śmiech)*

- Chyba nie wdawała się w szczegóły. Muszę zresztą przyznać, że aby utrzymać w ryzach takie pannice, trzeba być naprawdę kimś. Siostry miały więc duże poczucie humoru i naprawdę anielską cierpliwość. Siostra Marta, która uczyła mnie matematyki i fizyki (była wtedy początkującą nauczycielką), powiedziała mi wiele lat później, że przed każdą lekcją fizyki miała nieprzespane noce i zastanawiała się, jakie to pytanie może zadać Małgosia Chmielewska, na które ona nie będzie potrafiła odpowiedzieć. A Małgosia Chmielewska rzeczywiście była potwornie dociekliwa...

- *Czy pamięta Siostra pierwszy grzech?*

- Na pewno pamiętam poczucie, które mnie w pewnym momencie doprowadziło do nawrócenia: miałam absolutnie dosyć głupot, które robiłam i które niewątpliwie były grzeszne (co innego głupoty niewinne, jak to związywanie majtek, czy przeciąganie nici pomiędzy łózkami, żeby siostra sprawdzająca, czy śpimy, potknęła się i narobiła hałasu, albo przypięcie pinezką welonu siostrze do ławki – może niektórych z tych rzeczy się wstydzę, ale w sumie były dość niewinne). Byłam już wtedy na studiach i mimo iż nie praktykowałam, poszłam do spowiedzi, bo nie dawało mi to spokoju. Wcześniej wiedziałam, że innych ludzi nie wolno krzywdzić... co nie znaczy, że tego nie robiłam. Nie byłam święta. Ale nie powodowało to wyrzutów sumienia o charakterze religijnym. Mówiło się po prostu „przepraszam”. Mama potrafiła okazać, że sprawiliśmy jej przykrość – nie biła nas rzecz jasna, ale widzieliśmy, że jest przybita i to mobilizowało nas do przeprosin.

- *A czy miewała Siostra poczucie krzywdy, czy potrafiła Siostra przebaczyć?*

- Od bardzo wczesnych lat – chyba byłam wtedy dwunastolatką – widziałam krzywdę i niesprawiedliwość w swojej rodzinie. Widziałam po prostu, jak mój ojciec krzywdził matkę, jak był wobec niej nielojalny. I do końca swoich dni wiedział, jakie zajmowałam wobec tego stanowisko. Próbował mnie przeciągnąć na swoją stronę, wiedział, że mu przebaczyłam (bo siłą rzeczy krzywdził także i mnie), ale wiedział też, że uważam to, co zrobił, za złe.

Trudno mówić o kimś, kto nie żyje i w dodatku był moim ojcem... Matka zresztą zawsze próbowała go bronić, ukryć przed nami prawdę, ale właściwie bardzo szybko przestało jej to wychodzić – doskonale o wszystkim wiedzieliśmy. Cała sprawa zaważyła na mojej przyszłości w tym sensie, że ja też postanowiłam bronić swojego młodszego brata przed świadomością tego, co się dzieje. On nie wiedział, że nasza rodzina jest rozbita właściwie aż do czasu, gdy ukończył 17 lat. Tymczasem wszystkie próby naprawy sytuacji nie powiodły się i ojciec w końcu założył nową rodzinę.

- *A jak Siostra odbierała PRL? Słyszę, że rodzice od początku byli nastawieni do systemu krytycznie...*

- Doskonale pamiętam Październik – mieszkaliśmy na Ochocie i mama nie wypuszczała nas z domu, bo na Placu Narutowicza coś się działo. Słuchaliśmy całą rodziną Wolnej Europy na takim dużym drewnianym radiu z klawiszami – przypominam sobie komentarze i nadzieje rodziców... Szkołę przechodziliśmy świadomi tego, że wdraża nas w system, którego nie akceptujemy. Do żadnych ZMS-ów nie należeliśmy, kiedyś nawet wyrzucono mnie z klasy z okrzykiem „ty czarna reakcja”, bo wychowawczyni miała polecenie zapisania jakiejś części uczniów, a tu my – młodzież księdza Gniewniaka – nic. Nasza klasa była zresztą wyjątkowa – w innych roiło się od aktywistów, a pani dyrektor służyła kiedyś w Armii Czerwonej i znała osobiście towarzysza Ochaba.

W liceum sióstr niepokalanek mieliśmy dwie lekcje historii – oficjalną, choć bez nacisku na sprawy ideologii, i tę prawdziwą: przychodziła raz w tygodniu siostra Krysta, staruszcza, która siadała zawsze na takim stopniu i opowiadała historię Polski. Wszelkie złudzenia straciliśmy w Marcu '68, który przeżyłam już bardzo świadomie: nie dość, że byłam w maturalnej klasie, to mój brat – wówczas już student – organizował strajk na swoim wydziale. W grudniu 1970 akurat znalazłam się w Trójmieście, bo chciałam studiować oceanografię. W 1976 r., kiedy były wydarzenia w Radomiu, uczestniczyłam z przyjaciółmi w zbiórce pieniędzy na pomoc robotnikom, podczas Mszy w kościele na Żytniej. Podobno zrobiła się z tego draka i Prymas Wyszyński interweniował, żeby nas nie zamknęli... Tu się zresztą kończy mój epizod opozycyjny: później, kiedy już pracowałam w Laskach, świadomie się w nic nie angażowałam; chciałam po prostu pomagać najsłabszym – poza polityką.

- *A ten 1970 r. w Trójmieście? Pamięta Siostra słynną scenę zatraskiwania okien akademików, kiedy robotnicy przyszedli wezwać na pomoc studentów?*

- Ja okien nie zamykałam, bo mieszkałam z przyjaciółką w wynajętym mieszkaniu, zresztą w pobliżu spalonego Komitetu Wojewódzkiego. Studenci rzeczywiście się nie włączali, ale szczerze mówiąc nie było takiej możliwości. Nie mieliśmy informacji i nie byliśmy nijak zorganizowani. Uniwersytet był w Gdyni, akademiki we Wrzeszczu, komunikacja przerwana... Wszystko wybuchło nagle, pamiętam, że poszłam na pocztę zadzwonić do mamy i byłam ostatnią osobą, która rozmawiała z Warszawą. Nikt nic nie wiedział, nie tylko zresztą w Gdańsku. Jakieś wybite szyby księgarni, jakieś strzały, przed którymi uciekłyśmy do ciotki na Stare Miasto, bo kolejka w naszą stronę już nie kursowała, nic nie było wiadomo...

- *Rozmawiałem kiedyś o kapłaństwie z ks. biskupem Pieronkiem i ks. Michałem Czajkowskim – obaj „urodzili się księżmi” i właściwie nigdy nie mieli wątpliwości, co do swojego wyboru... Wiem, że Siostra nie planowała swojej przyszłości w Kościele.*

- Absolutnie nie.

- *A kim Siostra chciała być?*

- Weterynarzem, lekarzem, biologiem... Na medycynę nie poszłam tylko dlatego, że był egzamin z fizyki, a ja z fizyki jestem noga. Na pewno nie chciałam być zakonnica, choćby dlatego, że w dzieciństwie nie bardzo wiedziałam, kto to jest. Jedyne, co miałam zawsze, to ogromna potrzeba samotności, jakiegoś absolutu, pójścia w czymś do końca. Co oczywiście wyrażało się w moich wybrykach. Szara rzeczywistość mnie nudziła.

- *A propos „wybryków”. Muszę zadać Siostrze pytanie o pierwszą miłość.*

- Uuuu...

- *Pytam na razie tylko o pierwszą...*

- A która była pierwsza? Wiem, że zakochałam się parę razy na studiach, ale czy przed studiami też się kochałam? (Bo to był kolega z liceum, najpierw się kolegowaliśmy, potem się kochaliśmy, potem to się rozpadło, i dobrze, bo on jest szczęśliwym ojcem, a ja szczęśliwą zakonnica)... Raczej to było na pierwszych latach studiów. Śmiertelnie kochałam się też w chłopaku, który był starszy i w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Zrobiłam sobie wtedy pierwsze okulary, bo podobno (tak mówiły mi koleżanki) powiedział mi „cześć”, a ja nie zauważyłam.

Potem tych miłości było dobrych parę – zresztą polskich i zagranicznych.

- *Jak dużo jeszcze Siostra może powiedzieć?*

- No, „dozwolone od lat 18”, zdecydowanie. Ludzie bez poczucia humoru mogliby się poczuć zbulwersowani.

- *Ustaliliśmy już, że Pan Bóg ma poczucie humoru.*

- Panie Michale, niech pan mi odpuści (*śmiech*)... W każdym razie nie mogę powiedzieć, żebym nie miała pod tym względem doświadczenia. Co zresztą mi bardzo pomaga – i w rozumieniu innych, i w trzeźwym podejściu do własnego celibatu. Co nie oznacza, że jestem wolna od pokus. Ale... nie żałuję. Niektórzy byli zresztą bardzo mili. A jeden – potwornie przystojny. Francuz, niestety nie miał możliwości pozostania w Polsce.

- *Jak Siostrze szła nauka?*

- Jeszcze kiedy byłam w liceum w Szymanowie miałam kłopoty z matematyką. Byłam tak roztrzępana, że zawsze w którymś momencie myliłam się w rachunkach – dwa razy dwa robiło się pięć. Jak groziła mi dwójka, pamiętam, że usiadłam i zrobiłam kilkaset takich zadań ze słupkami – pomogło.

Ale generalnie zawsze uczyłam się bardzo dobrze, co przyprawiało o mdłości moich braci. Nie dlatego, żebym była bardzo pilna, w państwowym liceum nawet czytałam książki pod ławką czy pisałam wypracowania dla kolegów, równocześnie śledząc jakoś tok lekcji. W końcu posadzili mnie w ostatniej ławce i dali mi spokój. Na studiach było podobnie: zdarzały się egzaminy, które zdawałam na czwórkę nie mając pojęcia o treści przedmiotu.

- *Jak?*

- Po pierwsze, miałam szczęście. Po drugie, byłam dość bezczelna. Egzaminator z chemii fizycznej (przedmiotu, który był dla mnie absolutną czarną magią) powiedział, że wie, iż nie mam o tym zielonego pojęcia, ale daje mi czwórkę, bo kogoś tak bezczelnego jeszcze nigdy nie widział. Na ochronie przyrody, pedagogice itp. też po prostu lałam wodę, albo starałam się domyśleć, o co może chodzić pytającemu. Przedmioty główne za to kułam bardzo mocno: po prostu mnie interesowały. Siedziałam w wakacje w bibliotece, czytałam książki w obcych językach. Zawsze starałam się dojść do końca, dlaczego jest tak, a nie inaczej.

- *Co zadecydowało o wyborze biologii?*

- Na medycynę nie miałam szans przez tę fizykę. Zostawała weterynaria albo biologia, bo zawsze zwierzęta mnie fascynowały. Czyli: miłość do sprawy.

- *A kiedy Siostra zaczynała studia, to co Siostra zamyślała robić dalej?*

- Skończyć studia i więcej wiedzieć. Dopiero w czasie studiów, kiedy już nawróciłam się na wiarę naszą katolicką (w sensie rzeczywistego jej przeżywania), zaczęłam myśleć o wstąpieniu do różnych klasztorów. Nawet myślałam, że przerwę studia, ale na szczęście przyjaciele mnie powstrzymali. Potem, gdy kończyłam studia, chciałam uczyć. Ale już z postanowieniem, że to potrwa niedługo, bo wstąpię do klasztoru.

- *Mówi Siostra o nawróceniu. Ciekawi mnie ten moment (moment, czy też proces, jaki do niego doprowadził)...*

- To był na pewno moment, ale na momencie nigdy się nie kończy. Moment jest łaską, ale potem – jeśli człowiek nie odpowiada na łaskę – to jest tak jak z ziarnem rzuconym na kamienistą glebę.

- *A ten moment łaski?*

- Był bardzo konkretny. Miałam praktyki w Mikołajkach (ponieważ studiowałam hydrobiologię) i wraz z przyjaciółmi świetnie się bawiłam – wie pan, jak jest na studenckich praktykach... Z początku bardzo mnie to cieszyło, ale potem miałam już dosyć. Uciekłam, zostawiając swoje niesporczaki koleżance.

- *Chwileczkę: co to są niesporczaki?*

- To są takie śliczne, małe wodne niedźwiadki (po angielsku tak się zresztą nazywają), widoczne pod binokulem albo pod mikroskopem. Niektóre dochodzą nawet do 0,8 mm. Są kolorowe i rzeczywiście przypominają polarne niedźwiedzie, z tym że mają sześć nóżek zamiast czterech. Żyją sobie wśród ziarenek piasku na plaży albo w wodzie – na dnie jeziora albo morza. Jak się weźmie trochę piasku i włoży pod binokular, to widać, jak taki niesporczak łązi po ziarenku piasku zupełnie tak, jakby niedźwiedź wchodził na skałę. Hodowałam je być może jako pierwsza w Polsce – chociaż był jeszcze taki pan w Krakowie, z którym konsultowałam się pisząc pracę magisterską, ale on bardziej pasjonował się niesporczakami, które żyją w kroplach wody na liściach mchów (ja hodowałam psammona, czyli tego, który żyje między ziarenkami piasku). Cóż to jest za świat ciekawy: jak pan odgarnie warstwę suchego piasku na plaży, pod spodem jest warstwa piasku mokrego. I one tam są, pomiędzy ziarenkami: małe zwierzątka, a nawet roślinki.

- *Ale to nie niesporczaki spowodowały przełom, tylko bujne studenckie życie...*

- Bawiąc się świetnie, odczuwałam stale pewien dysonans. Jak się rzekło, zawsze była we mnie potrzeba absolutu, czegoś, co jest absolutnie prawdziwe i jest absolutną miłością. Nie znalazłszy tego wśród różnych przygód studenckich, znalazłam koniec końców w Chrystusie. Wyjechałam z Mikołajek i ruszyłam przed siebie – dojechałam aż do Dursztyna na Podhalu, gdzie miały chałupę (teraz to jest spory klasztor) siostry niepokalanki. We wsi nie było jeszcze prądu, droga się kończyła, diabeł mówił dobranoc: przepiękne miejsce. I tam najpierw mieszkałam kątem u górali, przez jedną noc, której nie zapomnę do końca życia, bo najpierw przyszedł stary góral i położył się na sąsiednim łóżku, a koło dwunastej poczułam, że łążą po mnie tabuny pcheł – dom był połączony ze stodołą i oborą, i jak sobie poświeciłam, zobaczyłam, że jestem cała czarna. Potem przeniosłam się do sióstr, które zgodziły się mnie przyjąć i zaczęłam spędzać czas w absolutnej samotności, chodząc po górach. Aż w pewnym momencie miałam takie nieprawdopodobne przeżycie tego, że Bóg jest. Przeżycie ogromnej przestrzeni, która nie jest pustką. Tylko tyle.

- *Jesteśmy na górskiej polanie...*

- Chyba na jakimś szczycie: dla mnie jako prapptomka kozaka, najbardziej fascynująca jest otwarta przestrzeń.

A skoro sobie uświadomiłam, że Bóg jest, to zwinęłam manatki i zaczęłam Go szukać. Najpierw pojechałam do jedyne go miejsca, które z Panem Bogiem mi się kojarzyło – do sióstr niepokalank z Szymanowa. Do dzisiaj żyje tam siostra Michalina, moja wspianała wychowawczyni, którą poprosiłam o coś

do czytania na temat Pana Boga. Dała mi świetnie napisaną książkę księdza Zuberbiera, coś na kształt katechizmu, tylko zrozumiałego. Bardzo żałuję, że teraz nie ma takich na rynku – ja, absolutny abnegat, przeczytałam ją i wiedziałam, o co chodzi. Nie pamiętam, niestety, tytułu.

Byłam już na ostatnim roku studiów i wiedziałam, że potrzebuję porządnych rekolekcji. Uzgodniłam z siostrami, że będę u nich uczyła chemii – kilka godzin przez dwa dni w tygodniu zajmowałam się uczeniem, a potem miałam ciszę, spokój i swój pokój w Szymanowie. To wtedy podciągnęłam lektury – przede wszystkim historię Kościoła, bo miałam takie wrażenie, że jeżeli mam być katoliczką, muszę poznać korzenie, uświadomić sobie, skąd się to w ogóle wzięło. Czytałam też mistyków – zwłaszcza świętą Teresę od Jezusa, z której niewiele rozumiałam, ale odczuwałam silną fascynację, potem także Mertona – to wtedy postanowiłam, że zostanę trapistką. I gdy skończyłam studia, a zorientowałam się, że w Polsce nie ma trapistów, zaczęłam szukać benedyktynek. Pojechałam do pięknego klasztoru w Żarnowcu, gdzie wcześniej umówiłam się z siostrami, ale gdy przyjechałam, zobaczyłam piękne jezioro. Oczywiście nie mogłam się oprzeć pokusie i poszłam się kąpać. A potem położyłam się na plaży i zrozumiałam, że nie potrafię zrezygnować z pływania, z wolności. Pan Bóg przegrał walkę – niewątpliwie dobrze i dla Niego, i dla sióstr, i dla mnie.

Do Żarnowca więcej nie pojechałam, znalazłam natomiast pracę jako nauczycielka w Drohiczynie nad Bugiem, gdzie zresztą też były benedyktyнки, co uznałam za wolę Bożą. Tamtejsze siostry usiłowały nauczyć mnie śpiewać, ale nawet benedyktyńska cierpliwość im nie pomogła (*śmiech*). Wtedy jednak też miałam bardzo dużo samotności i czytałam Pismo Święte, jak leci. A potem już, już miałam wstąpić do benedyktynek, aż na mojej drodze pojawiła się dziewczynka, która trzeba było się zająć. Wybrałam dziewczynkę.

- *To była jedna z uczennic Siostry?*

- Tak, chociaż z początku nie byłam tego świadoma – pierwsze dni roku szkolnego, jeszcze nie znałam uczniów zbyt dobrze. Zobaczyłam ją w księgarni, bardzo zaniedbaną, w męskiej marynarce po kostki i za dużych butach na bosych nogach. Zapytałam sprzedawczynię, kto to jest, potem okazało się, że ją uczę. Ponieważ starałam się żyć Ewangelią na co dzień – zdecydowałam, że powinnam jej pomóc.

Stanełam przed dylematem: z jednej strony jest w Ewangelii napisane, że wszystko, co uczyniliśmy jednemu z tych najmniejszych, Jemu uczyniliśmy. Z drugiej strony bardzo chciałam wstąpić do klasztoru kontemplacyjnego, a trochę trudno wstępować tam z dzieckiem. Akurat były jakieś wybory, w których nie wzięłam udziału, więc straciłam pracę i pod koniec roku szkolnego obudziłam się w Drohiczynie bez pieniędzy, mieszkania i z dziewczynką, którą już wzięłam jako rodzina zastępcza. Pojechałam więc do Warszawy i przyjaciele znaleźli mi pracę w zakładzie dla niewidomych w Laskach. Z dziewczynką miałam kłopoty straszliwe, zupełnie nie wiedziałam, co robić i jak sobie radzić, więc odesłałam ją do matki z zastrzeżeniem, że będę ją utrzymywać i zabierać na wakacje.

- *Co to były za kłopoty?*

- Uciekała z domu, taki mały dziki człowiek, nigdy nie kochany. Dziś obie się z tego śmiejemy, ale wtedy ona próbowała moje uczucia, a także na ile może sobie pozwolić. Wreszcie straciłam cierpliwość, z czego dziś jest zadowolona, bo twierdzi, że gdybym jej wtedy nie odesłała, po paru latach trafiłaby na ulicę.

Potem wszystko się ułożyło, Małgosia już-już miała dostać mieszkanie w Warszawie, ale postanowiła wrócić do matki i pomóc jej w opiece nad rodzeństwem. I niestety: wyszła fatalnie za męża, w wieku lat 18, za pijaka i łobuza. Pierwsze dziecko jej zmarło, a gdy urodziło się drugie, zabrałam ją tutaj (to już były lata 80., byłam na saksach w Niemczech, zarobiłam pieniądze) i wynajęłam jej chałupę. I do dziś utrzymujemy kontakt – Małgosia jest już dorosłą kobietą, matką dwojga dzieci.

Była ukochanym dzieckiem mojej mamy, która przyjęła ją jak członka rodziny, a jej dzieci jak swoje wnuki. Potem jednak znowu wróciła do Drohiczyna, jej matka się nie zgodziła, żebym tam kupiła jakieś dwa pokoje, więc Małgosia dalej mieszkała w koszmarnych warunkach. Teraz, kiedy jej dzieci są już duże, ustaliliśmy, że przejdzie do mnie do Brwinowa, żeby przerwać to koszarne koło biedy i zapewnić lepszy start dzieciom... A więc mam już wnuki. I to niemałe...

A w Laskach, gdy odesłałam Małgosię do domu, nawiązałam dzięki ks. Tadeuszowi Fedorowiczowi kontakt z małymi siostrami.

- *Zanim o małych siostrach: jak na „nawrócenie” Siostry zareagowali bliscy?*

- *Przyjaciele ze studiów odsunęli się ode mnie całkowicie. Jak przestałam pić, uwierzyli, że rzeczywiście coś się we mnie zmieniło, ale doszli do wniosku, że zwariowałam. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego moja najlepsza przyjaciółka, która była niewierząca, odsunęła się tak totalnie.*

Rodzina, gdy zaczęłam codziennie chodzić do kościoła, też stwierdziła, że mi odbiło. Pamiętam jednak taką scenę, gdy mój młodszy brat dowiedział się, że rzuciłam palenie (jak pan wie, nie na długo...) i stwierdził, że rzeczywiście coś w tym jest. Oczywiście nie nawracałam ich na siłę.

- *A oni Siostrę?*

- *Były naciski. Zwłaszcza, gdy się dowiedzieli, że wstępuję do zakonu. Gdy byłam u małych sióstr miałam bardzo ostry konflikt z bratową, która tłumaczyła mi, jak bardzo krzywdzę matkę. Mama rzeczywiście była bardzo przeciwna, ale gdy wreszcie znalazłam się u małych sióstr, dostałam od niej list z przeprosinami.*

Od tego czasu była mi niezwykle wierna. Od gotowania pierogów u małych sióstr, przez pranie majtek dzieciom na koloniach dla niewidomych, przyjmowanie w swoim mieszkaniu kobiet z więzień, które zapraszałyśmy tam z Tamarą, łącznie z tym, że prawie do ostatnich chwil życia prowadziła rachunki naszej Wspólnoty. A przy tym, przez długi czas nie była osobą religijną. Całe lata nie praktykowała, bo małżeństwo z moim ojcem było drugim w jej życiu – najpierw wyszła za męża w czasie wojny, nie przemyślawszy tej decyzji. Próbowała unieważnić ślub kościelny z tym mężczyzną, miała zresztą podstawy, ale się nie powiodło. Wobec prawa kanonicznego jestem więc dzieckiem nieślubnym, bo rodzice nie mieli ślubu

kościelnego. Dopiero, kiedy zmarł jej pierwszy mąż, mama powróciła do praktyk (ojciec już wtedy od nas odszedł) i była bardzo im wierna. Nie w sensie jakiegoś nawiedzenia: jej katolicyzm realizował się w pomaganiu wszystkim na około, przy równoczesnym bardzo skromnym życiu. Była bardzo prawa i bardzo dobra.

- A kiedy właściwie Siostra znalazła się w kręgu Klubu Inteligencji Katolickiej?

- Na studiach, wprowadzona przez kumpla jeszcze ze szkoły, Michała Wroniszewskiego. Potem poznałam Krzysztofa Jedlińskiego, psychiatrę i naszego wieloletniego bezinteresownego przyjaciela, który napisał jakiś artykuł w „Więzi”; artykuł, który strasznie mnie wpiecił (dziś już zupełnie nie pamiętam, dlaczego), powiedziałam o tym Michałowi, a ten mówi: to ja ci tego faceta przedstawię i sama mu to powiesz.

- Przepraszam: czyli nawet będąc „poza” czytała Siostra „Więź”?

- Tak.

- To znaczy, że ten Kościół cały czas Siostrę ciekawił.

- No tak. Poza tym nawet będąc „poza”, chociaż już w trakcie moich poszukiwań, znalazłam się w takiej grupie modlitewnej związanej z Taize, do której należeli m.in. Krzysztof Jedliński, Marek i Marysia Pieńkowscy, Michał Wroniszewski z jego przyszłą żoną, a także Teresa Kieniewicz. Nasza znajomość wiązała się jeszcze z księdzem Gniewniakiem i przetrwała – w postaci przyjaźni – do dziś, choć Teresa jest w Karmelu, Marek jest przewielebnym ojcem przeorem, Marysia katechizuje, a Michał działa na rzecz dzieci autystycznych.

Ale znamieną była reakcja środowiska kościelnego na moje „nawrócenie”. Kiedy starałam się zmienić swoje życie, żyć Ewangelią, chodzić do kościoła, to – trudno się porównywać ze świętym Pawłem, ale zjawisko jest charakterystyczne – tzw. dobrzy katolicy przyjęli mnie z wielką ostrożnością. Ciekawe, prawda?

- Czemu?

- Bo wie pan, co prawda nie robiłam wcześniej jakichś bardzo złych rzeczy, ale na pewno do obrazu dobrej katoliczki mocno nie pasowałam. A tu dzieje się coś takiego jak z robotnikami ostatniej godziny: ludzie mieli poczucie, że tak się mocno napracowali nad swoim obrazem pobożnego katolika, a tu nagle ktoś przychodzi z zewnątrz i co: on też?

- No a co decydowało o poszukiwaniach zakonu? Dlaczego benedyktynki, dlaczego małe siostry? Rozumiem, że szukała Siostra modlitwy, samotności...

- Myślę, że szukałam czegoś radykalnego. To było razem: gdy zrozumiałam, że Bóg jest, zrozumiałam, że mogę żyć tylko dla Niego. Tu już nie było wątpliwości – co nie oznacza, że dalej nie popełniałam błędów. Kiedy ktoś przychodzi i mówi, że proszę: oto na jakimś charyzmatycznym zebraniu modlitewnym nawrócił się ktoś po 20 latach więzienia i teraz zrobimy go przewodniczącym wspólnoty, mówię „spokojnie”. Być może on się nawrócił, ale to jeszcze nie znaczy, że stał się dojrzałym chrześcijaninem.

Sama przeszłam wiele i Pan Bóg wielokrotnie dawał mi klapsy. Początek drogi jest może spektakularny, ale potem się szuka. Cały czas się szuka.

Znałam tylko dwa zgromadzenia: niepokalanki, które odpadały i trapistów – z lektury Mertona. Świat klasztorów był dla mnie czymś zupełnie obcym. A poza tym (ale było we mnie sprzeczności, nie?) chciałam być świętą w dzinsach – takim normalnym człowiekiem.

- *No i na co Siostrze przyszło? Habit wprawdzie niestandardowy, ale zawsze.*

- Ale w dzinsach chodziłam do samego końca.

- *Cały czas przez biografię Siostry przewija się wątek innych, którym trzeba pomóc. Z braćmi jakimś staruszkowi, z księdzem Gniewniakiem...*

- Tak. Jest też taki ośrodek dla chorych w Łązniewie, założony przez księdza Zanattę, orionistę, Włocha z pochodzenia, który zaczął przyjmować na wczasy w swojej parafii obłożnie chorych. I pamiętam, jak myśmy z tą „grupą Taize” stwierdzili, że pięknie, tak się tu ładnie modlimy, ale może zrobimy coś konkretnego. Wszyscyśmy wtedy pojechali jako wolontariusze do Łązniewa.

Oto dlaczego nie wychodziły mi te klasztory kontemplacyjne: Ewangelia przede wszystkim przekładała mi się na pomoc człowiekowi potrzebującemu. Dopiero we Wspólnocie Chleb Życia spotkało się jedno z drugim.

- *Więc jak to było z małymi siostrami?*

- Adres dał mi ks. Tadeusz Fedorowicz. Wyczuwał moją potrzebę życia ewangelicznego i wspólnotowego, a wiedział lepiej niż ja, że nie nadaję się do „regularnego” klasztoru kontemplacyjnego. Małe siostry miały wtedy dom w Częstochowie, tajne łamane przez poufne, bo nie mogłyby inaczej pracować w fabrykach, chodziły bez habitów...

Formacja u małych sióstr dała mi ogromnie dużo. Właściwie jej zawdzięczam wszystko, łącznie ze znajomością francuskiego, która jest dziś niezmiernie przydatna. Duchowość niezwykle bliska duchowości naszej Wspólnoty i nie jestem jedyną, która od małych sióstr przeszła do Wspólnoty Chleb Życia.

- *Zdaje się, że miała Siostra dwa podejścia...*

- Postulat miałam w Częstochowie. Potem wyjechałam na miesiąc do Francji – zupełnie nie znałam języka i byłam mocno zagubiona – a potem do Rzymu, gdzie byłam w nowicjacie. Pod koniec grudnia musiałam wrócić do Polski z powodów rodzinnych, byłam w Częstochowie i tam, niestety, doszło do – nazwijmy to tak – konfliktu. Nie było przełożonej, która wyjechała do Włoch i zastępowała ją siostra, która jest na pewno wspaniałym człowiekiem, ale na pewno nie ma daru do rządzenia innymi. Mnie doprowadziła prawie do fiola, wymagając posłuszeństwa w każdej, najdrobniejszej czynności i chodząc za mną krok w krok. Nie wolno mi było wychodzić na dwór, choć dom był malutki i dusiłam się w nim.

- *Jednak miała Siostra kłopoty z posłuszeństwem?*

- To nie to. Myślę raczej, że ona nie potrafiła zrozumieć drugiego człowieka – sama była absolutną ascetką i pewnie mierzyła wszystkich swoją miarą. Odeszłam. Nie wytrzymałam psychicznie i odeszłam, mając zresztą głębokie poczucie winy.

Wróciłam do Lasek, a po półtora roku wstąpiłam do małych sióstr ponownie. Pracowałam w Laskach, a potem wyjechałam... pamiętam, że zaproszenie, na które dostałam paszport, miałam od o. Jacquesa Loewa, prowadzącego szkołę wiary w Szwajcarii. W wykupieniu biletu pomogła mi pani Aniela Urbanowicz, jechałam do Austrii, gdzie miałam przesiadkę. Wyjechałam w ostatniej chwili, bo w dniu odebrania paszportu otrzymałam pismo z Pałacu Mostowskich, żebym się tam stawiła – zamiast się stawić, wsiadłam w pociąg i pojechałam. W Austrii czekałam ponad miesiąc na pozwolenie małej siostry Madeleine na przyjazd do Rzymu. Dlaczego? Siostry franciszkanki z Lasek znały bardzo dobrze małą siostrę Madeleine, zadzwoniły do niej i poprosiły ją, żeby mnie nie przyjmowała. Nieładnie.

– *Dlaczego?*

– Bo odchodząc z Lasek, zostawiłam nieobsadzone stanowisko katechetki. Chciały mieć katechetkę, więc ówczesna matka generalna po prostu podłożyła mi świnię.

Wreszcie małe siostry z Austrii, widząc, co się dzieje, nacisnęły na Rzym i spowodowały mój przyjazd. Pamiętam, że był 1978 r. – pogrzeb Pawła VI i wybór Jana Pawła I widziałam jeszcze w telewizji austriackiej. Potem wyruszyłam do Rzymu. Do małych sióstr dotarłam wieczorem, a rano Polka, która już tam była, obudziła mnie z krzykiem, że papież umarł. Ponieważ była znaną dowcipniczą, nauręgałam jej, że z takich rzeczy nie robi się żartów. Ale okazało się, że Jan Paweł I rzeczywiście umarł i po jakimś czasie znalazłam się wśród tłumu ludzi, którzy przywitali wybór Karola Wojtyły na Placu Św. Piotra. Codziennie chodziliśmy tam na piechotę, siadałyśmy na schodkach i siedziałyśmy do wieczora. Dookoła giełda, ludzie z całego świata oglądają „L'Osservatore Romano” ze zdjęciami wszystkich kardynałów. Kiedy ogłoszono wybór, zrobił się moment ciszy, bo nikt nie wiedział, o kogo chodzi. I ja wtedy, choć było to powiedziane niewyraźnie, zorientowałam się i zaczęłam krzyczeć dookoła, że papieżem jest Polak. Reakcja tłumu była nieprawdopodobna, chcieli nas podrzucać do góry, więc dałyśmy nogę i przyjechałyśmy do Tre Fontane, domu generalnego małych sióstr, gdzie wezwała nas mała siostra Madeleine. A ja miałam jakiś moment iluminacji, który powodował, że się w ogóle nie cieszyłam: cały czas czułam, że ten człowiek będzie potwornie cierpiał. Mała siostra Madeleine, która знаła kardynała Wojtyłę, cieszyła się ogromnie i powiedziała mi coś w stylu: „A ty jak zwykle osobno; dlaczego się nie cieszysz?”. „Dlatego, że on będzie bardzo cierpiał”. Pamiętam, że postawiła na mnie wielkie oczy i zamilkła.

Następnego dnia wypytywała mnie o narodowość babcia klozetowa. Gdy dowiedziała się, że jestem Polką, nie chciała wziąć pieniędzy. Papież pomógł mi też wtedy, gdy skończyła mi się wiza. Przegapiłam termin, żeby załatwić przedłużenie przez Watykan i groziła mi deportacja. Poszłam więc do ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie mój paszport wziął jakiś urzędnik, tłumacząc mi i gestykulując, że

w ogóle nic się nie da zrobić, zniknął na parę godzin, po czym wrócił uśmiechnięty i mówi: macie szczęście, że papież jest Polakiem. Ja zaglądam, a w środku bezterminowa wiza.

– *Niech Siostra opowie o małej siostrze Madeleine.*

– Podobno rozpoczął się jej proces beatyfikacyjny – myślę, że absolutnie słusznie. Miała ogromną wiarę, nie uznawała rzeczy niemożliwych, była ogarnięta pasją miłości. Ale była w tej miłości ogromnie wymagająca. Na pewno zaważyła na moim życiu, chociaż zawsze między nami były jakieś nieporozumienia. Wielcy święci potrafią też robić wielkie błędy. Mała siostra Madeleine wydawała decyzje szybko i stanowczo, miała chwile zniecierpliwienia, więc zawsze towarzyszyła jej mała siostra Jeanne, która zwykle ją łagodziła. W rok później, gdy byłam już w Austrii, po kilku miesiącach bardzo ciężkiej choroby (mała siostra Madeleine podejrzewała mnie nawet, że celowo ukryłam gruźlicę)...

- *A to była gruźlica?*

- Nie, guz, który wyrósł mi pod pachą, i to wielkości główki niemowlęcia. Nie wiadomo było, co to jest: nowotwór, gruźlica... Byłam tak słaba, że nie potrafiłam ręki podnieść, potwornie mnie to bolało i było nieprzyjemnie, bo podejrzewano mnie o zatajenie choroby przed przyjazdem. W międzyczasie z Polski przyjechała ta siostra, z którą miałam konflikty i ona też dolewała oliwy do ognia: że i ona by się chciała położyć. Tu jednak ostro wkroczyła lekarka, wspaniała wietnamska siostra, która dokonywała cudów, żeby nas czymś zająć (byłyśmy takie dwie weteranki, leżące kilka miesięcy). Wywoziła nas na plażę, nawet gotowała jakieś wietnamskie potrawy, żebyśmy cokolwiek jadły – sama kiedyś była ciężko chora, więc dobrze nas rozumiała. W końcu trafiłam do szpitala, gdzie mnie zoperowano. I okazało się, że to był wirus kociego pazura (w Austrii podrapał mnie kot). Bardzo rzadka choroba – ojciec, który miał czterdzieści lat praktyki, mówił mi, że w życiu nie miał takiego przypadku, choć oczywiście czytał o nim w podręcznikach. A że kot był austriacki, to siostry z Austrii czuły się w obowiązku zaprosić mnie na rekonwalescencję. Siedziałam w Alpach, w Mariazell, chodziłam po górach, i wtedy właśnie była pierwsza pielgrzymka Papieża do Polski – śledziłam ją w telewizji austriackiej, widząc oczywiście dużo więcej niż widzowie w Polsce.

Pamiętam taką scenę, gdy z Mariazell przyjechałam pod Wiedeń, gdzie małe siostry miały małe gospodarstwo i gdzie zwykle zatrzymywała się mała siostra Madeleine po drodze do krajów Europy Wschodniej. Nie zapomnę tego do końca życia: zrobiła spotkanie ze wszystkimi małymi siostrami, ja też tam byłam jako nowicjuszka, rozmawiałyśmy o tym, że małe siostry nie mogą przyjmować stanowisk „sióstr PCK” (pielęgniarek domowych), bo nie można odpłatnie robić dobrych uczynków. Ja wtedy powiedziałam, że być może w Polsce jest inna sytuacja, ponieważ poziom tych pielęgniarek był straszliwy i chorzy rzeczywiście powinni być lepiej obsługiwani. A że ja sama miałam ochotę właśnie na podobną pracę, mówiłam, że może to jest miejsce na świadectwo małej siostry.

Wtedy mała siostra Madeleine potwornie mnie zrugowała. I ja wyszłam z tego zebrania.

O ósmej rano następnego dnia szłam przez podwórze, mała siostra Jeanne mnie zawołała, za nią szła mała siostra Madeleine, która mnie przeprosiła. Mnie – nowicjuszkę, gówniarę – przeprosiła. A przecież miała prawo mnie zrugać: założycielka, autorytet jakąś młodą siostrę...

- *Ale to Siostra miała wtedy rację.*

- Tak myślę. Parę lat później zresztą małe siostry w Polsce zostały pielęgniarkami. Uznawałam jednak jej prawo do ostatniego słowa – w końcu miałam być posłuszna. Jednak fakt, że mnie przeprosiła, dał mi dużo więcej niż cała ta historia.

- Jean Vanier napisał we wstępie do jej biografii: „Dzieło Boże może się w nas objawić w sposób doskonalszy, gdy ujawniają się wady i niekonsekwencje w nas tkwiące”...

- A potem była kolejna bardzo trudna sytuacja: wróciłam do Polski i zbliżał się okres czasowych ślubów. Jeszcze w Rzymie, kiedy przyjechała ta Polka, moja mistrzyni nowicjatu pytała mnie: Małgorzata, powiedz, czemu ona tak się ciebie czepia? I gdy zbliżał się termin moich ślubów, przyjechała do Polski także mała siostra Madeleine, od której decyzji zależało, czy będę do ślubów dopuszczona. I ona powiedziała „nie”. To było w Częstochowie. Wysłałam, poszłam na Jasną Górę, pomodliłam się, wróciłam i powiedziałam: dobrze, ja się z tym godzę, tylko proszę mi powiedzieć dlaczego. Siedziały razem w pokoju – mała siostra Jeanne i mała siostra Madeleine – i pamiętam, jak soeur Jeanne zwróciła się do soeur Madeleine: „a czy ty kiedykolwiek słyszałaś jakieś zarzuty przeciwko niej?” Ale ponieważ zorientowała się, że takie rozmowy nie powinny się toczyć w mojej obecności, więc poprosiła, żebym wyszła. A następnego dnia rano zostałam wezwana ponownie, była tam też ta mała siostra z Polski, której nakazano mnie przeprosić. Otrzymałam też zadośćuczynienie: mogłam sobie wybrać termin ślubów czasowych i dom, w którym chcę mieszkać. A więc: decyzja raz wydana, i to przez założycielkę, mogła zostać cofnięta.

Pamiętam inne sceny, świadczące o klasie małej siostry Madeleine. W Tre Fontane, kiedy rozległ się dzwon, wiadomo było, że trzeba natychmiast bieć, bo dzieje się coś ważnego. Ja już byłam chora, ale jeszcze nie leżałam, rozległ się dzwon, więc wszyscy rzucili swoje zajęcia i biegli jak opętani na wezwanie. Okazało się, że wali się podcinane przez robotników drzewo – chodziło o to, żeby je podeprzeć. Mała siostra Madeleine stała i poganiała biegnących: prędeż, prędeż, prędeż. Biegło nas ze sto, ale gdy ja przebiegałam obok niej, złapała mnie za habit: ty nie, ty jesteś chora. W całym tym tłumie, przy jej zajęciach (przecież ona nie tylko mną się zajmowała, wiadomo – miała cały świat na głowie...), w sytuacji zagrożenia, skojarzyła, że ta nowicjuszka nie może wykonywać ciężkich prac. A miała wtedy pod osiemdziesiątkę.

Pamiętam jej oczy, nieprawdopodobne: oczy świętej i oczy dziecka. Potrafiła się ogromnie cieszyć z drobiazgów. Kochała życie, kochała swoje siostry. Miała niezwykłą uwagę na drugiego człowieka, na kogoś, kto jest potrzebujący, chory. To ona przecież wymyśliła, żeby wszystkie małe siostry uprawiały codziennie gimnastykę w Tre Fontane. Była tam sala gimnastyczna nawet z przyrządami do fizykoter-

pii, i to przy całym, rzeczywistym ubóstwie. To ona wymyśliła, że młode siostry, które przychodzą ze świata, są nieprzyzwyczajone do noszenia spódnic i pozwoliła na noszenie dżinsów i bluzy z krzyżem, jako stroju nowicjuszek.

- *Kiedy odchodziła Siostra od małych sióstr: nie czuła Siostra, że zawodzi?*

- Nie. Kościół w swojej mądrości wprowadził śluby czasowe i śluby wieczyste. Śluby czasowe są w dalszym ciągu okresem próby. Jeśli Kościół nie uznaje opuszczenia zgromadzenia po wypełnieniu ślubów czasowych za grzech (zresztą to jest konkretna umowa z Panem Bogiem: na trzy lata, ale umowa, której dopełniłam), to nie mam wyrzutów sumienia. Uważam, że postąpiłam uczciwie.

- *Coś podobnego przeżywała Matka Teresa, kiedy odchodziła od loretanek. Przecież bardzo je kochała...*

- Tak jak ja małe siostry. Jeśli jest we mnie coś dobrego, to w dużej mierze przez ich formację.

- *Wiem, że rozstanie odbyło się „pokojowo”, a zaprzyjaźniona mała siostra mówiła mi, że jest Siostra bardzo dobrze wspomiana.*

- Ostatnio dostałam kilka pozdrowień, które bardzo mnie wzruszyły. Jedno od mojej dawnej współnowicjuszki, która dziś jest w Libanie, jedno stąd, a jedno z Rzymu, gdzie odbywał się Kongres Ruchów Katolickich – ogromne przeżycie także dla naszej wspólnoty. Niestety nie mogłam pojechać, bo umierała moja mama, ale byli nasi założyciele i niezwykle szczęśliwi opowiadali potem, że po jednej stronie Ojca Świętego byli posadzeni kardynałowie, a po drugiej przełożeni i założyciele nowych wspólnot (kard. Macharski, po tylu latach od ich spotkania, rozpoznał i ciepło przywitał naszego Pascala). W sercu Kościoła! A skoro oni tam siedzieli, to wraz z nimi i my, i wszyscy nasi nędzarze.

Przy okazji nasi założyciele odwiedzili Tre Fontane i stamtąd przesłali mi także pozdrowienia od małej siostry Jeanne. Kolejny przykład tego, że Kościół jest naprawdę wspólnotą. Że jeśli ktoś zmienia swoją drogę, to nie oznacza, że to źle.

- *Więc czego brakowało: małym siostronom czy Siostrze?*

- Mnie. Bo Pan Bóg powołał zgromadzenie małych sióstr takie, jakie ono jest – z ich otwartością dla wszystkich ras i religii, i z najróżniejszymi pomysłami na realizację ich powołania. Po prostu w pewnym momencie zaczęłam zauważać, że m n i e w ich regule brakuje bezpośredniej i konkretnej pomocy ludziom potrzebującym. Jest to przede wszystkim zgromadzenie kontemplacyjne. W sytuacji, jaka panowała wtedy w Polsce – komunizmu, a nawet stanu wojennego – ogromnej nędzy materialnej i duchowej, uważałam, że należy coś zrobić, nawet coś małego, ale konkretnego – dla drugiego człowieka. I to już wychodziło poza powołanie małej siostry.

Mój kłopot narastał. Mieszkałam wtedy w Szewnej i widziałam ogromne potrzeby sąsiadów. Trzeba było nocować u umierającej przez dziewięć miesięcy staruszki, która była zupełnie samotna, bo zostawiła ją rodzina. Fakt, że nie wracałam na noc prawie przez wszystkie dni tygodnia, był dla sióstr bulwersujący. A skoro tak, to powiedziałam sobie, że muszę odejść. Kończył się termin moich ślubów czasowych, więc zgłosiłam się do przełożonych i powiedziałam, że nie będę ich odwijać. Na pewno taka

sytuacja rodzi napięcia, choćby dlatego, że ludzie się do siebie przywiązują. To nie jest tak, że zgromadzenie zakonne jest zbiorem kołków w płocie bez uczuć. Odejście wiąże się z jakimś bólem, i to obu stron.

- *Wzajemne emocje u mieszkańców klasztoru widać choćby w „Dziejach duszy” Małej Św. Teresy.*

- Kiedy odchodziłam od małych sióstr poprosiłam o rozmowę ze wszystkimi. Było tam sporo młodych kandydatek, a że ja byłam u małych sióstr lat parę, nie chciałam, aby powstały w nich jakieś wątpliwości, co do słuszności ich wyboru. Wyjaśniłam, że nie mam absolutnie żadnych zastrzeżeń do tego zgromadzenia, że nie odchodzę dlatego, że coś mi się przestało podobać, tylko dlatego, że postanowiłam wybrać inną drogę.

- *A potem, po raz kolejny w swoim życiu, została Siostra bez pracy i bez mieszkania.*

- Kolejny moment zaczynania na nowo. O ile sobie przypominam, dostałam od małych sióstr trochę pieniędzy na pierwsze dni życia. A następnie zatrudniłam się jako sprzątaczką w pewnym klasztorze męskim – to była pierwsza z brzegu praca, jaką udało mi się dostać.

- *Pouczone doświadczenie?*

- Nie byłam już znowu taka malutka naiwna, więc zdawałam sobie sprawę, że ubóstwo, w którym żyją małe siostry nie jest, powiedzmy to tak, powszechne w zgromadzeniach zakonnych. Nie mogę więc powiedzieć, że byłam zgorszona poziomem życia. Owo miejsce nie odpowiadało mi przede wszystkim z powodu stosunku kapłanów, u których sprzątałam w pokojach, nie tylko do osoby sprzątajacej, ale też do innych pracowników. Był tam starszy pan, świecki, zatrudniany na czarno i bardzo nisko opłacany.

- *Otworzę nawias: czy organiści i kościelni nie powinni założyć związku zawodowego, by bronić się przed nie tak znowu rzadkim wyzyskiem proboszczów?*

- Myślę, że powinni. Choć myślę też, że w ostatnich latach sytuacja zmieniła się na lepsze.

Nie powiem, żebym wówczas spodziewała się czegoś innego i nie traktowałam tej pracy jako czegoś stałego. Drażnił mnie jednak paternalizm kapłanów. Owszem, byłam tylko sprzątaczką, ale przecież kobietą.

- *I to po wyższych studiach.*

- Tego nie musieli wiedzieć. Myślę, że sam fakt różnicy płci powinien zobowiązywać do jakiegoś elementarnego szacunku. Mówiłam już panu, że ksiądz Popiel zawsze puszczał mnie pierwszą przez drzwi i elegancko całował w rękę. Myślę, że było w tym coś charakterystycznego: ci obcesowo traktujący mnie księża pewnie nie do końca przemyśleli swoje relacje z kobietami; bali się ich, traktując je jak zagrożenie. Oczywiście problem nie był w kobietach, tylko w nich samych.

W związku z powyższym skończyłam tę pracę. Wynajęłyśmy wraz z Tamarą poddasze w Zielonce pod Warszawą. Bez ogrzewania, wody, z toaletą na dole. Tamara zatrudniła się na poczcie...

- *Chwileczkę, bo na scenie wreszcie pojawia się Tamara. Jak się poznałyście?*

- Tamara przyjechała za mną z Ostrowca – chcieliśmy coś robić razem. A jak się poznałyśmy? Tego już nie pamiętam. Ona twierdzi, że to było jakoś przypadkowo: zderzyłyśmy się na drodze, któraś zażartowała... Na pewno była wówczas daleko od Kościoła, ale miała ogromną zdolność do miłości i wielką chęć naprawienia świata. Do dziś jest niezwykle wyczulona na zło i ma charyzmat do kochania bliźnich, w sposób tak bardzo kobiecy, delikatny. W Szewnej mieszkała niedaleko i bardzo często odwiedzała mnie u małych sióstr. Przynosiła warzywa ze swojego ogrodu i kiedy ja wyjechałam do Warszawy, postanowiła pójść ze mną.

Zupełnie nie miałyśmy pomysłu, co robić, poza tym, że najpierw musiałyśmy przeżyć. Tamara trafiła na tę pocztę, a ja zostałam sprzątaczką u piekarza, co mi o wiele bardziej odpowiadało niż klasztor męski. Atmosfera była normalna, pomocnicy piekarza usiłovali mnie podszczypywać, ale dałam jednemu w pysk, więc nabrali do mnie ogromnego szacunku. Czułam się jak rybka w wodzie, ale była to bardzo ciężka praca, której ze względu na chory kręgosłup nie mogłam długo wykonywać. Chciałam więc zostać katechetką, szukałam wszędzie i w końcu przypomniałam sobie o księdzu, którego znałam jeszcze z Lasek – Stanisławie Hoince. Poszłam do niego i zapytałam, czy nie miałby jakiejś roboty. Jak mnie zobaczył, zatarł ręczki i powiedział, że miałby.

Ksiądz Hoinka był wówczas duszpasterzem niewidomych i borykał się z wielkim problemem. Wśród jego przyjaciół niewidomych było wiele osób starszych, schorowanych, samotnych, często wręcz umierających z głodu – bo nie miał kto im dać jeść. On woził tym ludziom obiady, ale sam nie był w stanie wszystkich obsłużyć. Tym bardziej, że należała do niego nie tylko posługa sakramentalna, ale też mnóstwo innych obowiązków: nagrywał Pismo św. na kasyety, namawiając zresztą do tego aktorów (stąd moja znajomość z niektórymi, np. z Maciejem Rayzacherem); robił wspaniałe rzeczy w niezwykle prymitywnych warunkach. Zgodziliśmy się, zapłata była zresztą niezwykle skromna, pozwalająca na przeżycie (czasem dostawałam jeszcze coś z darów – to było na Pivnej, gdzie mieścił się Komitet Prymasowski i gdzie dożywiano mnie po przyjaźni).

Gdy zaczęło się na dobre, okazało się, że to jest praca dla dwóch, więc Tamara rzuciła swoją idiotyczną pracę na poczcie i przeniosłyśmy się do Warszawy, do takiej niewidomej pani, u której w zamian za pomoc miałyśmy pokój. Tamara miała większy dar do pracy z młodszymi niewidomymi, często samotnymi, zagubionymi, ale towarzyszyła mi też w moich odwiedzinach u starszych – nieraz chorych psychicznie, bardzo trudnych w kontakcie. I tak to trwało bardzo pięknie parę lat. Organizowałyśmy kolonie dla dzieci z rodzin niewidomych, przy współudziale kleryków, a także Maćka Rayzachera...

- *A co na to Mama?*

- Doszła do wniosku, że musi akceptować wszystkie moje szaleństwa i dzielnie je akceptowała. Jeździła na te kolonie, prała majtki, pieluchy (bo brałyśmy także niemowlęta); występowała jako główna babcia kolonijna. Jeździłyśmy albo do Ostrowca, albo do Marek pod Warszawą, gdzie KIK miał jakąś chałupę, albo w góry, gdzie coś wykombinował Maciek. Niektórzy z tamtych kleryków są dziś świetnymi księż-

mi, z którymi bardzo się przyjaźnię. Żeby pojechać opiekować się małymi dziećmi, trzeba było naprawdę chcieć. Chwały zewnętrznej nie przynosiło to żadnej, a pracy było mnóstwo.

A potem wyleciałyśmy z hukiem z duszpasterstwa. Na Piwnej zmieniła się matka generalna i nowa generalna robiła porządki – zaczęła od robienia porządku z nami... Poprosiła zarówno Komitet Prymasowski, jak i duszpasterstwo niewidomych, o ograniczenie kontaktów zewnętrznych. To było drugie piętro klasztoru, a tu ciągle tłum ludzi – uznała, że mieszanie świeckości z zakonnością nie może mieć miejsca. Problem był niezwykle delikatny i rozumiem, że mogłyśmy działać komuś na nerwy: oto dwie świeckie dziewczyny, w dodatku nie zawsze mające buzie w ciup, robią rzeczy zastrzeżone dla osób w habitach. Ten sam problem, który wynika w tej chwili z usytuowaniem mojej osoby wobec tradycyjnych zgromadzeń zakonnych. Niemożność zrozumienia, że każdy ma swoje powołanie i że mandatu na dobre uczynki nie ma tylko jedno zgromadzenie.

Ksiądz Hoinka został zmuszony do dania nam wypowiedzenia. I wtedy po raz pierwszy i ostatni w życiu miałam proroczy sen. Wyjechałyśmy z Tamarą w końcu sierpnia na urlop – wreszcie. Wakacje zawsze były najtrudniejsze, bo nasi wolontariusze szli na pielgrzymki i chorzy zostawali bez opieki. Pamiętam, że raz nawet mówiłam o tym przy okazji wizyty Matki Teresy na Piwnej. Kościół wypełniony po brzegi, ona mówi: „Kalkuta jest tutaj”, więc zdobyłam się na odwagę, wzięłam mikrofon i powiedziałam, że jest okazja, żeby pomóc. Na kilkaset osób obecnych w kościele zgłosiło się parę...

Tym razem jednak udało się nam wyjechać. Ostatniego dnia przed końcem urlopu Tamara obudziła mnie rano, bo trzeba było pędzić do pociągu, a ja byłam na nią wściekła – miałam sen i to sen realistyczny, co jest niezwykle, bo mnie się nigdy nic nie śni. Śniło mi się, że wyrzucają nas z Piwnej, że nie wolno nam się widywać z księdzem Hoinką, ale dostajemy jakiś dom w górach koło Zawoi. Tylko, że koło domu jest przepaść i ja postanawiam zbudować nad nią most. Ktoś przerzuca jedną belkę, która nie dosięga do drugiego końca przepaści. Ale ja zaczynam iść po tej belce... i w tym momencie obudziła mnie Tamara.

Nie wiedziała, czemu jestem taka wściekła, więc opowiedziałam jej sen. Na zasadzie anegdoty, bo w zasadzie nie wierzę w sny. Ale dzień później znalazłyśmy się w Warszawie i ksiądz Hoinka powiedział nam, że nas wyrzucają. A potem rzeczywiście dostałyśmy dom w okolicach Zawoi.

- *A co z belką?*

- Ja sobie tłumaczę to tak: „nie wiesz, Małgosiu, dokąd cię ta droga zaprowadzi”. Bo nie wiem...

Piwna to był bardzo ważny etap, który nam Pan Bóg wyznaczył. Staraliśmy się z Tamarą dużo modlić, często chodziłyśmy na adorację do kościoła jezuitów, co – myślę – też wprawiało niektóre siostry w zdziwienie. No bo tego już za wiele, a Tamara w dodatku zawsze była bardzo ładna i świetnie się ubierała (w dodatku z byle czego, pamiętam, jak mój brat przyniósł nam kiedyś swój stary ślubny garnitur – Tamarze było w nim świetnie i pani z furty na Piwnej mówiła, że Tamara zawsze taka elegancka). Więc fakt, że walała na tą adorację nie w worku pokutnym, tylko w czerwonej, wesołej sukience, też był irytu-

jący. Pamiętam, jak taka babcia, chora psychicznie, która świetnie widziała, ale twierdziła, że jest niewidoma, na widok czerwonej spódnicy Tamary oniemiała do tego stopnia, że wszystko się wydało.

Ale to wtedy, w duszpasterstwie nauczyliśmy się tego, że jeśli się poda komuś rękę i powie mu: nie jesteś samotny, bo masz w nas przyjaciół, to musi to być naprawdę. Zaczęliśmy rozumieć, co to znaczy kochać człowieka i być wiernym w tej miłości.

- „*Jesteś odpowiedzialny za to, co oswoiłeś*” – tłumaczył Lisek Małemu Księciu.

- Dokładnie tak. Stałyśmy się dla tych ludzi jedynymi przyjaciółmi i często to my odprowadzałyśmy ich na cmentarz. Z tym zresztą wiąże się zabawna historia. Opiekowałam się umierającą na raka ciotką Maćka Rayzachera w Berlinie Zachodnim (wzięłam sobie urlop z duszpasterstwa, żeby zarobić trochę pieniędzy i móc wesprzeć moją wychowankę) i ta pani zmarła w mojej obecności. Pochowano ją w Warszawie, Mszę odprawiał ks. Hoinka, który – pewnie na życzenie rodziny, chcącej podziękować mi za opiekę – palnął, że ten dzisiejszy pogrzeb jest moją zasługą (*śmiech*). Konsternacja i śmiech był powszechny.

Były i inne prześmieszne historie. Znałyśmy dwóch panów Stefanów. Jeden z nich, uroczy człowiek, któremu woziliśmy posiłki, bardzo zaprzyjaźnił się z Tamarą i prosił ją, by pochowała go trzy dni po śmierci, bo bał się, żeby nie być w letargu. Ale zanim wiadomość o jego śmierci do nas dotarła, to jego rodzina szybciotko urządziła pogrzeb, żeby przejąć mieszkanie (oczywiście za życia Stefana nawet palcem nie kiwnęła, żeby się nim zająć). Parę dni później wchodzimy na Piwną, przy furcie siedzi siostra przy telefonie i mówi: pani Tamaro, pan Stefan do pani dzwoni. Zanim sobie uświadomiła istnienie drugiego pana Stefana było z nią kiepsko.

Na Bednarskiej mieszkała uroczą starsza pani, którą żywcem zżerały pluskwy. Hodowała gołębie, my walczyłyśmy z tymi pluskwami, a ona opowiadała nam swój życiorys. Była śpiewaczką operową, mąż – oficer wojska polskiego – zginął w czasie wojny, ale zdaje się, że ona za bardzo po nim nie płakała. Opowiadała, że po jednym z przedstawień, mąż był wtedy w delegacji, pojawił się na scenie wielbiciel z koszem kwiatów, następnie zaproponował, że odwiezie ją do domu, odwiózł, męża nie było, więc wszedł na górę, zaczął rozmowę, a następnie wysunął dalsze propozycje. I ona... odmówiła. „I wiesz co Tamarka? Tak naprawdę, to do dzisiaj żałuję”. (*śmiech*) Miała ponad 80 lat i wspominała historię grubo sprzed wojny.

- *Ale nagle musiałyście tych ludzi opuścić.*

- I to było straszne. Próbowaliśmy negocjować z matką generalną, tłumacząc jej, że ci ludzie zostaną bez opieki, a my bez żadnej bazy materialnej też nie damy rady z taką działalnością. Ale to nie był żaden argument i negocjacje do niczego nie doprowadziły.

Obie się pochorowałyśmy, zwłaszcza, że było to załatwione w sposób bardzo brzydki. Oskarżano nas, że do naszego wielkiego przyjaciela pana Adama, który ważył ponad sto kilo, przyprowadzałyśmy homoseksualistów – a ja po prostu prosiłam mojego brata, albo Maćka Rayzachera o pomoc przy podniesieniu

pana Adama do mycia. A kiedyś, gdy przyszedłam do księdza Hoinki do spowiedzi, spytałam na furcie, czy mogę wejść na górę, odpowiedziano mi: „nie, bo potem giną rzeczy”. Poczułam się jak spoliczkowana i do tej pory myślę, że nas skrzywdzono.

Znowu znalazłyśmy się bez środków do życia, więc aby przeżyć, zaangażowałyśmy się do prywatnej agencji opiekuńczej, gdzie zajmowałyśmy się dziećmi i starszankami, tym razem za pieniądze. Tamarę od dawna poruszał widok bezdomnych, którzy przychodzili na Piwną i przesiadywali w kościołach – u jezuitów, w katedrze, aż do ostatniej Mszy. Myślałyśmy, co tu dla nich zrobić, ale dzięki Maćkowi Rayzacherowi udało się nam nawiązać kontakt z młodym człowiekiem, wychowawcą grupy kobiet, przebywających w areszcie na Rakowieckiej. Zasadniczo to męskie więzienie, areszt śledczy, ale była tam grupa kobiet z wyrokami, które trzymano do jakichś prac, a którymi zajmował się wspaniały, zwłaszcza jak na owe czasy, wychowawca. Dzięki niemu panie nie musiały chodzić w więziennych uniformach, tylko w swoich własnych ubraniach. Dzięki niemu, jako przedstawicielki bodaj Ligi Kobiet, mogłyśmy wejść do więzienia i trochę pomóc tym dziewczynom. Zorganizowałyśmy nawet wycieczkę na Zamek Królewski, to był Wielki Tydzień i stawałam na głowie, żeby przy okazji umożliwić im kontakt z kapłanem (wtedy jeszcze nie było kapelanów więziennych). Nie znalazłam niestety nikogo, kto chciałby podjąć ryzyko.

Panie siedziały tam w strasznych warunkach, w piwnicy, w sali trzydziestoosobowej. Kiedy wychodziły na przepustkę, bardzo krótką, zazwyczaj nie miały dokąd pójść, więc brałyśmy je do mamy do mieszkania, albo do kawiarni, żeby choć przez chwilę miały kontakt z normalnym światem. Później jedna, dwudziestoletnia dziewczyna, która dostała warunkowe zwolnienie, jakiś czas mieszkała z nami. Miała mamę alkoholicką, ojca zboczeńca, a sama w śledztwie przesiedziała osiem miesięcy w ciemnej celi, więc była półnormalna. U nas podjęła pracę, a potem przeniosła się do swojego chłopaka, co się niestety źle skończyło, bo okazał się być łobuzem...

Próbowaliśmy zaczepić się o powstające wówczas duszpasterstwo więźniów na Deotymy, ale ks. Sikorski nie zgodził się na udostępnienie nam salki w sobotę na to picie kawy. Przystawiałyśmy też wyrabiać fizycznie, bo nocami cały czas wynajmowałyśmy się jako te opiekunki. I wtedy znowu przyszedł z pomocą Maciek Rayzacher, który skontaktował nas z Zofią Romaszewską.

Pani Zofia miała jakieś „solidarnościowe” pieniądze dla tych, którzy zajmują się więźniami i po dłuższej rozmowie przyznała nam stypendium, które pozwoliło nam zrezygnować z nocnych dyżurów i zacząć myśleć o zorganizowaniu domu dla bezdomnych kobiet. Trwało to dość długo, spotkałyśmy ks. Orlikowskiego, pallotyna, który odprawiał Msze u sióstr Matki Teresy z Kalkuty, nie brzydził się bezdomnymi i też chciał coś dla nich zrobić i w parę osób założyliśmy Katolickie Stowarzyszenie Pracy i Nadziei. Był rok 1989. Ks. Orlikowski kupił dom w Pieńkach pod Warszawą, przy trasie katowickiej, zebrał tam bezdomnych, ale dojeżdżał do nich co parę dni, więc zaraz wszyscy byli pijani. Postanowiłyśmy przenieść się tam na lato i poprowadzić ten dom. Miałyśmy już na tyle rozumu, żeby wynająć sobie pokój u sołtysa, ale całe dni spędzaliśmy z nimi. Włos nam z głowy nie spadł, choć wszystko to byli

ludzie dość przerażający (dziś na szczęście takich już nie ma), którzy wcześniej mieszkali w kanałach: oprócz paru schronisk Towarzystwa Pomocy im. Brata Alberta nie było miejsc, gdzie bezdomni mogliby pójść.

A wreszcie, jakimś cudem dowiedziałyśmy się, że siostry zmartwychwstanki opuszczają dom w Bulowicach. I przy pomocy Maćka Rayzachera i Ksawerego Jasieńskiego (lektora radiowego, którego siostra była matką generalną zmartwychwstanków, zaprzyjaźnionego z księdzem Hoinką i nagrywającego z nim książki dla niewidomych), rozpoczęłyśmy negocjacje. Jednocześnie dostałyśmy zaproszenie do Belgii, gdzie miałyśmy poznać kilka ośrodków zajmujących się bezdomnymi. Niedługo przed wyjazdem miałyśmy konferencję dla pracowników socjalnych na Pradze, o naszej pracy wśród kobiet w zakładzie karnym. Po tej konferencji podszedł do mnie młody chłopak i powiedział: a wiecie co, tutaj mam coś, co może was zainteresować. I podał nam adres Wspólnoty Chleb Życia.

- *Czy był to anioł?*

- Być może. W każdym razie napisałam do Wspólnoty i tuż przed wyjazdem dostałam odpowiedź. Marie-Annick, żona Pascala, napisała, że będzie w Belgii w tym samym czasie, co my.

- *A co było w tym waszym pierwszym liście?*

- Parę słów. Że interesuje nas, co robi Wspólnota Chleb Życia i że chcemy założyć dom dla bezdomnych. Nic więcej, a zwłaszcza żadnych deklaracji, bo kompletnie nie wiedziałam, do kogo piszę. Spotkałyśmy się z Marie-Annick, która od razu chciała nas wziąć do Francji. Wtedy jednak potrzebne były zaproszenia, a poza tym byłyśmy z Tamarą „gołe i wesołe” – przyjechałyśmy do Belgii z ks. Orlikowskim i nie miałyśmy pieniędzy na dalsze podróże. Wróciłyśmy więc do Polski i dopiero wtedy mogłyśmy skorzystać z zaproszenia Wspólnoty, która także opłaciła nam podróż. (A w tym czasie Maciek wciąż negocjował z siostrami zmartwychwstankami.) Pojechaliśmy do Normandii, gdzie w Sommervieu jest dom generalny Wspólnoty – w życiu nie było mi tak zimno, jak tam... W sąsiednim pokoju umieszczono Węgrów, co świetnie pokazuje geograficzną i polityczną świadomość naszych kochanych braci i sióstr: uznali, że jesteśmy prawie z tego samego kraju, więc się dogadamy. Byłyśmy tam czas jakiś, zwiedzając domy Wspólnoty. Odwiedziłyśmy Lisieux, gdzie jest noclegownia dla mężczyzn, i modliłyśmy się przy grobie św. Teresy od Dzieciątka Jezus o trzy rzeczy. Wspólnota opłaciła nam podróż, ale nie dała kieszonkowego (bo z jakiej racji?), więc prosiłyśmy o papierosy, kartkę pocztową, którą chcieliśmy wysłać do naszego przyjaciela Adama, i o dom. Wróciłyśmy do schroniska i po obiedzie jeden z mieszkańców, który wcześniej widział nas w Sommervieu, powiedział: „a, wy palicie papierosy, pewnie nie macie”, po czym dał nam paczkę marlboro. Za chwilę podszedł drugi: „chciałbym coś wam podarować, ale nie mam co, może przyjmiecie tę kartkę z Lisieux?”. Jeszcze nie kojarząc tych faktów, poprosiłam przełożonego o pozwolenie zadzwonienia do Polski, do Maćka. A ten mówi: „świetnie, że dzwonisz, nie mogłem cię namierzyć, siostry zgodziły się odstąpić dom”.

Natychmiast wróciliśmy do Polski, umawiając się z Pascalem, że teraz on przyjedzie, a my zorganizujemy mu jakieś spotkania (przyjechał i wygłosił konferencje w Krakowie i Warszawie). Dom w Bulowicach był jeszcze kompletnie pusty. Pieniądze na rozruch – chyba sto dolarów – dała nam znowu pani Zofia Romaszewska. W mieszkaniu mojej mamy zrobił się magazyn rzeczy używanych, żeby mieć jakieś koce, garnki, pościel, cokolwiek. Udało się załatwić jakiś transport – bo organizujący się przy kościele św. Stanisława Kostki Caritas miał furgonetkę, nie chciał nam wprawdzie dać, ale brat kierowcy miał do odebrania lodówkę w Krakowie (wtedy takie rzeczy się jeszcze załatwiało) i nie chciał płacić za benzynę, więc zawarliśmy układ – my benzyna, oni nam zawiozą rzeczy. I pamiętam, że po potwornym lodzie, w strasznym śniegu, przywieźli rzeczy i można było się urządzać. Pacjenci z pobliskiego zakładu odwykowego szpitala psychiatrycznego pomalowali nam ściany, zresztą na koszmarny niebieski kolor. Ksiądz, którego poznałyśmy po drodze, przywiózł nam kapustę. Ktoś podrzucił nam sławne suszone włoskie mięso z darów. Byłyśmy w miarę gotowe na przyjęcie pierwszych ludzi.

Kończył się rok 1989, więc spodziewałyśmy się amnestii. A po amnestii, po Nowym Roku, musiało być wielu ludzi poszukujących dachu nad głową. Spieszyłyśmy się, żeby zdążyć przed Bożym Narodzeniem. Z Mackiem Rayzacherem zrobiłyśmy, chyba pierwszą w Polsce, wigilię dla ludzi bezdomnych – na Dworcu Centralnym w Warszawie. Nie wiem, skąd Maciek wykombinował jakieś pieniądze, akurat były wydarzenia w Rumunii – fatalny moment, bo jedną nogą był u nas, a drugą przy ładowaniu transportów z pomocą. Na górze, nad kasami był wtedy jeszcze bar – umówiłyśmy się z paniami, które go prowadziły, że w pewnym momencie odstąpią nam część stolików, my zamówimy dania, ogłosimy przez megafony i... zobaczymy, co dalej. Panie były fantastyczne, przykryły stoliki białymi obrusami, ustawiły choinkę, Maciek przyniósł opłatki, ogłosiliśmy przez megafony, po czym... pojawiło się ponad sto osób. Ludzie płakali, mówili, że od lat nie jedli na białym obrusie, podzieliliśmy się opłatkiem, śpiewaliśmy kolędy, aż w pewnym momencie zabrakło nam pieniędzy na jedzenie i trzeba było zwinąć interes. Ale to wtedy ogłosiliśmy, że są Bulowice i że przyjmujemy tam kobiety. Po czym, nie jadąc już na wigilię do mojej rodziny posprzątałyśmy i pojechałyśmy do Bulowic. A następnego dnia do furtki zapukały dwie osoby: mężczyzna i kobieta.

- *Miały być tylko kobiety.*

- Ale okazało się, że oni są związani ze sobą długo, oboje bezdomni – on się nią opiekował od lat. Jak tu nie przyjąć? Przyjęliśmy więc oboje, choć – ponieważ nie było to małżeństwo – zastrzegłyśmy sobie przytomnie, że nie mogą mieszkać razem. Zgodzili się, potem zresztą przyjechali z nami do Warszawy, w końcu ona dostała mieszkanie, pobrali się... Bardzo szybko po nich zaczęli napływać inni.

- *Z opowieści Siostry wynika, że kilkakrotnie traciliście wszystko i musieliście zaczynać wszystko od nowa. Każdy normalny człowiek dawno by się załamał...*

- Źródłem siły na pewno był Pan Bóg. I choć to nie oznacza, że nie cierpiałymy, to każde wydarzenie starałyśmy się odczytać jako Jego wolę. To nie jest, rzecz jasna, tak, że jak ktoś bije mnie po twarzy, to

robi mi dobrze, bo uczy mnie cnoty pokory i cierpliwości. Ale jeśli już mnie bije, to mogę choć próbować to wykorzystać, żeby zrobić następny krok w kierunku Chrystusa. A tym, który mnie bije, Pan Bóg pewnie jakoś się zajmie.

- *Strasznie dużo dojrzałości potrzeba do takiej postawy.*

- No ale też dojrzewanie polega na pokonywaniu się w takich sprawach.

- *To wtedy, w Bulowicach, pojawił się Artur...*

- Najpierw trafiła do nas jego matka, oczywiście bezdomna. Potem zeznała, że ma dziecko w domu dziecka, odebrała je i dziecko okazało się być chore – choć na początku trudno było ocenić, do jakiego stopnia, bo po pierwsze, było cały czas z matką, po drugie – miało już za sobą dwa długie pobyty w domu dziecka (co nigdy dobrze nie robi), gdzie trafiało, odbierane pijanej matce przez policję. Nie mówiło, nie było z nim kontaktu, ale że dzieci w podobnej sytuacji było bardzo dużo, więc się specjalnie mu nie przyglądałam.

Potem oboje zniknęli. Ze względu na Artura, zaczęliśmy ich szukać. Mieszkańcy powiedzieli mi, że pani nawiedza meliny w okolicznym miasteczku, ktoś nawet powiedział mi, gdzie dokładnie. Znaleźliśmy go.

- *Jak to wyglądało?*

- Strasznie. Leżał naguteńki, z pijanym mężczyzną w jednym zarzyganym łóżku, koło wygasłego piecyka, gdzie ktoś po pijanemu próbował wysuszyć jego ubranie, ale tylko je spalił. Artur był wystraszony, głodny, zmarznięty. Towarzyszący nam policjant, wstrząśnięty, oddał mi go. Przyjechałam z nim do domu, nakarmiliśmy go i ubraliśmy, a potem zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej. Trochę czekałam na to, że matka wróci, ale nie wracała. A tymczasem dzieciak się do mnie przykleił, dalej wystraszony, nie odstępował mnie ani na krok. Zresztą był jeszcze bardzo malutki – nawet jak na swoje trzy lata – i cały czas nosiłam go na rękach.

Nie chciałam brać go na stałe, bo wiedziałam, czym to pachnie. Nie wiedziałam wprawdzie, że jest aż tak bardzo chory, ale wiedziałam, czym jest w ogóle opieka nad dzieckiem – pracy mieliśmy mnóstwo, a tu zobowiązanie do końca życia. Zrobiliśmy wielką naradę z mieszkańcami: wszyscy Artura bardzo polubili i nikt nie chciał podnieść ręki za oddaniem go do domu dziecka. Powiedziałam więc, że jeżeli mi pomogą, to ja to dziecko wezmę.

- *Nie próbowaliście ponownie oddać go matce?*

- Kiedy skończyło się jej piękne życie na melinie, mniej więcej po miesiącu, wielce skruszona i z płaczem przyszła do nas. Dałam jej szansę: powiedziałam, że jeżeli Artur ją zaakceptuje, zostanie w domu i będzie go wychowywać pod moim kierunkiem. Ale kiedy pokazałam ją Arturowi, zaczął straszliwie krzyczeć i się we mnie wtulił.

Postanowiłam spróbować inaczej: wysłałam ją do schroniska dla kobiet w Krakowie, prowadzonego przez siostry albertynki, gdzie miała zostać rok i znaleźć pracę – obiecałam, że jeżeli będzie się zach-

wywać przyzwoicie, a do tego będzie odwiedzała dziecko, to ja jej dziecko oddam. W międzyczasie wystąpiłam o rodzinę zastępczą – musiałam mieć tytuł prawny do opieki nad obcym dzieckiem, ona zresztą wyraziła na to zgodę i nawet była na tej rozprawie. Wtedy, w sądzie w Oświęcimiu, widziałam ją ostatni raz – popłynęła od sióstr albertynek i ślad po niej zaginął.

Artur miał babkę cioteczną, staruszkę (nie wiem, czy jeszcze żyje): prostą, bardzo dobrą kobietę, która póki mogła, to do niego przyjeżdżała. Ona zresztą wychowywała trochę matkę Artura, która też była w domu dziecka, bo z kolei jej matka bardzo wczesnie zmarła. Ale Ewa nie chciała mieszkać u ciotki, nie chciała jej słuchać i wszystko skończyło się fiaskiem.

- *Czy Siostra należała już wtedy do Wspólnoty?*

- Tak. No ale cóż Wspólnota może w takim wypadku powiedzieć? W Ewangelii jest napisane jasno: wszystko, co uczyniliście... A nasza reguła nie zabrania przygarnięcia dzieci, będących w trudnej sytuacji. My jesteśmy m.in. po to. Zwykle robią to rodziny, bo naturalnym miejscem, gdzie dziecko powinno się chować, jest pełna rodzina. W przypadku Artura sąd jednak nie miał obiekcji, bo Artur był zbyt chory, żeby sąd się przejmował brakiem pełnej rodziny zastępczej.

Po dwóch latach, już w Warszawie, sąd odebrał matce prawa rodzicielskie i ustanowił mnie opiekunem prawnym, a to z tej przyczyny, że matka się nie pojawiała, a ja, tylko jako rodzina zastępcza, nie mogłam wielu rzeczy zrobić – np. nie mogłam mu wyrobić paszportu. W tej chwili więc jestem jego opiekunem prawnym i rodziną zastępczą.

- *Ale nie adoptowała go Siostra.*

- Nie. I nie ukrywam, że nie zdecydowałam się z przyczyn finansowych. Jako rodzina zastępcza dostaję od państwa zasiłek na jego wychowanie, który traktuję jako jego pieniądze. Nie jest tego wcale mało, bo 100 proc. średniej krajowej, ale też tyle to kosztuje. Artur jest dzieckiem chorym; trzeba kupować mu leki i próbować zapewnić minimum komfortu.

- *Pytanie nieuniknione: czy można zapewnić minimum komfortu w ośrodku dla bezdomnych? W takim stresie, zalataniu, przy częstych awanturach...*

- Staram się. Przede wszystkim: długo uczyliśmy się kochać. To nie było łatwe, ani dla Artura, ani dla mnie, ale myślę, że się kochamy. Artur ma coś, co ja nazywam „trzecią inteligencją”. On wiele rzeczy wie. Wiele rozumie. Nie jest to matematyka, fizyka i język polski, ale codzienne życie i sfera uczuć.

Przyjście Artura to było kolejne wyzwanie. Pan Bóg postawił go na mojej drodze, żebym się nauczyła kochać – kochać kogoś takim, jakim jest, a równocześnie uruchomić całą wyobraźnię i inteligencję, żeby do niego dotrzeć. Żeby go zaakceptować w jego inności. On jest inny niż inni, wiem to, choć nie oznacza to, że się na niego nie złościę czy że go nie karam. Jak w normalnej rodzinie.

Co mogę jeszcze powiedzieć? Nie wyobrażam sobie życia bez Artura. On jest częścią mnie.

- *Kiedy zachorował?*

- Gdy go poznałam, był niewątpliwie dzieckiem autystycznym. Nie było z nim kontaktu, załatwiał się pod siebie, na nic nie reagował. Nie spodziewałam się, że będzie mówił. Przez dwa, trzy lata jadł wyłącznie chleb z miodem, do tego pokrojony w drobną kosteczkę. Jeśli nie było miodu, była dzika awantura. Artur, jak każde dziecko autystyczne, pewne rzeczy ma niejako zaprogramowane. Więc wszędzie ze sobą nosiłam miód – nawet wozilałam miód za granicę. Teraz od paru lat ćwiczymy „kakałko”. Je już wszystko, ale bez względu na porę dnia i nocy, musi też mieć „kakałko”. I nie daj Boże, żeby nie miał. Wszystko to są rzeczy uciążliwe i trudne: jestem zmęczona i znerwicowana między innymi dlatego, że jest Artur. A że jest jeszcze epileptykiem i ataki ma głównie w nocy, więc o spaniu nie ma mowy. Usiłuję go leczyć od lat, może teraz jest trochę lepiej niż w czasie, kiedy zaczynaliśmy te rozmowy. Ataki są dużo słabsze i zdarzają się rzadziej.

- *Pamiętam, że podczas jednej z pierwszych rozmów mówiła Siostra, że Artur może długo nie pożyć.*

- Bo do zeszłego roku ataki miał straszliwie często i bardzo ciężkie: nawet kilka dni z rzędu i po kilka w ciągu nocy. A po takiej nocy ataków, oczywiście jak każdy kto nie spał, jest w złym humorze i też się męczy.

Długo nie rozpoznawano, że to jest padaczka. Żeby było śmieszniej: to mój umierający ojciec, kiedy mu o tym opowiadałam, nie widząc Artura, powiedział „przecież to jest epilepsja”. Ponieważ nikt go nie chciał przyjąć do szpitala, a ataki były wyłącznie w nocy, nagraliśmy któryś na taśmę wideo i neurolog wreszcie stwierdził oczywisty fakt.

- *A wcześniej?*

- Jeszcze w domu dziecka mówiono o „bezdechu” i „drgawkach”.

- *A wiedziała Siostra, co robić, gdy się zaczęły?*

- Nie. Szczerze mówiąc początkowo, jeszcze w Bulowicach, lekceważyliśmy to trochę. Artur miał czasem drgawki, które przechodziły po paru minutach. Dopiero w Warszawie, gdy dostał bardzo silnego ataku z bezdechem, wezwałam pogotowie. I potem wzywałam je coraz częściej, a gdy zorientowałam się, że to padaczka, to wzywałam lub nie wzywałam – miał już leki, które dostawał. To zresztą skomplikowana sprawa i gdybym mogła, wiele mogłabym mówić niepocholebnych rzeczy o polskiej służbie zdrowia, jej podejściu np. do leczenia dziecka „spisanego na straty”.

- *Rozumiem, że Siostra nie może. Zapytam więc o to, jak Artur uczył się kochać Siostrę.*

- Bardzo pilnie mnie obserwował i obserwuje. Zna mnie tak dokładnie, że zanim ja pomyślę, że chcę zapalić, on już szuka papierosów i zapalniczki. Przewiduje, że za chwilę wyjadę. Jak jestem chora, przychodzi się mną opiekować... A dlaczego akurat do mnie przyłgnał, nie wiem. Wtedy w Bulowicach było parę osób.

Artur jest moją szkołą cierpliwości i szkołą miłości. Teraz jest dużo łatwiej, bo jest większy i bardziej samodzielny. Dawniej oprócz Tamary, praktycznie nikt nie podejmował się zostać z nim na chwilę. Trudno się dziwić: dwukrotnie próbował np. wyjść przez okno – raz z czwartego, raz z drugiego piętra;

czasem siadał po prostu na środku jezdni, trzeba było go mieć bez przerwy na oku: nałykał się leków, wypił naftę z lampki w kaplicy, na widok jakiegokolwiek wody – staw czy bajoro, lato czy zima – rzucał się do niej natychmiast, w ubraniu. Miał i ma różne pomysły.

- *No właśnie: z jednej strony jest coraz bardziej samodzielny, z drugiej jednak, coraz bardziej niebezpieczny.*

- Jest duży i silny, więc zwracam baczną uwagę na jakiegokolwiek przejawy agresji z jego strony. Artur, choć chory, również jest wychowywany – także do tego, żeby mówił przepraszam i dziękuję, jak każde dziecko. Natomiast od kiedy zaczął się ze mną szarpać w samochodzie i złamał mi nogę, zabrałam się za niego ostrzej. Niestety z nim trzeba bardzo stanowczo i bardzo twardo. Bo jeśli nie, to trafi do zakładu, gdzie będzie siedział na zastrzykach i kiwał się w kącie. Robię wszystko, żeby do tego nie doszło.

- *A można go pohamować?*

- Nie wiem. Próbuję. Wczoraj np. był w złym humorze i zabierał się do awantury, wrywał kontakt ze ścianą (stałe numery), zapytałam go więc, czy pamięta, jak mi złamał nogę i czy chce jeszcze raz? Trochę się zastanowił, ale musiałam jeszcze parę razy walnąć paskiem o szafę, żeby mu pokazać, że to nie żarty.

- *Surowa mina nie wystarczy?*

- Nie zawsze.

- *Czasem trzeba go uderzyć?*

- Czasem trzeba, choć staram się tego nie robić. Zamykam go na chwilę do łazienki i czekam, aż się uspokoi. Z tym, że on się do tej łazienki tak łatwo wciągnąć nie da... Dawniej go wnosłam, ale dziś jest już silniejszy ode mnie i muszę próbować z zaskoczenia. Czasem stosuję lekki prysznic z zimnej wody, choćby jeden kubek. No i pasek o szafę – wtedy on czuje, że za chwilę może być nie szafa, tylko jego pupa. I to na ogół skutkuje.

Kłopoty z Arturem to także jego zdolności niszczycielskie. Papiery, książki, nic się przy nim nie uchowa, bo znajdzie nawet najgłębiej schowane klucze od biurka. Wszystko wrzuca do plastikowych butelek po napojach. Jak złapie taką butelkę, to żeby tam było pięć litrów wody czy coli, wylewa je do zlewu (wie, że do pełnej nie może wrzucać) i wkłada: wszystko, co jest pod ręką i ma szansę się zmieścić. Kłasykne zachowanie autystyka: układanie, porządkowanie, zbieranie i przywiązywanie się do przedmiotów.

Nie wiem, jaka będzie jego przyszłość. Naprawdę, robię wszystko, żeby mógł funkcjonować sam, a nie w jakimś zamkniętym zakładzie. Póki żyję, na pewno do tego nie dojdzie. Póki żyję. No, ale to jest klasyczny problem rodziców dzieci upośledzonych...

- *Problem z Arturem polega też na tym, że nawet nie będąc agresywny, może komuś zrobić krzywdę. Ścisła dłoń z całej siły, wykręca palce...*

- Jego wybuchy agresji mają miejsce wtedy, kiedy mu się czegoś zabroni, albo czemuś przeciwstawi – np. nie da tego, co chce mieć natychmiast. Ale wtedy wystarczy się odsunąć na metr. Bo on już nie biegnie za człowiekiem, po prostu kopie na około.

W trakcie zabawy rzeczywiście może być nieprzewidywalny. Ale wiele rzeczy już rozumie. Wie, że jeżeli wjedzie mi rowerem w samochód, będzie awantura. Więc kiedy podjeżdżam samochodem do Brwinowa, wylatuje Artur i tak długo mi piszczy nad uchem, żebym przesunęła samochód (bo jego zdaniem ustawiłam go na jego trasie rowerowej) aż to zrobię, i wtedy on spokojnie jeździ dalej.

- *Podobno lekarze nie tylko nie rozpoznali padaczki, ale także autyzmu.*

- Owszem. I o padaczce, i o autyzmie, powiedziałam im ja. Upośledzenie umysłowe stwierdzili sami (*śmiech*). Wielu rodziców dzieci specjalnej troski ma ten sam problem. Bo gdyby dziecko było wzięte na jakiś oddział, gdzie byłoby przez tydzień obserwowane, nawet z rodzicem, w życzliwej atmosferze, ale dzień i noc... A tu jest tak: pana neurologa nie interesują zaburzenia psychiczne Artura, pana psychologa interesuje tylko poziom intelektu, każdy jest w innej części Warszawy, a nawet województwa. Jak dziecko się źle zachowuje, to wylatuje z oddziału neurologicznego. Jak pójdzie na oddział psychiatryczny, nie będą się zajmowali padaczką.

- *To może jednak porozmawiamy o tym „spisywaniu na straty”?*

- Niedawno powiedział mi lekarz: no, czego siostra wymaga, przecież siostra wie, że on jest upośledzony (a chodziło o leczenie na padaczkę!). Bo tak naprawdę o to chodzi. Podobnie w szkole, której szukam dla niego czwarty albo piąty rok. Szkoły życia są przeważnie z internatami, a jeśli są dostępne dla Artura, to on się do nich nie nadaje: lekcje 45-minutowe w jakimś ogromnym kombinacie. Gdzie Artur wytrzyma spokojnie 45 minut? A dalej: jest przerwa, pani wychodzi, dzieci też. Co Artur ma robić wśród tłumu dryblasów ze szkoły specjalnej, gdzie często jest też zawodówka i dzieci są różne? Są owszem, świetne szkoły, ale za daleko: nie oddam go przecież do internatu, skoro nawet krótki pobyt w szpitalu wywołuje u niego poczucie porzucenia. Jak jest w szpitalu, dzielimy się dyżurami i jesteśmy z nim cały czas.

- *Kiedyś przyniósł mi książkę z Papieżem i dumnie pokazywał. Co się za tym kryło?*

- Miłość do Papieża. Ma parę osób, które uwielbia.

- *Z telewizji?*

- Nie wiem, skąd. Parę lat temu Artur przyszedł do mnie, wskazał na zdjęcie Jana Pawła II i powiedział, że to jest papież. Nie wiem, skąd to wie. Papieża kocha. Jak znajdzie książkę z jego zdjęciem, to mam przechłapanie – nie mam tej książki. Podobnie z naszym Pascalem i Matką Teresą z Kalkuty. Padre Pio to już różnie. Lubi też żywoty świętych, zwłaszcza z ilustracjami. Porywa moje zdjęcia, a jak zobaczy mnie w telewizji, to wydaje mu się, że to wideo i usiłuje odtworzyć (*śmiech*).

Bardzo lubi chodzić do kościoła i rzadko się w nim źle zachowuje. Zna kolejność Mszy świętej, jak kończy się podniesienie, krzyczy „juś” i podnosi mnie z kłęczek. Któregoś pięknego dnia sam przystąpił

do pierwszej komunii. Zawsze brałam go za rękę, on otwierał buzię, ale ja dawałam księdzu znak, że nie. Któregoś dnia jednak ksiądz się nie zorientował i dał mu komunię. Potem pojechaliśmy na wieś, poszłam do komunii i pokazałam księdzu, żeby Arturowi nie dawał. Wszyscy odeszli od ołtarza, a Artur klęczał sam jeden i łzy ciekły mu po policzkach. Odprawiał Mszę młody ksiądz, zorientował się, w czym rzecz, przerwał Mszę, wyszedł do zakrystii i przyniósł obrazki. Nie do końca go to usatysfakcjonowało, więc dałam sobie spokój. Po prostu przystępuje do komunii. Oczywiście, jeżeli był tego dnia niegrzeczny, nie idzie na Mszę. Tłumaczę mu: byłeś niegrzeczny, nie idziesz do Bozi. Ale on dobrze wie, gdzie jest Bozia i jak się tam należy zachowywać. Mówi Bozi „dzień dobry” i „pa pa”. Umie „Ojciec nasz”, choć nie potrafi go wymówić – tylko końcówki zdań. A jego dziękczynienie po komunii polega na tym, że przypominamy sobie, że on kocha Bożę, a Bozia jego.

- *Czyli Kościół pozwala na przyjmowanie komunii przez dzieci upośledzone?*

- Tak, jeśli potrafią odróżnić chleb zwykły od eucharystycznego i jeżeli mają poczucie grzechu. Artur podczas komunii wie, że zaraz przyjdzie do niego Bozia. Wie, że Bozia jest w kościele, w tabernakulum i u niego w sercu: jak Bozia już przyjdzie. Spełnia też drugi warunek, choć rzecz jasna nigdy nie pójdzie do spowiedzi. Jedyne, co potrafi, to powiedzieć: „przepraszam Boziu”. Wydaje mi się, że to wystarczy. Mam nadzieję, że z czasem jeszcze rozwinie tę wiedzę – ma pewien luz intelektualny, który trzeba wykorzystać. W końcu ma dopiero 13 lat.

- *Pamięta Siostra wasze zwycięstwa: jak Artur uczył się kolejnych rzeczy?*

- Nigdy nie zapomnę, jak nauczył się robić siusiu i kupkę. Pani psycholog poradziła mi brutalnie, że powinnam go wytresować. Wiedział już, że nie powinien robić w pampersa, ale robił mi na złość. Więc któregoś dnia, jak zrobił i patrzył na mnie spod oczka, co ja na to, zastosowałam najstarszą metodę pedagogiczną i się skończyło. Oczywiście, jak ma atak padaczki, to co innego – ale nawet wtedy, półprzytomny, próbuje znaleźć toaletę.

Pamiętam, jak wypowiedział pierwsze słowo w życiu. Było to oczywiście brzydkie słowo. Byliśmy we Francji, on miał chyba z pięć lat, a ja pogodziłam się już z tym, że nie będzie mówił. Cały czas piszczał i szczekał jak pies, jak pies godzinami kręcił się w kółko. Na huśtawce nie huśtał się góra-dół, tylko okręcał się, aż bałam się, że się udusi.

- *To też klasyczne dla autystyka: zabawa z bąkiem.*

- Jego ukochana zabawka. Albo z pokrywką, którą kręci tak po mistrzowsku, że nikt z nas by tak nie potrafił.

Parę osób, Francuzów, stało w korytarzu i rozmawiało. On ich minął, chciał wyjść na schody i się potknął. Powiedział...

- ...*O kurwa.*

- (*śmiech*) Skąd pan wie? Właściwie „o kulwa”. Ludzie zamarli, bo powiedział to głośno, a wszyscy wiedzieli, że on nie mówi. Wszyscy więc się do mnie rzucili z pytaniem, co on właściwie powiedział.

(*śmiech*)

- *Ciekawe, gdzie on się tego nauczył (śmiech).*

- Oczywiście w naszych domach. W Brwinowie uczy się od dzieci, nie tylko słów, ale i gestów. Ostatnio pokazał mi coś takiego, że zdębiałam. Był wściekły, więc wiedział świetnie, że takich rzeczy nie można robić. Tu jednak jestem bezradna jak inne matki: każde dziecko przynosi do domu różne rzeczy z podwórka.

- *A jak inne dzieci reagują na Artura?*

- Nowe dzieci w Brwinowie początkowo się go boją. Potem się go uczą. Małe uczą się go omijać, starsze nawet się z nim bawią. Dzieci moich Cyganów bardzo często grają z nim w piłkę, ganiają się... A kiedy widzą, że ma gorszy moment, to się po prostu odsuwają. Radzą sobie. Czasem, kiedy rozrabia i piszczy, mówię mieszkankom: „Mój przynajmniej ma zielone papiery. Wasze nie mają, a jak się zachowują? Poza tym, ja reaguję, a wy?” Bo jedyne dziecko, które jest karane za demolkę, to Artur.

- *A jak zareagował na pojawienie się Janka?*

- To był bardzo trudny moment. Z jednej strony byłam bardzo zadowolona, bo jednak, to jednak – zawsze rodzice zachowują się normalniej mając dwójkę. Staralam się nie odbierać mu porcji uczuć i czasu. Ale z drugiej strony – był bardzo zazdrosny. Zawsze miał trudności z tolerowaniem ludzi wokół mnie. Do dzisiaj, jak rozmawiam przez telefon, albo – co gorsza – bezpośrednio, dostaje szału i pokazuje cały repertuar swoich możliwości. Było więc trudno, Jankowi zresztą też – zwłaszcza, że Janek, jak przyszedł, był w fatalnej formie – znerwicowany, nie mógł usiedzieć na miejscu. Z tym, że Janek jest niezwykle inteligentny. Scysje były, ale każdy miał swój czas, który im poświęcałam, równo podzielony. I Artur się w końcu przyzwyczaił, zaakceptował, a kiedy Janek zaginął, to stał nawet na balkonie i krzyczał „bratek, bratek” (bo tak na niego mówi).

W gruncie rzeczy się kochają. Są różni, inni, więc czasem są spory. Udało mi się wygospodarować dodatkowy pokój i teraz Janek z Melindą są osobno (mają piętrowe łóżko), a ja z Arturem osobno. W ten sposób Artur ma mnie i ma spokój – bo Janek i Melinda są bardzo żywi. Choć rzecz jasna głównie przebywają na terenie neutralnym, czyli w kuchni, gdzie się tłuką.

- *Thuką się?*

- Normalnie, jak bracia.

- *Rozumiem, że Janka znalazła Siostra na dworcu.*

- Tak jest, w ubiegłym roku. Przyprował go jeden z naszych byłych mieszkańców. Pierwsze dwa dni tylko spał. A potem, jak go już doczyściliśmy i ubraliśmy, okazało się, że nie jest Polakiem, chociaż bardzo dobrze mówi po polsku. Twierdził, że nie ma rodziców i tu pojawił się problem: można go oddać do domu dziecka, ale co zrobi w domu dziecka chłopiec z obcego kraju?

- *A w szkole w Brwinowie, nie był źle traktowany?*

- On już nie. Nie był tam pierwszym dzieckiem o ciemnej skórze z mojego domu. Bałam się tego, bo Janek jest bardzo wrażliwy i bardzo ambitny, ale parę miesięcy wcześniej, zresztą dzięki zdecydowanej postawie pani dyrektor, w szkole skończyły się kłopoty z rasizmem.

Kiedy Janek poszedł do szkoły (w lutym, bo wcześniej ja przez trzy miesiące uczyłam go czytać i pisać po polsku), trafił od razu do trzeciej klasy.

- *A potem okazało się, że rodzice żyją...*

- Tzn. okazało się, że żyje mama Janka. Wcześniej wystąpiłam do sądu o opiekę i sąd przyznał mi ją do czasu znalezienia rodziców. Teraz muszę to odwołać, bo matka nie jest pozbawiona praw rodzicielskich, choć umówiliśmy się, że dzieci (bo jest ze mną także Melinda, siedmioletnia siostra Janka) zostają u mnie. Problem polega na tym, że Janek i Melinda nie są dziećmi mężczyzny, z którym żyje ich matka. A ten jest alkoholikiem, łobuzem, który tych dwoje dzieci po prostu maltretuje. Oni są Mołdawianami z obywatelstwem rumuńskim. Janek wielokrotnie uciekał od rodziny, a kiedy wreszcie spotkałam się z jego matką, prosił mnie ze łzami w oczach, żebym zajęła się także Melindą. Oboje, nie ukrywajmy, byli wykorzystywani przez tamtego faceta do żebraniny. Janek nie chciał zebrać dłużej i nie chciał, żeby zebrała Melinda. Matka się zgodziła, żebym wzięła ich pod opiekę, tym bardziej, że dzięki temu mogą chodzić do szkoły. Ona nie jest jakaś nienormalna, tylko żyje w straszliwej nędzy.

- *Mieszka w Polsce?*

- Tak.

- *I utrzymuje się z żebraniny?*

- Niestety tak.

- *Nie grozi jej deportacja?*

- Grozi. Ale ona nie ma dokąd wrócić. W Rumunii nie ma już mieszkania, więc gdzie pójdzie: na ulicę? A przecież ma jeszcze dwójkę młodszych dzieci.

- *Które też kiedyś tu przyjdą?*

- O nie. One mają ojca.

- *Ale łobuza.*

- Nie moja sprawa. Niech ona od niego odejdzie. Ma szansę i ma wybór. Natomiast ja już na pewno nie dam rady wychować kolejnej dwójki dzieci, i to malutkich. Zresztą ona je kocha i – nie mogę powiedzieć – stara się. A jej partner nie robi im krzywdy, bo to są jego dzieci. Do tej pory było tak, że Melinda zebrała, jako małej dziewczynce szło jej nieźle, on jej zabierał pieniądze i przepijał. Teraz Melindy nie ma, więc facet musi się wziąć do roboty.

- *A jak prawnie wygląda ich sytuacja?*

- Bardzo niedobrze. W momencie, w którym wysoki sąd przyznał mi opiekę nad Jankiem, było to dziecko nieznanego pochodzenia, nie mające dokumentów i bez rodziców. Chyba taniej oddać go na wycho-

wanie siostrze niż domowi dziecka – bo dziecko, bez względu na narodowość, nie może pozostać bez opieki. Natomiast w tej chwili sytuacja jest inna: jest matka, i to jest tu nielegalnie, więc może być w każdej chwili deportowana. Jeśli będzie deportowana tylko z dwójką małych dzieci, będzie przeżywać – bo jest przywiązana i do starszych. One zresztą też będą przeżywać: są u mnie szczęśliwe, ale co jakiś czas jeżdżą do matki, w czasie wakacji spędziły z nią nawet dwa tygodnie. W straszliwych warunkach, bo w jakiejś wynajętej komórce, ale za to z matką. Ona sama nie jest zdemoralizowana – po prostu jest bardzo biedna i zaplątana w sytuację praktycznie bez wyjścia. Deportacja byłaby tragedią – bo gdyby Janka odesłać za mamą, to byłby jego koniec. Jest szalenie zdolny, może nawet skończyć studia i być rzeczywiście kimś. A gorszych warunków po prostu już nie zniesie. Kiedyś mówił mi szlochając „ty nie wiesz, mamo, co ja przeżyłem”. Dworzec do dziś wspomina z przerażeniem. Jemu nie jest wszystko jedno: co robi i gdzie jest.

- *Jest znerwicowany?*

- Bardzo, choć już się uspokoił. Śmieszne, bo kiedy przyszła Melinda, to oczywiście biegała po całym mieszkaniu, ruszała wszystkie rzeczy, nie mogła usiąść, skoncentrować się na moment – wszystko z nerwów. Nie mówię już, że nie umiała normalnie jeść. Chipsy i coca-cola, tak jak Janek – bo tym się żywili przez całe życie na ulicy. Dopiero teraz, powoli, powoli, nauczyła się jeść. Któregoś dnia się wnerwiłam, bo też nerwy mam na postronku, a Janek się zaśmiał i powiedział: mama, przecież ja byłem taki sam.

- *Z Siostrą są na „mama” i z mamą są na „mama”?*

- Tak. Śmieją się, że mają dwie mamy. Sami tak chcieli, ja im, broń Boże, nie kazałam. Zawsze lepiej mieć dwie niż żadnej.

- *A jak Siostra ocenia dziś słynną ucieczkę Janka?*

- On rzeczywiście wyruszył na poszukiwanie matki. Popełnił błąd, bo mi tego nie powiedział. Przecież wtedy pojechalibyśmy razem.

- *Miał jakiś „cynk”?*

- Nie, nie miał. Ja go odciąłam zupełnie od dworca i wszelkich tamtych kontaktów. Kupiłam gry telewizyjne, bo to było oczywiście to, co pochłaniało mu większość czasu na dworcu, więc nie mógł bez tego żyć. Ucieczka w świat nierealny przed cierpieniem, dość naturalna postawa, z której powoli się wyplątuje.

On po prostu nie mógł wytrzymać tego, że nie wie, co się stało z matką i siostrą. I znalazł je. Oczywiście potem zrozumiał, że zrobił źle i przeprosił. Wy tłumaczył też, dlaczego nie powiedział mi o istnieniu rodziny. Bo sytuacja była taka: jego matka jest bardzo ciężko chora i kiedyś, gdy leżała w szpitalu, ojczym mu powiedział po pijanemu, że matka nie żyje. I tak naprawdę on wyruszył szukać siostry. A dlaczego podał mi swoje fałszywe nazwisko: Dzon? Bo się panicznie bał, że znajdzie go ojczym. Wielo-

krotnie było tak, że uciekał od ojczyma, włóczył się i trafiał do pogotowia opiekuńczego, skąd potem go odbierali. Inna rzecz, że nikt się tam nie zainteresował, dlaczego on tak stale ucieka: ot, rumuńska rodzina, normalne, że się włóczą.

Teraz jest już spokojny: siostra jest z nim, z mamą się widuje, jest zupełnie inny. Ale nawet wtedy, kiedy przyszedł do mnie, było widać, że miał dobrą matkę. Przecież Jasiak jest bardzo dobrze wychowany, zachowuje się jak dżentelmen, a oprócz tego jest jeszcze bardzo inteligentny, więc się łatwo przystosowuje. Do szóstego roku życia był w Rumunii z matką, ona miała wtedy mieszkanie, normalnie pracowała, była też babcia. To jest bardzo biedna, prosta rodzina, ale nie rodzina z marginesu. Więc Jasiak miał sześć lat normalnego dzieciństwa. Melinda przyjechała do Polski kiedy miała bodajże dwa lata i od razu trafiła na ulicę.

- *Przyjechali tu za chlebem?*

- W gruncie rzeczy tak. Matkę wyciągnął ten konkubent, który najpierw przyjechał do Polski, a potem napisał do niej, że będzie tu miała pracę, mieszkanie itd. Więc ona zostawiła pracę w Rumunii, oddała mieszkanie, przyjechała i po paru dniach okazało się, że ta praca to jest żebranie. Początkowo przeżyła szok, ale potem nie miała wyjścia. Bo dokąd? To samo spotkało dzieci. I zaczęła się gehenna. On zaczął pić, bić, no a ona musiała go utrzymać, więc żebrała. Przyszły na świat kolejne dzieci, banalna historia, jak tysiące.

- *Co będzie dalej?*

- Nie wiem. Na szczęście Janek z Melindą są w szkole. Konwencja praw dziecka mówi, że każde dziecko ma prawo do nauki. Szkoła może jednak zażądać opłaty za cudzoziemskie dziecko, i to niemałej opłaty.

- *I co będzie wtedy?*

- Wtedy chyba i ja pójdę żebrać, bo na to mnie nie będzie stać. Podobno to kosztuje 2000 zł rocznie – dla mnie niewyobrażalna suma, bo i tak robię bokami, żeby dzieci w ogóle miały co jeść.

- *Muszę przyznać, że oboje wyglądają kwitnąco.*

- No jasne, zwłaszcza od czasu, gdy Melinda nauczyła się jeść. Ale zęby ma np. w takim stanie, że praktycznie wszystkie nadają się do leczenia albo do wyrwania. Jankowi już częściowo wyleczyłam. Są to zresztą dzieci alergiczne i byle ugryzienie komara powoduje, że muszę wezwać pogotowie. A leki przeciwalergiczne są potwornie drogie. Skądinąd to ciekawe, bo wszystkie nasze dzieci rumuńskie i cygańskie mają alergię: dwoje dzieci Tamary tak samo, dzieci Cygana w Brwinowie tak samo.

- *A jak tam ze zdrowiem Siostry?*

- Należy o nie dbać (*śmiech*). Ksiądz Popiel mówił o mnie: wydaje się, że za chwilę umrzesz, a potem jesteś zdrowa jak ryba. Coś w tym jest. Oczywiście w tym wieku nie stać mnie już na takie numery, jakie robiłam kilkanaście lat temu. Zdaję sobie sprawę, że jestem odpowiedzialna za dzieci, ale to nie mo-

że przecież sprawić, że się położę do łóżka i zacznę wypoczywać. To nie moja wina, że Pan Bóg przysyła tylu biedaków.

- *Wróćmy jeszcze do ucieczki Janka. Czy dotarł do Lublina, jak wskazywały ślady?*

- Tego nie wiem – nie pytałam go o szczegóły. Znaleźliśmy go z matką na warszawskiej ulicy. Co się stało: kiedy okazało się, że matka żyje i Janek do niej dotarł, to ona chciała się koniecznie dowiedzieć, kto się nim opiekował – bo przecież trafił do matki w dobrej formie. Ale Janek nie chciał jej powiedzieć – bo wychodząc z domu zabrał mi pieniądze. Bał się, że dostanie rżnięcie: i to zarówno od matki, jak i ode mnie. A dalszy ciąg był już logiczny. Matce ktoś powiedział, że zdjęcie Janka jest w gazecie i że go ktoś szukał. Ona próbowała znaleźć tę gazetę, ale to było już parę dni po ukazaniu się artykułu Wojtka Tochmana, akurat przed samym znalezieniem.

- *A skoro padło nazwisko Wojtka. Wśród wielu innych rzeczy, jakich Siostra doświadczyła w ostatnich latach był też horror poszukiwań zagubionego członka rodziny. Coś, czym się Wojtek ostatnio zajmuje.*

- To było koszmarnie przeżycie i współczuję ogromnie rodzicom, którzy muszą to przeżywać. Wypadek, nawet śmiertelny, jest straszną tragedią, ale przynajmniej człowiek wie, co się stało. Natomiast w przypadku zaginięcia jest ta koszmarna niepewność.

- *Wojtek opisywał w „Gazecie Wyborczej” kolejne etapy poszukiwań, kolejne bezradne lub niekompetentne komendy policji...*

- I w końcu policja przyznała nam rację. Zdaje się zresztą, że jeżeli idzie o poszukiwanie dzieci, po naszej awanturze coś się w Polsce zmieniło. W którymś momencie powiedziałam zdenerwowana do jakiegoś policjanta, że gdyby to było dziecko premiera, to by szukali. Przyznał mi rację.

- *A tu znalazła go gazeta.*

- Bardzo jestem wdzięczna Wojtkowi za pomoc. Janek, jak wiadomo, zostawił mi list i jak tylko go znalazłam, zadzwoniłam do Wojtka i poprosiłam go o pomoc prywatnie, znając jego rolę w poszukiwaniu osób zaginionych. Nie przypuszczałam, że weźmie w tym udział „Gazeta” i że z tego taka draśka. Myślałam, że złapię smarkacza, wtrzępię mu w tyłek i na tym się skończy.

- *Ten strach, koszmarna niepewność – jak Siostra mówi – to klasyczne macierzyńskie uczucia.*

- No bo myśmy też nauczyli się siebie kochać. Przeżywałabym oczywiście zaginięcie dziecka mieszkanki, ale cóż dopiero dziecka, z którym nauczyliśmy się kochać. Janek popełnił błąd, ale co ma robić dwunastoletnie dziecko, zaplątane po uszy w sprawy dorosłych, w sumie sponiewierane i żyjące w strachu, że jak powie mi prawdę, to odeślę go do ojczyma, który go pokroi w paski?

- *Mnie to przekonuje.*

- Mnie też. Więc absolutnie go nie karałam, porozmawiałam z nim poważnie, wytłumaczyliśmy sobie wszystko. Nie spodziewał się rzecz jasna, że wywoła aż taką aferę – to jeszcze straszne dziecko, nie ma wyobraźni na temat konsekwencji swoich czynów. To był impuls: rowerek, 500 zł i jedziemy w Polskę

szukać rodziny. Ale ileż do tego trzeba odwagi, gdy jest się tak wylęknionym, że strach spać samemu w pokoju... Bo on musi spać przy zapalonym świetle, ma nocne lęki, to się nazywa chyba nerwica lękowa. Póki spaliśmy przez tekturową ścianę wszystko było w porządku, ale teraz – kiedy przenieśli się do pokoju naprzeciwko – muszę czytać im na dobranoc, bo on nie zaśnie bez muzyki lub czytania, usypia w trakcie...

- *A sam by sobie nie mógł czytać?*

- Czyta, czyta. I czyta Melindzie, pomaga jej w polskim, jest bardzo opiekuńczy. Jak ona robi bałagan w pokoju, bardzo się złości.

- *Czy oni pochodzą z rodziny prawosławnej?*

- Tak. I proponowałam matce (bo to ona musi zdecydować), że jeśli chce, Janek może przystąpić do komunii w Kościele prawosławnym. Ale ona mi powiedziała, że ponieważ w Polsce jest większość katolików, to ona sobie życzy, żeby chodził na religię z większością rówieśników.

- *A czy on sam odczuwa jakieś różnice?*

- Zupełnie nie. W ogóle nie miał pojęcia o Panu Bogu, dlatego nie spieszyłam się z przygotowaniami do Pierwszej Komunii. Jak na pierwszy rok, trochę tego było za wiele: i polski, i szkoła, i wszystkie te kłopoty, i lekcje religii, z których nic nie rozumiał. Może w następnym roku, ale nie będę się spieszyła.

- *Podejrzewam, że z Melindą jest Siostrze najtrudniej.*

- Owszem. Przypuszczam, że to dlatego, iż dawno nie miałam do czynienia z dziewczynkami i że chyba jestem dla niej za ostra. Ale musiałam postawić jej wysoką poprzeczkę – było niewiele czasu do rozpoczęcia szkoły, a nie chciałam, żeby szła do niej zupełnie dzika. Inna rzecz, że szkoła zupełnie nie pomaga: nie dość, że dzieci muszą uczyć po lekcjach (w zależności od moich możliwości dostają różne stopnie), nie dość, że od lat od kolejnych naszych dzieci dowiaduję się o przemocy, jaka w niej panuje; o tym, że np. trzecia klasa leje pierwszą (przecież pobyt w szkole Tomka od Tamary to była codzienna walka o przetrwanie, po dwóch miesiącach w pierwszej klasie „trzasł” i powiedział, że więcej do szkoły nie pójdzie, a reakcja szkoły była taka, że to Tomka wysłano do pedagoga). Jeszcze to, czego ja wymagam, przekracza wymagania szkoły – u mnie w domu nie wolno się drzeć, a w szkole dzieci drą się na wszystkich przerwach, nie wolno się bić, a w szkole leją się bez przerwy. Melinda w takim świecie nie radzi sobie w ogóle. Na to, żeby ktoś ją pochwalił, bo bardzo pięknie nauczyła się pisać, nikt nie wpadł dopóki nie poszłam do nauczycielki i nie wytłumaczyłam jej, jaka to byłaby motywacja dla dziewczynki, która od wieku niemowlęcego do teraz zajmowała się zebraniem. Ma trudności z koncentracją, ale jeśli teraz zniechęci się ją do pracy, to już nigdy pracować nie będzie.

Z Melindą na pewno mam najslabszy kontakt. Nie ma między nami konfliktów, ale w porównaniu do Janka ona jest np. dużo mniej otwarta. Janek bardzo mi zresztą pomaga, tłumacząc z polskiego na nasz. To on zabronił jej mówienia po rumuńsku i mówi do niej tylko po polsku.

Poza tym ona jest mała. Przypuszczam, że jestem za stara i nie mam już siły na takie małe dzieci.

- *Ależ Siostr...*

- Kiedy to prawda, panie Michale.

- *A może za dużo Siostra na siebie wzięła?*

- A miałam powiedzieć nie? Przecież gdybym jej nie wzięła, Janek by oszalał. I zresztą słusznie. Jak miałam mu powiedzieć, że nie wezmę jego siostry? Dostawia się jedno łóżko i się bierze. Nie ma wyjścia. I póki można, trzeba próbować zapewnić im jakiś start. Może jednak mimo wszystko mają u mnie lepiej niż na ulicy.

- *Ktoś, gdy zaginął Janek, powiedział mi z mądrym wyrazem twarzy: no tak, wspaniała ta siostra, ale schronisko dla bezdomnych nie jest najlepszym miejscem do zapewnienia komuś normalnego dzieciństwa.*

- Nieprawda.

- *Może nieprawda. A może jedyna uczciwa odpowiedź na taką wątpliwość brzmi: no to weź go ty.*

- Dokładnie. Ale poza tym to nieprawda. W naszej Wspólnocie są rodziny i są żelazne zasady, których przekraczać nie wolno. A więc: ranki i wieczory spędzam z moimi dziećmi, to ja je wysyłam do szkoły, ja odrabiam z nimi lekcje, ja robię im śniadanie i kolacje (obiad jedzą ze wszystkimi dziećmi). A sobotę i niedzielę staram się poświęcić im w całości. One mi nie przepuszczają: muszę im poczytać, muszę z nimi porozmawiać, sprawdzić, czy mają buty i skarpetki i choć pomaga mi Szymona, myślę, że mają mnie tyle, co normalne dzieci normalnych rodziców, a nawet więcej (bo normalni rodzice pewnie często oglądają telewizję i nie mają np. czasu, żeby z dziećmi porozmawiać). Wiem jedno: więcej im dać nie mogę. Jeśli ktoś mógłby dać więcej, niech weźmie dzieci. Te akurat pewnie już do nikogo innego nie pójdą, ale są miliony innych.

Bardzo pomaga mi Wspólnota. Nasze dzieci tutaj: moje, Tamary i Andrzeja, to jedna rodzina – przyjeżdżają to tu, to tam, mają jakby dwa domy. Są też wpisane na listę dzieci Wspólnoty Chleb Życia i ludzie Wspólnoty, rozproszeni po całym świecie, modlą się za nie. Natychmiast musiałam przesłać zdjęcia „do kartoteki”, informuję o postępach w nauce... A gdy ludzie we Francji odkładają używane ubrania, planują, że to może być dobre dla Janka, to dla Artura itd.

- *Czy w czasach „burzliwej młodości”, myślała Siostra o założeniu rodziny?*

- Kiedyś myślałam. Ale od czasu, gdy spotkałam Pana Boga, to już nie. Dlatego te dzieci też są dla mnie Jego żartem. Jest napisane, że jeśli opuścisz wszystko, to dostaniesz dużo więcej. I z czterdzieścioro tych, które są w Brwinowie, trójka jest moja. Tzn. bardziej moja niż inne. Mam nadzieję, że na tej trójce skończymy.

- *A czy mogłaby się Siostra jeszcze zakochać?*

- Chyba jeszcze nie jestem za stara? (*śmiech*) Stary ojciec Jacinto, trapiści z Tre Fontane, przepiękny mnich i asceta, był Polakiem z pochodzenia, więc chodziłam się do niego spowiadać. Miał już chyba

osiemdziesiąt lat, ja dwadzieścia parę, usiadłam przy nim w rozmównicy, a on powiedział: „przesuń się trochę dalej, bo jeszcze nie umarłem”. (*śmiech*)

- *Młodzi dominikanie pytali kiedyś o Joachima Badeni, równie sędziwego jak o Jacinto, kiedy przeróżne pokusy przestaną im doskwierać. Poradził im, żeby zapytali kogoś starszego (śmiech).*

- Bo trzeba też wiedzieć, że habit nie chroni przed pokusami. Ktoś w mojej sytuacji musi przede wszystkim trzeba znać siebie, znać życie i unikać sytuacji, które byłyby nie do wytrzymania. A takie sytuacje się zdarzają. Jest taka scena w książce „Miasto radości”, opartej na faktach opowieści o polskim księdzu, który zaczął pracować w slumsach w Kalkucie. Pomagała mu młoda hinduska i był moment, w którym oboje, w jakiejś zupełnie katastrofalnej sytuacji, po zetknięciu z niewiarygodnym ludzkim cierpieniem, znaleźli się w jego izbie i wszystko zaczęło zmierzać ku jednemu. Uratował ich krzyk umierającego piętro wyżej chłopca: oprzytomnieli.

Bardzo silne napięcie i stres, morze ludzkiego cierpienia, jakie nas otacza, może sprzyjać sytuacjom, po których będziemy gotowi rzucić się w pierwsze z brzegu ramiona. Niedawno zdarzyło się coś takiego w naszej Wspólnocie na Węgrzech – młoda dziewczyna, siostra po ślubach wieczystych, rzuciła się w ramiona przystojnego marynarza, skądinąd kryminalisty. Lekcja, jaką należy wyciągnąć, jest bardzo prosta – młodej dziewczyny nie należy zostawiać samej z gromadą mężczyzn.

- *A Renia na Mszczonowskiej?*

- Renia nauczyła się wzywać pomocy. A kiedy była zupełnie sama, odwiedzałam ją codziennie. Cała moc Wspólnoty polega na tym, że można kogoś wezwać na pomoc.

- *Używa Siostra liczby mnogiej. Proszę opowiedzieć o sobie.*

- Był moment, kiedy balansowałam na bardzo cienkiej linii, a Wspólnota dostawała szału z niepokoju. Ale myślę, że Pan Bóg postawił mnie w tej sytuacji, kiedy byłam już wystarczająco dojrzała, a nie np. parę lat wcześniej. Wiedziałam, że ponoszę ryzyko, ale wierzyłam, że się nie poślizgnę. I miałam poczucie, że warto.

- *To znaczy?*

- To była walka o kogoś. Kogoś, kto nie miał podstaw do robienia sobie jakichkolwiek nadziei, ale kto sobie je robił. Graliśmy na dwóch różnych instrumentach. Jemu chodziło o kontakty damsko-męskie, a ja nie unikałam jego towarzystwa, żeby zobaczyć, czym żyje i co naprawdę chodzi w życiu. Zachowywałam przy tym środki ostrożności i pomagała mi Wspólnota – nigdy nie zostawałam z nim sam na sam, choćby dlatego, że nie chciałam, by mógł to później wykorzystać do opowiadania rzeczy nieprawdopodobnych.

Nie wiem, czy wygrałam, czy przegrałam. W pewnym momencie stwierdziłam, że już dosyć: zobaczyłam wystarczająco wiele i ucięłam kontakty. Mam nadzieję, że zrozumiał, iż istnieją ludzie, dla których pewna forma kontaktów międzyludzkich nie jest jedyną formą. Sądząc z tego, że dał sobie spokój, wnoszę, że zrozumiał.

Więc zakochać się na pewno bym mogła. Nikt z nas nie jest wolny od pokus przeciwko wierności (pan w małżeństwie przecież też nie jest bezpieczny...). Może najbardziej pouczająca jest tu historia Tomasza Mertona – dojrzałego, doświadczonego mnicha, który jednak się potknął. Może nawet, choć trudno tak mówić, jego śmierć była opatrnościowa – uratowała go od jakiegoś upadku?

- *Wspomniała Siostra o pomocy Wspólnoty. To nasza ostatnia rozmowa i odbywamy ją kilka dni po powrocie z Francji, gdzie składała Siostra śluby wieczyste. Mam poczucie, że niewiele się zmieniło...*

- Bo klamka zapadła dawno temu – już mówiłam panu, że jestem za stara, by się rozwodzić ze Wspólnotą Chleb Życia... Oczywiście, Wspólnota mogła się wahać, czy chce mnie przyjąć (bo to zawsze jest decyzja dwóch stron – godząc się na śluby wieczyste, Wspólnota przyjmuje kogoś na zawsze, więc nie wszyscy są dopuszczani). Dowcip polega wprawdzie na tym, że jeszcze przed ślubami byłam członkiem rady Wspólnoty, która m.in. rozstrzyga w takich sprawach. W dyskusji na swój temat oczywiście nie brałam udziału, wyszłam, ale sądząc z tego, że nie trwało to dłużej niż pięć minut, podczas których każdy się wypowiedział, to wątpliwości jakichś nie było. Trzeba tu dodać, że wyrazem naszego zaufania do Ducha Świętego jest fakt, że ta i wszystkie inne decyzje podejmowane przez kapitułę czy radę Wspólnoty, mogą przejść tylko wtedy, gdy jedność w głosowaniu wynosi 99 proc.

- *Jak wyglądała sama uroczystość?*

- Ja stałam pośrodku, więc nie miałam za wielu obserwacji, ale Tamara twierdzi, że było podniosłe (*śmiech*), pięknie i radośnie. Na początku były śpiewy i przedstawienie dziecięce, potem Msza, bardzo żywiołowo koncelebrowana przez biskupa miejsca i chyba z dziesięciu księży w rycie afrykańskim; Pascal, nasz założyciel, grał nawet na bębenkach. (Wspólnota jest międzynarodowa, więc w liturgii posługuje się elementami różnych tradycji...) O czym była homilia, niespecjalnie pamiętam – nie była zbyt głęboka. A w kościele było bodaj 500 osób – przyjechali wszyscy, którzy tylko mogli.

- *A ilu członków liczy wspólnota?*

- Śluby wieczyste złożyło ok. 60 osób, członków, którzy są na drodze do życia konsekrowanego (którzy rozpoczęli nowicjat) jest ok. 150. Ciągłe jest problem, jak nas policzyć, bo mamy różne statusy. Mieszkańców naszych domów traktujemy jako członków rodziny, więc oni też bardzo często przyjeżdżają na śluby. Są osoby stowarzyszone, których jest ok. 300 i które składają odnawiane co roku przyrzeczenia – oparte na trzech ślubach, ale z wybranym przez nich samym zakresem zobowiązań. Przykładowo: jeśli reguła życia Wspólnoty mówi, że każdy z członków powinien mieć godzinę adoracji dziennie i codziennie chodzić na Mszę, to osoba stowarzyszona może ograniczyć ilość adoracji np. do dwóch w tygodniu. Może też inaczej, mniej radykalnie traktować ślub ubóstwa. Ta sama duchowość, ale mniejsze wymagania. Co nie oznacza, że wielu członków stowarzyszonych nie żyje tak samo, jak ci ze ślubami wieczystymi. Tamara, Andrzej czy Renia są członkami stowarzyszonymi, a przecież w naszym życiu nie ma wielkich różnic.

- Jak to właściwie jest: czy Siostra jest zakonnica?

- Żeby ktoś to potrafił jasno wytłumaczyć... Z nowymi wspólnotami jest niezwykle trudny problem. Nie jesteśmy zakonnikami. Bardzo mocno to podkreślamy i zakony też bardzo mocno to podkreślają – w ten sposób nie pozwolono nam np. używać terminów „postulat”, „nowicjat” itd. i musieliśmy stworzyć jakieś nowotwory, które po polsku brzmią fatalnie. Można by powiedzieć, że jesteśmy świeckimi konsekrowanymi, czyli poświęconymi Bogu, ale de facto każdy ochrzczony jest konsekrowany.

Na moje wyczucie można powiedzieć więc, że jestem osobą świecką, która w sposób szczególny poświęciła się Panu Bogu poprzez śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Złożyłam te śluby za zgodą Kościoła, który zatwierdził regułę życia Wspólnoty, na ręce przełożonych Wspólnoty i w obecności biskupa, jako świadka ze strony Kościoła. Przed ślubami i po uzyskaniu zgody Wspólnoty odbyłam też rozmowę z biskupem, od którego zależała ostateczna decyzja. W każdym miejscu, na którym działamy, podlegamy jurysdykcji lokalnego biskupa. Tutaj: Księdza Prymasa.

- *Dlaczego w Polsce nie ma księży, zapisujących się do Wspólnoty Chleb Życia?*

- W tych dniach napisał do mnie bardzo sympatyczny list kleryk z jednego z seminariów na północy Polski, prosząc o informacje na ten temat. Sytuacja w polskim Kościele jest zupełnie inna niż np. we francuskim – tam Kościół jest mniejszością, więc wielu chrześcijan decydując się na bycie mniejszością traktuje swoje chrześcijaństwo bardzo świadomie i żyje bardzo radykalnie. W Polsce, przy dużej palecie możliwości, wybór, jaki proponujemy – pójście za Chrystusem praktycznie bez żadnych honorów, przy drastycznym ubóstwie i życiu wspólnie z ubogimi – może przegrywać w konkurencji z wyborem życia łatwiejszego. Dotyczy to nie tylko kapłanów, ale także młodych ludzi, którzy pojawiają się u nas, żeby przyjrzeć się Wspólnocie.

- *I którzy nie wytrzymują?*

- Trudno się dziwić, skoro to jest szare, trudne życie z ludźmi zranionymi i cierpiącymi.

- *A dużo się takich młodych ludzi pojawia?*

- Myślę, że dziesięcioro rocznie.

- *Skąd się biorą?*

- Różnie. Widzieli nas w telewizji, czytali artykuły, ktoś im podał adres... Czego szukają? Myślę, że mają bardzo duże złudzenia – przekaz telewizyjny czy prasowy wywołuje w nich jakieś wzruszenie, ale potem przychodzi gorzkie rozczarowanie: bo trzeba usiąść do stołu z ludźmi, którzy śmierdzą, mają otwarte rany, albo zwyczajnie nie potrafią się zachować. Jedna pani przyjechała do nas ze swoją pralką, bo nie chciała, żeby jej rzeczy były prane z rzeczami innych.

- *Ks. Adam Boniecki opowiadał o spotkaniu w Kazachstanie księdzu, który z Niemiec sprowadził sobie wszystko, nawet papier toaletowy.*

- Ano właśnie. Część ludzi, którzy do nas trafiają, została odesłana ze zgromadzeń zakonnych lub z seminariów. Zdarzało się, że przełożeni czy kierownicy duchowi kierowali ich do nas, sądząc, że u nas wszystko przejdzie. Tymczasem było wręcz przeciwnie – my stawiamy po prostu większe wymagania.

- *Ale Wspólnota nie daje żadnych warunków wstępnych: wiek, stan, wykształcenie...*

- Przyjmujemy nawet ludzi rozwiedzionych, o ile związek małżeński rozpadł się dawno. Co nie oznacza, rzecz jasna, popierania rozwodów. Taka osoba musi mieć zgodę dawnego współmałżonka i nie może składać ślubu czystości, jedynie ubóstwa i posłuszeństwa. Bo sakrament jest ponad ślubami: jeśli współmałżonek zechciałby wrócić, to ta osoba nie może być związana ślubem czystości.

- *Jakie są zasadnicze cele Wspólnoty Chleb Życia?*

- Wspólnota jest powołana do życia razem z ubogimi. I ma być odbiciem Ludu Bożego, którego głową i pasterzem jest Chrystus, ale który gromadzi wokół Chrystusa wszystkie powołania. W Kościele osobno są kapłani, osobno zakonnice, osobno świeccy. To są różne światy, które często się wzajemnie nie znają i nie przenikają. Życie Wspólnoty ma być wzorowane na życiu pierwszych chrześcijan z czasów apostoelskich, gdzie żyli wszyscy razem – jeden Lud Boży, zgromadzony wokół Eucharystii.

Wszystko, co Wspólnota robi, wynika z tego właśnie założenia. Jeżeli mój ubogi brat cierpi czy potrzebuje pomocy – muszę mu pomóc. Co nie znaczy, że jesteśmy nastawieni na prowadzenie dzieł charytatywnych. Przede wszystkim: środki, jakich chcemy używać do przemiany tego świata, to są środki ubogie (a więc bronimy się przed wielkimi akcjami przy pomocy dużych pieniędzy, wszystko ma być „od człowieka do człowieka”). Wspólnota ma też być miejscem ewangelizacji nas wszystkich, poczynając od przełożonych, a skończywszy na najsłabszych, żyjących w naszych domach. To ma być Lud Boży zgromadzony wokół Eucharystii.

W różnych krajach wygląda to bardzo różnie. W Peru od 11 lat prowadzimy przedszkole dla dzieci indiańskich. Chodziło o to, żeby poprzez dzieci dotrzeć do rodziców. I co się okazało – dzieci wielu rzeczy się nauczyły, dorosły (mają teraz po 18 lat) i chcą się uczyć dalej. Wobec tego trzeba założyć dla nich gimnazjum, bo one są za biedne, żeby uczyć się w państwowych szkołach.

W wielu krajach członkowie Wspólnoty szkolą miejscowe dziewczyny w prowadzeniu przedszkoli. Przykładowo: w wiosce trędowatych w Nigrze, w której co roku przez półtora miesiąca mieszka nasz założyciel Pascal i w której założyliśmy pracownię malarstwa na tkaninach (trędowate kobiety znajdują tam utrzymanie i nie muszą żebrnąć), jedna z trędowatych dziewczyn została przeszkolona w prowadzeniu takiego przedszkola. Dzieci z wioski zbierają się w jednej chacie i przy pomocy niezwykle prostego materiału – plastikowych pudełek, kubków, koralików – mają codziennie zajęcia, które szalenie je rozwijają. A to nic nie kosztuje. We Francji, w Awinionie z kolei, otwarto przedszkole dla dzieci ulicy – przeważnie imigrantów z krajów arabskich, Algierii, Maroka.

- *Zjazd z okazji ślubów jest więc okazją do wymiany informacji, opowiedzenia sobie nawzajem o swojej działalności.*

- My i tak wymieniamy między sobą informacje. Powinniśmy raz w miesiącu, ale popuściliśmy sobie, że dwa razy do roku – nikt nie ma czasu na pisanie listów.

- *Czy można mówić o rozwoju Wspólnoty?*

- Tamara, która była świadkiem moich ślubów, śmiała się, że to niewiarygodne, jak Pascalowi udało się stworzyć z takiego marginesu tak elitarny zakon. (*śmiech*) Bo przecież większość ludzi, którzy się kręcą wokół Wspólnoty, pochodzi z kompletnego marginesu, z dna.

Coś w tym jest i widać to nawet w Polsce. Domem, w którym stawiamy najmniejsze wymagania są Stawki. Każdy jest przyjmowany i oprócz podstawowych zasad, jak brak alkoholu, właściwie niczego więcej nie oczekujemy. Potem część osób trafia tutaj, na Łopuszańską, albo do mnie, do Brwinowa (chorzy do Reni, na Mszczonowską). Ale gdyby pan zobaczył jakąś dziewczynę ze Stawek po roku funkcjonowania w innych naszych domach, to by jej pan nie poznał. Śmiejemy się, że wychodzi dama.

Mogę odpowiedzieć inaczej: rozwój Wspólnoty jest tak dynamiczny, że musieliśmy przystopować. Mamy tak dużo próśb, by założyć gdzieś dom (szczególnie w Afryce, gdzie po rekolekcjach Pascala w jakimś kraju zgłasza się 40 młodych ludzi – połowa rzecz jasna odpada, ale połowa zostaje; jeden z nich przepisał 280 stron naszej reguły życia ręcznie, bo nie miał innej możliwości), że staramy się to hamować, bo formacja nie nadąza za tempem rozwoju. Ale są to historie niesamowite. W obozie dla uchodźców niedaleko Gomy, w kawałku plastikowego namiotu (trzeba widzieć, co ONZ oferuje uchodźcom i jak ich traktuje: kilka metrów od namiotów wielkich organizacji międzynarodowych umierali ludzie, bo lekarzom nie chciało się wyjść na zewnątrz) kilkunastu młodych ludzi, uchodźców, których krewni zginęli – stworzyło wspólnotę. I w całym tym ludzkim piekle adorowali Najświętszy Sakrament, zbierali się na modlitwę... Dwóch z nich zresztą zostało w czasie następnych walk zamordowanych.

- *Czy podczas walk w Rwandzie ginęli członkowie Wspólnoty?*

- Umarło dwoje dzieci. Sytuacja jest skomplikowana, bo są wśród nas zarówno Tutsi, jak i Hutu. Nie tak dawno Wspólnota musiała uciekać – dwa tygodnie wędrowali po dżungli ze stoma sierotami, które mieli pod opieką. Cudem jest, że po pierwsze się nie pogubili, a po drugie – że nikomu się nic nie stało. Potem wrócili, ale dosłownie na ich terenie znów doszło do walk. Niedawno nocą wpadła do nich grupa uzbrojonych ludzi i chciała wziąć przełożonego. Dzieci narobiły jednak takiego wrzasku, że się wycofali. A wiadomości z ostatniej chwili nie są najlepsze – znów muszą uciekać.

- *Na czym polega formacja we Wspólnocie?*

- Przede wszystkim prowadzimy ją w domach, w których są kandydaci do Wspólnoty. Robią to albo przełożeni, albo osoby mające mandat od przełożonych. Są spotkania, na których omawiana jest reguła życia i bieżące problemy, jest mnóstwo kaset z konferencjami i odpowiedziami na najrozmaitsze pytania, są też książki. Pascal jeździ po całym świecie i głosi rekolekcje, elementem formacji są też takie wydarzenia, jak moje śluby. Regularność jest tu pożądana, no chyba że ktoś akurat ucieka przez dżunglę: trudno, żeby wtedy siadał pod palmą i wyciągał regułę życia. Chociaż oni akurat uciekli z Najświęt-

szym Sakramentem i chodzili z nim po dżungli, robiąc codziennie adorację. Trudno znaleźć lepszą ilustrację tego, co to znaczy życie wokół Eucharystii. Myślę zresztą, że to ich trzymało – pozwalało zachować morale w ekipie.

- *Wróćmy do tej elitarności Wspólnoty.*

- Myślę, że to nie my stawiamy najwyższe wymagania, tylko Chrystus. Wielu z nas to rzeczywiście ludzie z marginesu – ci, którzy przeszli przez alkoholizm, narkotyki, prostytutkę. Tamara mówi: „To Bóg zrobił z nas, powiedzmy sobie szczerze – motłochu, elitę”. Bo to jest tak: człowiek, który jest na dnie, wyrwie się, sięgając bardzo wysoko. Tak jak Pascal, człowiek z pokolenia „dzieci kwiatów”, który był już, jak wiadomo, umierającym narkomanem.

Niedawno odwiedził nas ktoś z Niemiec, mnie akurat nie było i Tamara tłumaczyła mu, co my właściwie robimy. Pamiętam, że potem zadzwoniła do mnie i mówi: „słuchaj, ja to tak wyliczyłam i myślę sobie, że to niemożliwe. My? Tę parę osób?”

I rzeczywiście, po tym wszystkim, co dotąd nas spotkało, po tylu znakach i cudach, trudno pozostać niewierzącym. Bo inaczej chyba trudno to pojąć – że istnieją cztery, a właściwie już pięć domów, że ludzie wychodzą jakoś z kłopotów, że udało się wysłać pomoc na Białoruś i do Rumunii, że wszystko to zrobiliśmy my – tacy, jacy jesteśmy, czyli słabi i też zdrowo poplątani. To jest właśnie nasza opowieść o nadziei.

- *O nadziei, wierze i miłości...*

- Rzeczywiście, nic by bez nich nie było. Ja i Tamara, potem Renia, Andrzej, Jola (czyli siostra Szymona), Jacek...

Wszystko polega, jak sądzę, na czystości kontaktów między nami. Na tym, że nikt nie chce nikogo sobie podporządkować, zniewolić... I że modlitwa, adoracja, ustawicznie nas oczyszcza. Wbrew pozorom, oprócz przekleństw bardzo dużo innych rzeczy ciągniemy też od naszych mieszkańców. A przede wszystkim: każdy zostawia sobie małego świrka i go hoduje.

- *Tamara powiedziałaby, że jest zdrowo.*

- Ekologicznie.